

194



Wydawca: Towarzystwo Ateneum  
ul. Krakowska 10, Warszawa

# ATENEUM.

WARSZAWA. ZESZYT XI i XII. LISTOPAD  
GRUDZIEN — 1903.



Дозволено Цензурою.  
Варшава, 1 Января 1904 г.

ATEMIUM.

WARSAWA ZESZYT XI I XII  
LISTOPAD  
GRUDZIEŃ  
1903

## Spis rzeczy w półroczu drugim 1903 r.

	<i>Zeszyt</i>	<i>Str.</i>
<i>Artykuł wstępny.</i>		
Cezary Jellenta „Wiedza bez talentu“ . . . . .	XI—XII	7
<i>Poezya dramatyczna.</i>		
Tadeusz Miciński „Noc Rabinowa“ . . . . .	XI—XII	76
Maurycy Maeterlinck — „Iozella“ . . . . .	XI—XII	111
<i>Poezye.</i>		
Maryan Zbrowski „Sonety“ . . . . .	VII	50
„ „Przemiany“ . . . . .	VIII	35
„ „Sonety“ . . . . .	XI—XII	103
Tadeusz Miciński „Ja trwam nad wieczność“ . . . . .	VII	54
„ „Kaukaz“ . . . . .	IX—X	17
Jerzy Żuławski „Życie“ . . . . .	VII	55
Alfred Mombert „Na poły we śnie“ (tłom. Wł. Nawrocki).	VII	69
Richard Dehmel „Ależ nie“ . . . . .	VII	66
„ „Pomnisz“ (tłom. Wł. Nawrocki). . . . .	—	67
Stefan Wodziński „Olśnienia“ . . . . .	VIII	22



*Kronika sztuki i teatr.*

Wł. M. „M. Gorkij. Na dnie“ . . . . .	VII	70
F. „Śmierć Whistlera“ . . . . .	VII	75
A. Ławicz „W noc lipcową, sztuka w 3 aktach Bolesława Gorczyńskiego“ . . . . .	VIII	125
Z. B. „Wystawa sztuki w Wenecyi“ . . . . .	IX—X	150
F. Jabłczyński „Balzak.—Rops.—Odilon Redon.—Beethoven.—IX symfonia“ . . . . .	IX—X	154
J. A. Kisielewski „Życie dramatu“ (Kroniki). . . . .	XI—XII	174
Akademia Umiejętności . . . . .	XI—XII	176
F. Jabłczyński „Muzyka „historyczna“ (Muzyka słowian i wielka muzyka niemiecka.—Głos, śpiew, J. Niekraśz Aino Acté, Fr. d'Andrade, M. Baptistini, Bandrówski, Zawilowski, Alma,—Sigfryd.—Manfred.—Faust.—Wirtuozii.—J. Śliwiński.—Czajkowski.—Nikisch i orkiestra A. Poliński“ . . . . .	XI—XII	188

*Krytyka.*

B. Breszel „A. Neuwert-Nowaczyński: Małpie zwierciadło—satyra“ . . . . .	IX—X	167
Jan Kleczyński „Niewydane dotychczas pamiątki po Chopinie zebrane i wydane przez Mieczysława Karłowicza“ . . . . .	XI—XII	155
„ „Eugeniusz Oniegin—przekład L. Belmonta“ . . . . .	XI—XII	157
Wł. St. „Józef Ruffer: Posłanie do dusz“ . . . . .	XI—XII	159
Tristis „H. Orlicz Garlikowska—Szablon“ . . . . .	XI—XII	160
I. Radliński (Autoreferat) „Prorocy hebrajscy wobec krytyki i dziejów“ . . . . .	XI—XII	161
B. Breszel „Jan Wilhelm Draper: Dzieje stosunku wiary do rozumu—przekład Jana Karłowicza“ . . . . .	XI—XII	164
Agni „Francis Jammes: Le Triomphe de la vie“ . . . . .	XI—XII	165

*Przegląd miesięczny.*

Leon XIII . . . . .	VII	76
Dla Maryi Konopnickiej . . . . .	VII	77
R. Cent. „Pamięci idealistki—Malwidy v. Meysenbug“ . . . . .	VII	79
R. „Myśl“ . . . . .	VIII	125
Orp. „Samokrytyka kapłańska“ . . . . .	VIII	122
„ „Na grobie Adolfa Dygasińskiego“ . . . . .	IX—X	142
Sk. „Nowożytna wieża Babel“ . . . . .	IX—X	144

	<i>Zeszyt</i>	<i>Str.</i>
A. B. „Przed pomnikiem“ . . . . .	IX—X	145
Tristis „Henryk Forszteter“ . . . . .	IX—X	146
Wojciech Wara „Elegancka wszechwiedza“ .. . . .	IX—X	147

*Miscellanea.*

Cezary Jellenta „Trzy drogi wiodące do Ateneum“ . . . . .	VII	82
„ „ „Za twoje myto...“ . . . . .	VII	87
Wspomnienia o Whistlerze . . . . .	IX—X	137
Wojciech Wara „A Winter's Tale (Bajka zimowa)“ . . . . .	XI—XII	167

ODEZWY NADEŚLANE, KONKURSY w każdym zeszycie.  
BIBLIOGRAFIA w każdym zeszycie.

## Wiedza bez talentu.

„W przeszłość uchodzi bezduszna proza, na czoło wybija się twórczy, kształtujący rozum i zapładniająca idea. U szczytów świata prawdziwie intelektualnego wartość dzieł duchowych mierzy się natchnieniem w ich poczęciu, bogactwem w rozrzuceniu ich na świat, płodnością w następstwie, szczerością, siłą i prawdą w ujęciu i wyrazie. Na plan drugi schodzą szczegóły i fakta martwe, na przedzie staje pojęcie *istoty*, zmysł *syntezy*. Duch ludzki zadziera coraz ostrzej i odważniej z taką nauką i taką filozofią, które chcą gwałtem z dawnych twórczych wyżyn schodzić na jałowe piaszczyste mielizny, z żebraczym workiem suchych skórek chleba: wzajemnych cytat, nazwisk, dat, ciągłych aż do niespończoności powtórzeń, szkolarstwa, pedantyzmu i nienawiści dla wszelkiego, gwałtowniej buchającego światła, życia i ducha.

Słowem — dusza przekonywa się coraz więcej, że za dużo powtarza a za mało czuje, ogarnia, przenika i zdobywa“.

W ten sposób dzisiejsze „Ateneum“, rozpoczynając przed rokiem swój żywot, określało stosunek swój do wiedzy i zarazem stosunek sztuki do twórczości wogóle.

Ogół ludzi pióra nie chciał rozumieć tego. Na równi z gawiedzią czytelniczą, wrażliwą przedewszystkiem na okładki, widział tylko ładny papier i druk — a więc coś co „pewnie“ tylko ze sztuką i poezją się kojarzy, a nie rozumiał czy rozumieć nie chciał, że tu się szeroko otwiera wrota nie tylko dziełom

sztuki, lecz i wszelkim utworom rozumowanym, czerpiącym soki z nauki i filozofii, byleby miały w rzeczy samej jakikolwiek związek z natchnieniem i zapałem, polotem i szerokością widnokręgów.

Nasi uczeni, filozofowie, tak nie lubią wpuszczać świeżego, aromatycznego powietrza wiosny do swych dusznych archiwów, laboratoryów, bibliotek, muzeów i tym podobnych urządzeń kolekcyjnych i warsztatowych—że nie widzą, że ktoś otworzył okna na oścież. Mówią wtedy, że to jest paradowanie ładnymi witrażami — a nie, że to pracownia uczonego lub artysty obnaża szeroko swą pierś, byle zaczerpnąć tchu i wejść w komunię z naturą i życiem.

Rozumna, sówioka Atena, światło w ciemnościach, czujność człowieczej duszy pod sklepieniem z puszczowych gałęzi, w lesie drzew, omroczonych nocą,—jest dla naszej inteligencji nie symbolem, wzywającym do współpracy nad rozszerzeniem królestwa dnia i rozumu, lecz winieta, martwym okruczem ateńskiej mitologii i ornamentyki.

Pogląd — mniej lub więcej kreci...

„Ateneum“ chciało i chce być nadal pismem, ujmującym w syntezę, w całokształt — twórczość umysłowości powszechnej i naszej w szczególności.

To znaczy, że hołduje wszelkim wytworom ducha, nacechowanym piętnem oryginalności, indywidualności, ciepłem i humanistycznym poczuciem krewieństwa z żywym człowiekiem i ludzkością, słowem — twórczym.

Bo nie jest twórczem, co powstało tylko w muzeum i archiwum, laboratoryum i bibliotece. Każdy poczciwy i wytrwały pracownik, spędzający życie w jednej z tych wielkich czatowni (do których wchodzi zgięty, jak do lochów lub facyat), prędzej czy później musi coś wynaleść, odkryć — nowy odczynnik chemiczny, nowy szpargał, numizmat, falsyfikat Rubensa lub Rafaela, starą śpiewkę, sztych angielski, rodowód szlachcica z XVII wieku, jednego ze stu tysięcy. Lecz to nie twórczość bynajmniej, to owoc poszukiwań pilnych, wprawnych, mechanicznych nieraz, to szczebel do doktoratu lub karyery w cechu człowieczków, dla których Homunculus jest jeszcze zanadto Prometeuszem.

Nie jest twórczem, co nie wyszło z nagromadzonej energii życia, z pączkowania i kwitnienia bujności, co nie ma pełnej i lazurowej, jak niebo, barwy lotosu i jego liśćmi nie oplata kapiteli kolumnowych wiel-



kiej, jak egipska, panteistycznej świątyni wiedzy i piękna. Tam jeno, gdzie jest owa Guyau'owska żyzność woli, rozumu i uczucia, rozlewająca się na szerz, na ludzkość, na świat, gdzie jest Nietzsche'ański orzeł z mądrą żmiją na szyi — polot i jasnowidztwo — tam jest twórczość.

Nie jest twórczą praca naukowa, gdy jej przedmiot tchnie wyspecyjalizowaniem, jest odcięty od organizmu intelektualnych dążeń, lub spojony z niem tylko nazwą *nauka*, nie umie arteryami swemi połączyć się z ogółem myśli, wypowiedziana jest żargonem jakiegoś ciasnego zakamarka wiedzy a nadęta pretensjami, że reprezentuje... ducha ludzkiego.

Nie jest twórczem, co wyszło jeno z rąk i wytrwałego siedzenia ludzkiego, a nie z duszy. Co to dusza, nikt jeszcze nie orzekł — ale każdy winien ją czuć i nawet — mieć. Jeśli jej nie ma, będzie wszystkim, pisarzem, uczonym, profesorem, doktorem, magistrem, tylko nie — pracownikiem ducha. Już łatwiej określić *bezdusność* — przykładem. Przed kilku laty jeden ze znakomitych zresztą pracowników napisał dwa studia: jedno o cechach szewskich, a drugie o — Ryszardzie Wagnerze. Pierwsze jednak miało patos i górność, jakby opiewało wyroki Wotana — drugie zaś pisane było tak, jak się pisać winno o cholewach. Można było mniemać, że się autorowi pomieszały kartki rękopisu.

Oto — bezdech, i w dodatku taki, co ma wszystkie pozory uniwersalności. Ale nie uniwersalność stanowi o duchu i duchu twórczym. Nie! brak u nas uniwersalnych filozofów, estetyków, którzy jednocześnie piszą o „Krytyce czystego rozumu“ Kanta i o „Madame de chez Maxime“. Są to zwykle najpyszniejsze okazy ciasnoty i bez-humanizmu. Gdy tymczasem umysł twórczy, *syntetyczny*, bez uciekania się do wielo lub wszechstronności, potrafi włożyć we wszystko, czego tknie: i swój światopogląd, i temperament, i poczucie ideału, i świat ogromny, i łączność swą z ludzkością i historią, i ową ukrytą harmonię, która czyni pracę wzniosłą, podobną do dzieła sztuki.

U nas uczonych i filozofów jest bardzo dużo, ale twórczych — bardzo mało. Istnieją wyśmienici znawcy poszczególnych gałęzi umiejętności, ale — niby zagrodnicy, przywiązani do swej piędzi ziemi fanatycznie, nie wychylają po za nią nosa, uważają ją za całą ziemię a — lokomotywę i fortepian mają za apokaliptyczne bestye. A jeśli już nawet ogarniają całokształtnie, filozoficznie, różne następujące się zagadnienia, czynią to z arogancją i butą parafianskich powag, sucho, dogmatycznie

i odstręczająco, albo zimno, ślisko i płazowato, albo słodko, mdło i sentymentalnie — tam, gdzie trzeba być żywotnym, tolerancyjnym i zachęcającym. A zawsze — wrogo usposobieni dla literatury i sztuki, dla tej olbrzymiej, boskiej egzaltacji czucia, natchnienia i mądrości, która była dawnymi czasy pochodnią geniuszom Platonów, Sokratesów i Lukrecyuszów, — kolebką największych bądź co bądź pomysłów filozoficznych. I zawsze wrogo — dla wymagań kunsztu pisarskiego, przejęcia się, porywu, formy. I oto nieraz zdarza się, że rozprawę ciekawą i nową co do treści — socyologa lub filozofa — czyta się jak lichy przekład z bardzo trudnego i mało znanego języka. Wtedy ona zamiast wchodzić wpłowywa się ostrymi zębami w mózg. Jakgdyby nie było na świecie Humboldtów, Maksów Müllerów, Millów, Spencerów, Simmlów, Renanów i Tainów, — choć trudno twierdzić, że i zagranica szczególnie obfituje w ten rodzaj umysłów, mający raczej przyjsć dopiero, niż już istniejący. Jakgdyby nie było wielkich wzorów wysłowienia stylem wielkim, ogólnoludzkim, wzorów wiedzy, tryskającej jak gorące źródło podziemne, żywej, płodnej i ponętnej, którym żywość i zapał nie ujęły powagi i majestatu — a dodały wszechludzkiego blasku.

Albo też jeśli zjawiają się umysły ciepłe i rozlewne — to grzeszą wodnistością i miękkością, albo w najlepszym razie zdolność przystępnego wykładu biorą za jedno z *talentem* i zapominają lub nie wiedzą, że jędrność, siła, energia — to świecący w ciemności fosfor, więcej — elektryczność ducha, która grzmi, błyska, porusza i dźwiga.

I zapominają, że ich nierozumienie piękna w literaturze i sztuce i piękna w nauce, albo że traktowanie go z wysoka, niby czegoś niższego, lub często profaniczne, jak traktuje sztukę publiczność, nie mająca własnego czucia i sądu i rozumiejąca tylko modne, poczytne i pokupne sławy i imiona, — jest dobrowolną autokastracją, jakimś *skopizmem*, od którego stokroć lepszy, bo pożyteczniejszy — *snobizm*.

Ach, nie potrzeba, żeby się u artystów i literatów uczyli pisać — choć im to pewnie nie zaszkodziłoby. Trzeba jedynie, żeby mieli iskrę Bożą — duszę, i miłowali wielką prawdę więcej niż — jak niektórzy historycy nasi — dokładność genealogii Psammetychów lub planu sypialni Artakserksesa, i raczyli zwracać swój wzrok i na świeże soczyste owoce terażniejszości — a nie tylko na ową ucukrowaną figę, o której mowa w „Dziadach“. Wtedy piękno w nauce i filozofii zjawi się samo przez się.

Podobnie — jeno naodwrot — w wielkim artyście zawsze pokutuje poważna wiedza i umiejętność. Są do siebie podobni. Badacz i myśliciel, obdarzony polotem, umiejący stwarzać nowe wartości, zawsze uczuje intuicyjnie wielkiego artystę-*twórcę*, nowego artystę; artysta zaś prawdziwy — na podobieństwo rzetelnego myśliciela — chwytą w lot istotę rzeczy, ogólne, całkowite obrysy ludzi, rzeczy, ich duszę. Obadwaj mają zmysł i zamiłowanie konturów, pełnych, syntetycznych planów, obadwaj żądają jedności i ogromu.

Na głębokim przekonaniu o tem pokrewieństwie i podobieństwie dwu sfer — *Ateneum* buduje swoje aspiracye. Nie zrażone bynajmniej tem, że nie wszyscy je zrozumieli, i że nawet — mówiąc szczerze — mało kto je rozumiał — i w przyszłości walczyć będzie o głębię i bogactwo treści i szerokość horyzontów w sztuce i literaturze i o dostojeństwo talentu i twórczości w badaniu świata i ludzi.

CEZARY JELLENTA.



Podobnie — jako niedostatek — w wielkim zakresie zawsze podobnie  
 powstaje wiedza i umiejętności — są do siebie podobne. Bardziej i mniej  
 jest, oddany podobnie, umiemy i stwarzają nowe wartości zawsze umiemy  
 indywidualnie wielkiego umiemy — nowego umiemy — umiemy — umiemy —  
 wy — na podobieństwo podobnego umiemy — umiemy — umiemy — umiemy —  
 czy ogólnie, całkowicie, obywateli, ludzi, umiemy, jak, umiemy, jak, umiemy, jak,  
 umiemy i umiemy, umiemy, umiemy, umiemy, umiemy, umiemy, umiemy, umiemy,  
 umiemy i umiemy.

Wspomnienie  
 o Herbercie Spencerze.

W połowie grudnia do Parku Golders Green, w okolicach Londynu, przywieziono zwłoki Herberta Spencera i w krematorium spalono; popiół wsypano do urny. Nigdy więc żaden Hamlet nie stanie nad rozkopanym grobem i, z czaszką w rękę, nie wypowie melancholijnych sarkazmów na temat marności wysiłków myśli ludzkiej. Ale nasi hamletyzujący Brunetierzy zapewne długo jeszcze będą smutnie kiwali głowami nad olbrzymim spadkiem wielkiego anglika, po którym — nic nie dziedziczą.

Urna ze śmiertelnymi szczątkami ma być podobno złożoną w Opactwie Westminsterskiem.

W podobnych wypadkach, zwyczajem u nas utartym, wygłasza się w pismach mowy pogrzebowe, tchnące patosem i majestatem *à la* Bossuet. Rozpoczynając od uroczystych przenośni w rodzaju: „słońce zgasło“, albo „myśl, przywdziawszy żalobę, klęka“, albo „odziana kirem, dusza pogrąża się w rozpamiętywaniu“, albo „runął w mogiłę świat cały myśli, dźwignięty ręką jednego geniusza“. Na to Spencer nie zasłużył — nie dlatego, aby plon jego pracy był mniejszy, ale że jest właśnie za wielki, bezmierny. Wobec takiego dzieła szczerzy język może się zdobyć tylko na prostotę.

Niepodobna dać tutaj nawet przybliżonego wyobrażenia o tem, co Spencer zdziałał. Nie pozostawił nietkniętą ani jednej gałęzi wiedzy, któ-

ra dotyczy życia, a często sięgał do świata nieorganicznego i nad-organicznego. Niesłychane obszary w teorii poznania, filozofii, biologii, psychologii, socjologii i etyki sam zorał, zasiał i plon zebrał, a gruntu nie tylko nie wyjął, lecz go użyznił na długie lata. Wprowadził wielkie pomysły i najplodniejsze idee a w mnóstwie niezliczonych kwestyj drugorzędnych — o ile wogóle w nauce może być mowa o drugorzędności — dawał rozwiązania oryginalne. Niepodobna o tem wszystkim tutaj mówić, ba, nawet pokrótce tego zaznaczyć. Ale wypada przypomnieć o tem, co imię Spencera uczyniło nieśmiertelnem, ponieważ nigdy, póki człowiek myśleć będzie, nie zginie: o zasadzie rozwoju.

Czem jest ewolucjonizm? Jeszcze dzisiaj, więcej niż po stu latach od czasów Lamarcka i po pięćdziesięciu, mniej więcej, od pierwszych wystąpień Spencera i Darwina, ogromna większość ludzi, nawet tych, których zamłodu zapalały ich studia, nie zdają sobie z ewolucjonizmu sprawy — tak, aby mieć go we krwi. Wciąż jeszcze słyszymy niezachwiane sądy o niezmienności takiego lub innego stanu społecznego, o doskonałości tego lub owego urządzenia, o trwałości wreszcie takich lub innych instynktów, pożądań i uczuć ludzkich. Nie wystarcza bowiem zaznajomienie się z teorią, nie wystarcza nawet przychylnie jej przyjęcie i jej opanowanie. Trzeba tu czegoś więcej; trzeba szerokości poglądu, polotu, wyzbycia się wszelkich przesądów; trzeba wzniesienia się ponad dobę życia, ponad świat teraźniejszy. Przechodzi to zazwyczaj siły przeciętnego człowieka. Jest dla niego poniekąd niepodobieństwem uznać siebie za nikłą kruszynę w nieskończoności, za atom we wszechświecie. Jego egoizm powstaje przeciwko temu, jego ślepy egoizm, który w sobie widzi — bo to tylko czuje — początek i koniec wszystkiego, gdyż reszta dla niego nie istnieje. Trzeba jakiegoś poświęcenia, podniosłego stanu umysłu, trzeba wysokiego nakazu moralnego, aby zasadę rozwoju uznać za swoją. Wiemy zaś, jak do tego zdolny jest ogół.

Hypoteza Lamarcka o przemianie gatunków i teoria von Baera o embryonie, dały Spencerowi, jak sam przyznaje, jeszcze przed Darwinem, pierwszą podniętę do ewolucjonistycznych wędrówek po wszystkich dziedzinach zjawisk. Zwiedził je wzdłuż i wszerz, a poszedł tak daleko, jak tylko dane jest człowiekowi to uczynić przez krótki, nawet kiedy trwa 83 lat, okres życia. Usiłował on wykazać, że wszystko jest przemijającym a jednak wiecznym, że każde zjawisko genetycznie powiązane jest z nieskończonym szeregiem zjawisk przeszłych i jest źródłem przyszłych, że jest ono mgnieniem w pasmie ciągłych a powol-

nych zmian, że istnieje powiązanie przyczynowe wszystkich fenomenów i że dokonywa się ono w rozwoju. Mówię: zjawisk, a nie — bytu. Bo Spencer choć nie neguje zgoła i nie zmniejsza czci dla Niepoznawalnego, bada rzeczy i istoty w konkretnej ich zależności i daje obrazy widome i namacalne niby olbrzymie freski historyczne kosmosu. Właśnie: nie—bytu, bo nie był to aranżer niknących obrazów tej tendencyjnej i politycznej metafizyki, co to czerpie swą dumę w sztucznie skonstruowanej niezrozumiałości a nie ze szczerzej intuicji świata pozazmysłowego, — ani pretensjonalny kabotyn dyalektyki, ani ekwilibrysta absolutu w szlafmocy niemieckiego *gelehrter'a*. I w tem tkwi cała jego potęga i żywotność, jego moc ożywcza i głęboka, że pokazał nam zjawiska — rzeczy, istoty i stosunki — jako rezultat przeszłości i jako odpowiednię jutra szeroko, rozległe, wszechświatowo i twórczo. Mylił się niezawodnie, częściej może niż inni, ale tylko dlatego, że więcej od innych dokonał. Mylił się w tem, co budował, ale nie — jak budował. Jego metoda zostanie w świecie myśli; puściła korzenie już tak szeroko, że przestała być jego własnością i należy do całego obszaru nauki.

Ewolucjonizm — to nie jakiś punkt widzenia teoretyczny, to — jedyny sposób widzenia, bo teraz rozumiemy, że wytłomaczyć zjawisko jest to wykazać jego pochodzenie. Nie stanowi on jednak wyłącznie metody objaśniającej, nie redukuje się do teoretycznego ujęcia zjawisk, lecz stwarza także pole dla poglądów krytycznych na dany porządek rzeczy, i tu tkwi jego olbrzymia doniosłość praktyczna. Daje on podłoże dla krytyki i jest źródłem nadziei. W nieskończonej perspektywie zmienności pokazuje charakter przejściowy każdego cierpienia, każdej niedoli, każdej ułomności, i — przepowiada ulgę. Cała „Etyka“ Spencera rzuca blaski jakiegoś biologicznego eposu, ozłoczonego optymizmem. To nie optymizm sytego człowieka, to nie filisterskie zadowolenie z tego, co jest, ale wzniosła wiara w życie i potężna pobudka do chęci życia. Był on mędrcom, który łączył ufność w lepsze jutro z rozumieniem powolności rozwoju. Ta harmonia jest może najtrudniejszą dla ludzkiego umysłu. Jedyny Darwin posiadał jeszcze takie odczuwanie natury. Trzeba szczególnej mocy wyobraźni, aby uświadomić sobie z całą jasnością i dokładnością ważność nieznaczących zmian przyrody, które prowadzą do najgłębszych przeobrażeń. Trzeba też dużego umiłowania wszelkich objawów życia, aby z tem wszystkim pielęgnować nadzieję i wlewać otuchę w innych.

Był to wróżbita i znachor w najpiękniejszym tego słowa znaczeniu. Pojmował, że ludzie, którzy świat tworzą, są sami jego częścią, i że to siły przyrody w zmienności swych związków przez ludzkie ręce nowy porządek rzeczy wyłaniają. Błędy jego, za które go napastowano gwałtownie, pochodziły prawie zawsze stąd, że z owego najwynioślejszego stanowiska mędrca czasami zstępował, i we „Wstępie do socjologii“ mamy tego dowody. Ale stanowisko to było szczytem jego umysłu.

Mózg Spencera wchłaniał istoty i rzeczy z wyrazistością artystycznego widzenia. Nie był to szperacz, mól biblioteczny, który polował po kartkach, notatkach i książkach na fakty i przykłady, lecz raczej wielki reżyser, który w niezmierzonej sceneryi swej inteligencji tłumaczył rozgrywającą się akcyę między zjawiskami. Wydaje się, że w głowie swej posiadał mikrokosmos, zmniejszone odzwierciedlenie wszechświata, które pokazywał przez potężną soczewkę swego rozumu w kształtach wyolbrzymionych.

Dlatego dowodzenie jego sprawia wrażenie jakiego swobodnego i szerokiego opisu rzeczy naprawdę widzianych, jakichś równych i rytmicznych rzutów myśli atletycznej, która przenosi się od jednego zjawiska do drugiego, katalogując je w paragrafach. Każda rzecz ma tu swoje miejsce, i najdrobniejsze stają nagle w jasnym świetle sprzęgania się z całością.

Miał on rzeczywiście gotowy świat w głowie — zaraz na początku. W 38-ym roku życia nakreślił już jego plan, który wypełniał przez ciąg swego żywota w 10 tomach „Systematu Filozofii Syntetycznej“ i licznych dodatkowych pracach. Miał on go w głowie w formie spoistej, niby kolosalną konstrukcyę z kryształu. Ciekawem jest, co powiadają, że nie znosił dyskusyi i niecierpliwł się w rozmowie, kiedy czyniono mu zarzuty. Był jak budowniczy, któremu chęć z gmachu wyjąć wiązanie, strop lub kolumnę.

Rozumowanie jego ma moc przekonywającą ogromną, prawie kuszącą. Pochodzi to z obfitości olbrzymiej materiału faktycznego, jaką rozporządzał, i ze ścisłości dowodzenia. Ale było tu coś jeszcze. Jego idea przewodnia o świecie, jako całości, spajała cudownie argumentacyę. Trzeba wiedzieć, jak zawsze naprzód cierpliwie szereguje liczne dane faktyczne i wyciąga z nich wnioski bezpośrednie, indukcyjne, — aż wreszcie przerzucając się do ogólnej wizyi świata, w szerokich dedukcyach, niby zataczając zgóry orle kręgi, coraz bardziej je zacieśnia, coraz zwięża, mierząc w wybrany od początku punkt.

Język jego jest tem, czem chciał, aby był, w rozprawce „O stylu“: odpowiada doskonale swemu przeznaczeniu. Jest przejrzysty jak woda kryniczna, płynny i giętki, dokładny jak cyrkiel, spokojnie odmierza- jący treść. Tkwi w tem duży artyzm, przedziwna harmonia kompozycji, przyjmowane jako rzecz naturalna przez czytelnika, lecz podziwiane przez wszystkich, którzy kiedykolwiek borykali się z niewysłownością własnego rozumowania. Dlatego niektóre rzeczy Spencera, zwłaszcza mniejsze, np. studyum o „Wdzięku“, są prawdziwemi dziełami sztuki.

Był on nie tylko wielkim myślicielem, lecz i wielkim literatem.

A. Bar.





## Nal i Damayanti.

### Pieśń I.

*ô sîd râdîtâ Nalo nâma, Vira sena suto, bali, upapanna  
gunair isxtai, râparâu, aéra kovidah.*

Był sobie król, imieniem Nal <sup>1</sup>, syn Wiraseny, walny w dłoni,  
Wszech pożądaných pełny cnót, foremny ciałem, świadom koni,  
Królewskich mężów rzeszy stał na czele, niby młody bóg —  
Ponad wszystkiemi wzwyż a wzwyż, jako promienny słońca łuk.  
Pobożny, chrobry, znawca Wed, niezwyciężony pan Niszady,  
Czczył prawdę, (w kości lubił grać)—wódz niezliczonych wojsk gro-  
[mady,

Umiłowanie pięknych dziew, udały, zmysłów swoich pan,  
Wyborny łucznik, bożych praw służebnik, jako Manu <sup>2</sup> sam.

I był w Widarbie radża Bhim <sup>3</sup>, król bogobojny i szlachetny,  
Bohater, świętych pełny cnót, spragniony dzieci a bezdzietny.  
Wysiłki wszystkie czynił Bhim, by dźiatwę swego mieć plemienia,  
Aż bramin-riszi <sup>4</sup> przybył doń, Bharato! <sup>5</sup> Daman ów <sup>6</sup> z imienia.  
Więc go bezdzietny radża Bhim, obrzędów znawca, uweseli  
I z żoną wraz, o Panie mój, gościny świętej mu udzieli.  
Wówczas Bhimowi z żoną wraz proroczy Daman łaski powie,  
Że mu się dziewczę-perła-kwiat narodzi oraz trzej synowie:

Więc Damayanti <sup>7</sup>, Dam i Dant i Daman, piękni i wielmożni,  
Chrobrzy a pełni wszelkich cnót i bogobojnem życiem groźni.

A Damayanti krasą lic, czystością, chwałą i urokiem  
Oraz fortuną w rychły czas na świecie słynie w krąg szerokim.  
Gdy jej panieństwa nadszedł czas, służebnic pięknych tłum ochoczy  
I przyjaciółek sto a sto, jakoby Saczję <sup>8</sup> ją otoczy.

A Damayanti pośród nich jaśniała czarem swego lica,  
Promieniejąca ciałem swem, jak błyskawiczna błyskawica.  
Nadczołwieczymi wdzięki lśni, jak gdyby Śri <sup>9</sup> długożreniczna:  
Ani wśród bogów ni wśród yaksz <sup>10</sup> nie była pani taka śliczna,  
Ni kiedy pośród ludzkich rzesz widziana taka ni słyszana,  
Dzieweczka wzruszająca świat, od bogów nawet uwielbiana.

Nieporównany zasię Nal, potężny ludów wojewoda,  
Pięknością swego ciała lśnił, jako Kandarpy <sup>11</sup>) lśni uroda.  
Że wobec Damayanti wciąż Nala sławiono pieśnią słów,  
A wobec Nala sławił świat cną Damayanti znów a znów:  
Na niewidziane, miłość ich, gdy ich tak wzajem wielbi świat,  
Wzajemna, królu, z obu stron zakwitła jak lotosu kwiat.

I Nal, nie mogąc uczuć swych powstrzymać w sercu potajemnie,  
Koło babieńca ruszył w las — i siadł ukryty w jego ciemnie.  
Tam złotoskrzydłych gęsi rój obaczy, zabłąkanych w lesie —  
I, goniąc, schwycił jedną gęś, a ta mu lekko w dłoni rwie się,  
I ludzką mową rzecze ptak do Nala: — Radżo, nie z twej ręki  
Ja zginąć mam! Ja sprawię ci usługę godną twej podzięk.  
Przed Damayanti, królu mój, twe imię słać będę wciąż,  
By nad cię w myśli panny tej nie powstał żaden inny mąż.  
To gdy usłyszy, złotą gęś wypuścił z dłoni król wspaniały  
I gęsi oddaliły się — i do Widarby poleciały.

A gdy w Widarbie były już — przed Damayanti w lot się kładą  
I po ogrodzie błędzą znów. Królowną ujrzy gęsi stado —

Skrzydłaków dziwokszałtny rój: wnet sama, a z nią dziewic koło  
 Poczyna gonić ptaki te—i w dłonie chwycić je wesoło.  
 Wnet się rozpierzchła gęsia czerń — gdziebądź śród krzaków tej gę-  
 [stwiny,

Tedy zosobna gęsią czerń poczęły ścigać w skok dziewczyny.  
 Zaś owy dziwokszałtny ptak, co go królowna trzyma w dłoni,  
 Ten, głosem ludzkim mówiąc tak, wyrzecz naraz wieszczdo do niej:  
 —O Damayanti, jest-ci Nal, Niszadzki książę, do Aswinów<sup>12</sup>  
 Raczej podobny ciałem swem, niż do człowieczych nikłych synów.  
 Gdyby, o najpiękniejsza z dziew, ten ci był mężem, pełny cnót,  
 Owocny byłby taki siew i kształtów twych uwiecznił ród.  
 Gdyż bogów my, gandarwów<sup>13</sup> my, i rakszów<sup>14</sup> też, i ludzi, węże<sup>15</sup>  
 Widzieli: nie był przecie nikt taki jak owy mąż nad mężę.  
 Gdy ty więc perłą dziewic, Nal—ozdobą mężów (prawi gęś)—  
 Złączyć te wielmożności dwie: toż doskonała będzie więz.

Więc Damayancie słowa te, skoro wygada wieszczy ptak,  
 Królowna rzecze: Ptaku mój, ty mów Nalowi tak a tak.  
 Jajoród na to znowu: Tak! I z pól Widarby leciał precz,  
 I do Niszady wrócił znów — i opowiedział całą rzecz.

## Pieśń II.

*Damayanti tu tacx czhrutō vacxo hamsasya, Bhārata!  
tatah prabhūti na sva syā, Natam prati babhū va sâ.*

Gdy Damayanti, Panie mój, tych złotej gęsi słów wysłucha,  
Nie swoją odtąd była już: u Nala bawi treść jej ducha.  
Więc zagłębiona w tajną myśl, więc wynędzniała, bladolica,  
Wzdychaniem duszę rwała wciąż, w snach pogrążona swych dzie-  
[wica.

Patrzała ciągle w dal a w dal, szaloną zdając się na oko,  
Pobladała miała twarz, a duch gorzał w niej ogniem żądź głęboko.  
Radości żadnej nie ma już ni w jadle, trunku, ani w grach:  
Nie sypia ani w noc ni w dzień — i płacze, wzdycha wciąż: ach, ach!

Że więc nie swoja, drużki jej poznały przez to zachowanie  
I do Widarby pana szły, by mu powiedzieć o jej stanie:  
— Nie swoją Damayanti jest dla królewicza z pól Niszady!  
Co gdy usłyszy radża Bhim od druzek córki swej gromady,  
Rozważa dziecka swego rzecz, ile że ważną to jest sprawa,  
Dla czego Damayanti dziś, jakby nie swoja się wydawa.  
Widząc, że panna wchodzi już w dojrzałą dobę krwi swej młodej,  
Znalazł, że nadszedł dla niej czas, by zwolin<sup>16</sup> jej ogłosić gody.

Wołaniem wielkiem, Panie mój, zawoła króle, wojewody:  
— Niech bohaterzy zjadą tu, na zwolin córki mojej gody.  
Ten gdy usłyszą króle głos — na Damayanti zwolin gody,  
Spiesznie na Bhima jadą dwór — jadą przez ziemie i przez wody.

Aż hukiem słoni — koni — kół rozdzwonią ziemi ukraiiny,  
 Ich wieńce płoną tęczą barw, na pokaz strojne ich drużyny.  
 Tych wielkoreki radża Bhim — mocarzy chrobrych i szlachetnych  
 Z stosowną wszystkich witał czcią — i żyli tam w zaszczytach świe-  
 [tnych.

A właśnie był to czas, gdy dwaj najwięksi risziowie z Surów<sup>17</sup>,  
 Najwielebniejsi, idąc szli do Indry<sup>18</sup>, pana śród lazurów.  
 Był-ci to Narad<sup>19</sup>, Parwat<sup>20</sup> z nim, tajniom pobożnych prawd od-  
 [dani:

Na zamek radży bogów szli i ze czcią byli powitani.  
 Cześć im złożywszy, potem bóg, wyniku świadom, o ich los  
 Oraz o zdrowie, jakbądź szło, Kaurawyo<sup>5</sup>, pyta w wielki głos.  
 — Jakkolwiek idzie, obaj my, jesteśmy zdrowi, Maghawanie<sup>21</sup> —  
 I królów ziemskich dzisiaj ród zdrów jest, Wielmożny bogów panie

Zabójca Writro-Bala<sup>22</sup> więc, Narada ukojony słowem  
 — Królowie — rzekł — świadomi cnót, walczący w życiu pogrobowem,  
 Co mkną ku zachodowi — w czas — z nieodwróconą twarzą wstecz,  
 Którym, jak moja Kamaduk<sup>23</sup> — jest świat ten — grzechu pełna rzecz —  
 Gdzie jest ten bohaterów ród, bo ich nie widzę w błękitności  
 Wchodzących tutaj z ziemi sfer, tych ukochanych moich gości?

Gdy Sakra<sup>24</sup> rzecze słowa te, natychmiast Narad mu odpowie:  
 — Słuchaj, o Maghawanie nasz, czemu nie wchodzi tu królowie?  
 Jest Damayanti, perła dziew, córą monarchy pól Widarby  
 Nad wszystkich niewiast ziemi blask, wyższa swoimi piękna skarby.  
 A że się mają odbyć wraz, Sakro, zwoliny jej dziewicze,  
 Tedy na Bhima jasny dwór — spieszą królowie, królewicze.  
 Że Damayanti perłą dziew, więc ku niej żądza ich rozpala  
 I pragną posiąć owy skarb, wielki zabójco Writro-Bala.

Gdy Narad mówił słowa te, Agni<sup>25</sup> i pany niebostolów,  
 Najbardziej nieśmiertelne szły do Indry, ducha wszechżywiolów.

A gdy wyrozumieli treść słów, które Narad prawił cny:  
 — Zaiste — rzecze każdy z nich wesoło — pójdziem tam i my!  
 Więc każdy orszak wziął i wóz — i wielkich bogów rzesza święta  
 Pospiesza do Widarby tam, gdzie są już króle i księżęta.

Toć-że, Bharato, i król Nał, gdy Bhim obwołał zjazd mocarzy,  
 Ku Damayancie spieszył rad, bo mu ją głos przeznaczeń darzy.  
 Więc go ujrzeni władcy nieb, jako na niskiej ziemi stał,  
 Właśnie, jakoby Manmat<sup>26</sup> sam, najforemniejsze z bożych ciał.  
 A gdy go ujrzą władcy nieb, że stał, jak gwiazda jaśniejąca,  
 Patrzą na niego, jak na dziw, bogowie, jutro wszechwidzący.  
 Więc zatrzymawszy wozów bieg, mieszkańcy pozaświatów wiecz-  
 [nych  
 Do królewicza Niszad w głos okrzykną z siedlisk napowietrznych.  
 — Hej, Nalu, Indro-ludzki, hej! oddany prawdzie wszystko-rzeczy,  
 Pomóż nam, posłem naszym bądź, ty, z ludzi najbardziej człowieczy!

## Pieśń III.

*ta syah pratidhāya Nalah Karisya iti, Bhārata! athai  
'lān paripapracexhā, kritāndhalir upasthitah.*

Tym przyrzekając mówi Nal:—Tak-ci uczynię! i schylony  
Wraz pytał ich, Bharato mój, ze złożonemi w krzyż ramiony.  
—Któż wy jesteście i któż ów, co mam mu posłem być, mocarze,  
I cóż mi spełnić przyjdzie dlań? Powiedzcie, jako prawda każe.  
Te gdy wyraził słowa Nal, Maghawan rzecze mu łaskawie:  
—Wieczystych bogów widzisz w nas, a w Damayanti jedziem sprawa-  
[wie.

Jam Indra, ten-ci Agni-żar, zaś ów jest oceanów Duch <sup>27</sup>,  
Ów Yama <sup>28</sup>, królu, mroków pan, co ciała ludzkie miażdży w puch.  
Więc o przybyciu naszym ty powiadom naprzód cną Bhaimię <sup>28</sup>,  
Że oto jadą na jej dwór bogowie: ogłoś nasze imię.  
Bogowie posiąć ciebie chcą: Waruna <sup>29</sup>, Sakro, Agni, Yama,  
A ty jednego z bogów tych — za męża wybierz sobie sama.  
Gdy Sakra wyrzekł słowa te, złożywszy dłonie, Nal odpowie:  
— W tym samym celu dążę ja: nie posyłajcie mnie, bogowie.  
Jakże, gdy zdrowy rozum ma, człowiek potrafiłby kobiecie  
W cudzem imieniu mówić tak: święci, toż mnie wyrozumiecie!  
— Tak-ci uczynię, rzekłeś nam — już pierwej, królu nasz wysoki.  
Jakże się cofnąć teraz chcesz? Więc idź, Naiszado <sup>30</sup>, idź bez zwłoki.  
Tak przekonany słowem bóstw, odparł Naiszada, spraw świadomy.  
—Jakże przestąpię domu próg: strzeżone pilnie są tam domy!  
—Przestąpisz próg— odpowie bóg Mahendra <sup>31</sup>, wielki władca gromu.  
Więc ruszył ów, wyrzekłszy: Tak! do Damayanti ruszył domu.

I Widarbiankę ujrzał tam, swych drużek otoczoną kołem:  
 Przejaśniająca ciałem łśni, nieziemskie wdzięki nad jej czołem.  
 Wiotka jej kibić, luby czar subtelnych członków, a żrenica  
 Zaciemnia zda się blaskiem swym promieniejący blask księżyca.  
 A właśnie miłość rosła w nim ku tej dziewicy uśmiechniętej  
 I miłość jej zdobywał sam, gdy chciał wykonać rozkaz święty.

Gdy ujrzał Nala dziewcząt chór, wnet poruszony tłum uroczy,  
 Jego piękności bacząc dziw, aż na krzeselkach swych podskoczy.  
 I wysławiały Nala wdzięk w podziwiewie krasy jego lic  
 I w duszy mu składały hołd, lecz głośno nie mówiły nic:  
 — Ha, co za piękność, co za blask! ha, co za śmiałość przejść tu próg!  
 Czy to gandharwa czyli yaksz? czy asur<sup>32</sup> czyli który bóg?  
 Te więc nie mogły mówić nic przesłiczne drużki cnej królowny,  
 Choć je uderzył jego czar — i wstyd je zarumienił rzewny.  
 Uśmiechniętemu, patrząc nań, wówczas królowna uśmiechnięta  
 Cna Damayanti, rzecze tak, zdumieniem wielkiem też ujęta:  
 — O ty, przepiękny, mów, ktoś jest? ty, miłość mą rozniecający!  
 Tyś, bohaterze, jako bóg tu wszedł, bezgrzechem jaśniejący.  
 Chcę poznać cię! Jak jesteś tu — i jak tu wszedłeś niewiadomy?  
 Surowo tu zakazan wstęp! Strzeżone pilnie nasze domy.

Więc powie Nal, gdy rzekła doń tak Damayanti promieniująca:  
 — O niezwyczajna, jam jest Nal! Powitaj we mnie bogów gońca.  
 Bogowie posiąść ciebie chcą: Waruna, Sakro, Agni, Yama.  
 Ty zaś jednego z bogów tych za męża wybierz sobie sama.  
 Z ich to potęgi jam tu wszedł — jam niewidzialny wszedł nikomu.  
 Nikt mię nie dostrzegł, wstępu nikt nie czynił mi u progów domu.  
 Oto, żem poseł boży jest, więc tu przez boży wszedłem rząd,  
 A ty, wybranko, rozważ rzecz — i, jak się zda, poweźmij sąd.



## Pieśń IV.

*Sâ nâ mâs kri tyâ devebhyah, praha sya Nâ tam abravî:  
pranay sva yatha śraddham, radhân, kin karâ vani te?*

A ta, złożywszy bogom cześć, z uśmiechem tak mu odpowiada:  
— Jako twa chęć, małżonkę bierz, radżo, cóż czynić mi wypada!  
Bo ja, rzecz ważąc, nie mam nic okromia samej siebie, panie,  
A to jest wszystko twoje dziś! Czyń ślub, jak miałam zwiastowanie!  
Pieśń złotej gęsi w lasku tam! o wojewodo, ta mnie pali.  
Dla ciebie Nalu z woli mej, królowie tutaj się zjechali.  
I gdyby uczuć moich żar odepchnął wiarodawca Nal,  
Przez ciebie pójdę szukać ja trucizny, ognia, głębi fal.

A gdy Vaidarbia <sup>33</sup> słowa te wypowie, Nal jej wręcz odrzeka:  
— Gdy bogi świata ciebie chcą, czemu pożądasz ty człowieka?  
Wobec tych, co stworzyli byt, wobec tych panów niepojętych:  
Jam lichszy, niżli pył ich stóp. Zwróć ducha do tych wniebowziętych.  
Bo gdy śmiertelnik bogom krzyw, toć nań już czyha śmierć złowroga:  
O najpiękniejsza z bogów tych, ty najwyższego wybierz boga.  
Niebiańskich girland barwny czar, bezpylnych promienistość szat,  
Ozdoby-ć nieśmiertelne da ten wiekuisty bogów świat!  
Toż boga, co ujawszy glob, znów kiedyś polknie go w eterze,  
Hetmana bogów, Agni, mów, któraż za męża nie wybierze?  
Tego, co postrach berłem swem rzuca na wszystko byto-zwierze  
I do wysokich zmusza cnót — któraż za męża nie wybierze?  
Toż Ducha — Wielkoduca cnót, co zniszczył Danw <sup>34</sup> i Ditów <sup>35</sup> leże  
Indrę — istotę istot wszech — któraż za męża nie wybierze?

Niechaj się stanie, jak twój sąd: ze zwątpień oczyść swego ducha —  
Jednego z nieśmiertelnych bierz, — o piękna, wierzaj słowom druha.

Gdy poseł wyrzekł słowo te, królowna zwróci się do Nala,  
A jej źrenice rosi łza, płyn co się w troskach wykryształ.  
— Złożywszy bogom winną cześć, królu, co wiedziesz ludzki huf,  
Ciebie za męża wybrać chcę: klnę się na prawdę moich słów!

Drżącej odrzecz na to król, złożywszy na krzyż ręce prawe:  
— Posłem przybywam pod twój dach. Mogę-li własną toczyć sprawę?  
Jakże, a zwłaszcza gdym się kłął przed nieśmiertelnych rzeszą jasną,  
Skoro zacząłem cudzą rzecz, zasię mam rozpoczynać własną?  
To służba boża, na to bacz. Gdy moja sprawa potem będzie,  
Dla siebie działać będę sam. O dobra, racz to mieć na względzie!

Więc przelzawiony wznosi głos królowna o jasnym uśmiechu  
I zwolna rzecz, cała drżąc, do Nala, który nie zna grzechu.  
— Lekarstwo to mi zda się złe, o panie ludów, to mój sąd.  
Na żaden sposób, władco mój, nie może tutaj być twój błąd.  
O doskonały, słuchaj mię! Indra śród bogów swych drużyny,  
Niech przyjdzie! Z nimi przybądź ty w dzień, kiedy będą me zwoliny.  
Ja wobec panów bytu sfer, ciebie, o książę ludzkich ras,  
Ciebie wybiorę, ludzki lwie! A tak nie będzie grzechu w nas!

Rzecz wysłuchawszy, radza Nal, opuścił zamek, o wszechpanie,  
I spiesznie znów powrócił tam, gdzie czterech bogów jest zebranie.  
A widząc zdala, jako szedł, bogowie, istnień wszechpanowie —  
Ujrzeni go, pytali go, co o tej właśnie rzeczy powie.  
— Czyś Damayanti widział, mów. Królowny jasno uśmiechniętej  
Jakież są słowa dla nas, mów, o Nalu, grzechem niedotkniętej!  
— Wielmożne bogi! od was jam posłany był na dwór dziewicy,  
Przeszedłem progi wielkich wrót, choć siwi strzegli ich strażnicy.  
A gdym wstępował na jej dwór — nie widziało mię żadne oko  
Prócz Damayanti! Zgadniesz w tem, o bogi, waszą moc wysoką!

Widziałem też jej panien chór—i one również mię widziały,  
A widok mój był dla nich dziw—zaiste, władcy pełni chwały.  
Gdym jej wystawił zamysł wasz—słuchałem sądu Bhima dziewy,  
Lecz bezrozumna jeno mnie wybrała ona, wielkie Dewy!<sup>36</sup>  
Więc Damayanti rzecze tak: Indra śród bogów swych drużyny  
Niech przyjdzie: z niemi przybądź ty w dzień, kiedy będą me zwoliny.  
Ja wobec panów bytu sfer, ciebie, o księżę ludzkich ras,  
Ciebie wybiorę, panie mój, a tak nie będzie grzechu w nas.  
Jak się odbyła cała rzecz, tak wam doniosłem ją, zaiste.  
Wszystko to prawda. Ale moc macie wy, bogi wiekuiste!

## Pieśń V.

*atha kale 'subhe prāpte, tithau punye, kszano tathā ā dāu-  
kava mahi pālān Bhimo rādīā svayamvare.*

Więc w księżycowy czysty dzień, w stosowną porę, chwilę, czas,  
Zawezwał na zwoliny Bhim mocarzy ziemi: Wzywam was.  
Królowie, słysząc Bhima głos, że w nich miłości płonął brzask,  
Spiesznie na uroczystość szli, spragnieni Damayanti łask.  
Przez wrota, których słupy lśnią srebrnemi i złotemi skry,  
Na amfiteatr władcy szli, jak na szczyt góry wchodzą lwy!  
Więc różnolitych siedzeń krąg zajęło wielkich mężów krocie,  
Barwne im wieńce zdobią skroń, a szaty w perłach skrzą i złocie.  
Ramiona-ś tęgie widział tam, jak z bronzu kute lub spiżowe  
I delikatne, giętkie tak, jakgdyby węże pięciogłowe.  
Królowie bujny mieli włos, szlachetne czoła, oczy, brwi,  
A od ich twarzy padał blask, jaki od gwiazd promieni lśni.

I na ten świetny królów zlot, tak właśnie pełny wielkich mężów,  
Jako pieczara pełna lwów, jak Bhogavati pełna wężów—  
Na amfiteatr ze swych izb przezczysta Damayanti szła,  
Aż na jej piękna jasny czar—i wzrok i duch mocarzy drga.  
Gdy na nią chciwy padnie wzrok tych wielkodusznych władców grona,  
Żrenica zapatrzonych trwa olśniona i znieruchomiona.

A gdy imiona jęto w głos czytać książęcia po książęciu,  
Ujrzy Bhaimia, królu mój, całkiem podobnych mężów pięciu.

Gdy ich obaczy pięciu wraz, a żadna w kształcie ich różnica,  
W zwątpieniu Vidarbiana drży, czy Nala pozna królewica.  
Bo na którego rzuci wzrok — ten jej się pewnie zda Naiszada,  
Tedy wysiła się jej duch — i z trudem sobie rzecz przekłada.

Które zaś są oznaki bóstw — słyszała o tem — więc uważy.  
— Które zaś są oznaki bóstw, — jak mi gadali ludzie starzy,  
Śród tych, co tu na ziemi tkwią — niewidzę żadnej bóstw oznaki!  
I wciąż rozważa, baczy wciąż, jaki z nich bóg a człowiek jaki?  
Więc długo rojąc w duchu swym, postrzega w końcu pełna trwogi,  
Że snadź właściwy nadszedł czas, aby o łaskę prosić bogi.  
I głosem więc i duchem swym w modlitwach się rozplywa czystych  
I drząc, ramiona składa w krzyż — i wzywa bogów wiekuistych.

— Nal, jak mi wieszcy mówił ptak, ma być wybrańcem mym w tej po-  
O błagam, w imię prawdy tej, objawcie mi go, Duchy boże! [rze,  
Ani mój głos, ani mój duch po za tę wieszczbę przejść nie może,  
O błagam, w imię prawdy tej, objawcie mi go, Duchy boże!  
Jako z wyroczej woli nieb, jemu znaczone moje łoże,  
O błagam, w imię prawdy tej, objawcie mi go, Duchy boże!  
Jakom zrobiła wielki ślub, że nic miłości mej nie zmoże,  
O błagam, w imię prawdy tej, objawcie mi go, Duchy boże!  
Przybierzcie znowu własny kształt, wy, co czuwacie tam z wysoka,  
Bym poznać mogła, który z was jest tygrys ludzki, Punyasloka! <sup>37</sup>

Więc, gdy usłyszy grono bóstw cnej Damayanti pieśń żalosa,  
Jej rady mądrość, prawdy cześć i tę Naiszady cześć miłosną,  
Jej nieskalaność, czystość żądź, pobożną wiarę słów wyroczych.  
Toż się przychyła do jej prośb — odkryciem znaków swych widocz-  
[nych.

Wzrok miał bez ruchu każdy bóg, pot ich nie plami ani kurz,  
Ni świeżych wieńców kazi pył: nad ziemią stoją nieco wzgórz.  
Dwoisty cieniem przy nich Nal, z wieńcem powiedłym w pyłu rdzy  
Na ziemi stał, u nóg miał kurz, a wzrok migota mu i drży.

Teraz, Bharato, pozna już, kto jest śmiertelnik, a kto Dewa,  
I prawowicie, panie mój, obiera Nala piękna dziewa.  
Zarumieniona, krajem szat, podnosząc w dłoni swej szlachetnej,  
Na barkach Nala — perła dziew — położy wieniec cudokwietny.

I za małżonka w sposób ten wybrała księcia pól Niszady,  
Aż głośno w okół: ach — i — ach! wołają królów cne gromady.  
Bogowie zaś i riszich tłum poczęli wołać: chwała, chwała!  
I podziwiali go — i cześć jęła mu składać rzesza cała.  
Toż wolniej dysząc, radża Nal, syn Wiraseny, o Kaurawya,  
Tak mówił Damayancie swej, w której mu piękno się objawia.  
— Że śmiertelnego, jasna, czcisz, gdy wobec ciebie są bogowie,  
Tedy małżonkiem swym mnie znaj, oddanym wiecznie ci w tem sło-  
[wie.

Dopóki w ciele mem trwa duch, o ty, uśmiechem swym pogodna,  
Dopóty z tobą będę ja: to prawda moja niezawodna!

Ucieszył ją tą mową Nal — i złączył z dłonią swą jej dłonie,  
Aż ujrzą: oto ku nim szedł Agni na czele w świętych gronie.  
Więc się oddaje serce ich pod skrzydła łaski tych Amarów<sup>38</sup>,  
A wybrańcowi perły dziew — strażnicy bytu wszechobszarów,  
Rozradowani ucztą snadź, Nalowi — dadzą osiem darów.  
Widzenie boga w czasie żertw i losów bieg pomyślny wciąż —  
Ten dar Naiszadzie Sakra dał, umiłowany Saczji mąż.  
Agni mu dał, że zawsze Nal mógł stanąć w miejscu tem, gdzie chciał,  
I samo-promieniący świat w mroku — mu Agni jeszcze dał.  
Yama zaś dał wytrwałość cnót — i na żądanie jadła cud;  
Pan wód, że gdy zapragnie Nal — wszędzie się zjawi głębia wód —  
I wieńców wiecznie świeżą woń: a każdy wróżył dzieci dwoje.  
Takich mu dawszy osiem łask, bogowie poszli w swe pokoje.

Zaś króle, widząc ten ich ślub, pełni radości w onej chwili,  
Że Damayanti bierze Nal — wracali do dom, jak przybyli.

Gdy się rozplynął królów zjazd, król Bhim radosny parze młodej —  
Prześlicznej Damayanti swej z Nalem — wyprawił huczne gody.

I żył w Widarbie, póki chciał, Naiszada obok swej dziewicy,  
A potem go odpuścił Bhim — i wrócił Nal do swej stolicy.

Zyskawszy żonę perłę żon, Nal, co jak słońce ludom lśni —  
W błogich rozkoszach, Panie mój, jak Indra z Saczją pędził dni.  
Wybraniec szczęścia, radza Nal, narodów pan niezrachowanych,  
Miłośnik prawdy, sługa praw, zmienił poddanych swych w oddanych.  
Więc jako Nahusz<sup>39</sup> ojcu w cześć — bił bogom liczne pary koni<sup>40</sup> —  
I wiele innych składał żertw, świadom pobożnych ceremonii.  
I z Damayantą zrodził Nal — dzieciątek dwoje na ten świat:  
Syna, co zwał się Indra-sen i Indra-senę córę-kwiat.  
Ofiary bogom czyniąc Nal — i rozkoszując się naprzemian,  
Panował, błogi ziemi pan, nad błogą ziemią błogich ziemian.

Przełożył *A. Lange.*

## Objaśnienia.

## PIEŚŃ I.

- 1) Nal — strzała, bystrość, poryw, polot; imię króla Niszady.
- 2) Manu — Adam indyjskich podań; człowiek wogóle i zarazem Mojżesz prawodawca. (Prawa Manu).
- 3) Bhim — budzący trwogę, bojaźń; imię króla Vidarby.
- 4) Riszi — kapłan, mędrzec, pustelnik.
- 5) *Bharata*. Powieść tę opowiada pewien riszi (Brhada swa) Yudisterze, jednemu z wygnanych i pokutujących królów z rodu Kuru; zwraca się więc ciągle do niego mówiąc: Panie mój, Królu mój, Wielmożny panie — albo też zowie go Bharatą — jako potomka władcy tego imienia; zowie go Kaunteya — jako syna króla Kunti; Kaurawya — jako przedstawiciela rodu Kuru; nawet Pandawa — jako krewnego królów Pandu, którzy ród Kurusów wygnali z państwa.
  - 6) Daman — łac. Dominus.
  - 7) Damayanti — Dominans, panująca, zwycięzka.
  - 8) Saczi — Potęga, Pomoc; bogini małżonka Indry.
  - 9) 'Sri — krasa; bogini piękności.
  - 10) Yaksze — duchy szybkołotne.
  - 11) Kandarpa — Kupido, bóg miłości.
  - 12) Aswiny — Dyoskury indyjskie, bogowie zorzy porannej.
  - 13) Gandharwy — śpiewacy boscy na dworze Indry.
  - 14) Raksze — duchy nocne, złe duchy.
  - 15) Węże (uraga) — tu w znaczeniu bóstw.

## PIEŚŃ II.

- 16) Zwoliny — svayamvara — wybór (samo-wyбір) męża przez pannę, opisany w pieśni V. Po czesku tłumaczy Schleicher: *volba*. Biorę tu wyraz *zwoliny* na wzór: Matko zwolona.



- 17) Sury – bogowie, półbogi.  
 18) Indra – najwyższy bóg wedycki, bóg nieba, gromu.  
 19) Narad – półbóg półriszi, posłaniec bogów.  
 20) Parwat – jego towarzysz.  
 21) Maghawan – szczodry rozdawca dóbr, przezwisko Indry.  
 22) Zabójca Writro Bala – przezwisko Indry, nadane mu z powodu zniszczenia dwóch smoków tego imienia.  
 23) Kamaduk, dosłownie krowa-żądź, demon namiętności.  
 24) Sakra – Potężny, przezwisko Indry.  
 25) Agni – Ogień; bóg światła i ciepła.  
 26) Manmat – Amor, Kupido.

## PIEŚŃ III.

- 27) Oceanów duch, bóg wód – Waruna.  
 28) Yama – Pluton, bóg śmierci i świata podziemnego.  
 29) Bhaimia – tak się zowie Damayanti, jako córka Bhima.  
 30) Naiszada – tak się zowie Nal, jako król Niszady.  
 31) Mahendra – Maha Indra, Wielki Indra.  
 32) Asur – jako przeciwieństwo do Sur – bóg oznacza jakby nie bóg, pół bóg, duch; znaczy też poprostu bóstwo.

## PIEŚŃ IV.

- 33) Vaidharbia – tak się zowie Damayanti, jako królewna Vidharby.  
 34) Danwy – złe duchy.  
 35) Dity – złe duchy, zamknięte w skończoności. W przeciwieństwie do nich bogowie zowią się *Aditi* – nieskończeni.  
 36) Dewa – łac. Deus, bóg.

## PIEŚŃ V.

- 37) Punyasloka – mąż czystej sławy, przydomek Nala.  
 38) Amara – nieśmiertelny, bóg\*.)  
 39) Nahusz – imię dawnego króla.  
 40) Ofiara koni; zwana Aswamedą.

---

\*.) Poemat indyjski składa się z *dwu wierszy* t. zw. sloka. W tem miejscu jest brak jednego wiersza. Bopp robi slokę trzywierszową; inni (np. Lanman) oznaczają linią kropkowaną brakujący wiersz. Idę tu za Boppem i daję slokę trzyrymową.

## „Acedia“.

Czytałem „Nowe Życie“ Danta i podobała mi się bardzo ta jego forma pamiętnika, ta naiwna prosta szczerłość, z jaką opowiada o marzeniach swoich i widzeniach, z jaką tłumaczy ideę, w swoich sonetach zawartą, i uczy, gdzie idei tej szukać.

I przyszło mi wówczas na myśl, żeby w tej formie „nowego życia“ wypisać swoje sny i widzenia. Tylko nie nadawała się do tego kancona ani sonet, nic nie było z erotycznych rozemdleń w duszy mojej. Była w niej tęsknota czynu, żądza mocy, była wielka pustka, a pustkę tę chciałem wypełnić czynem: jednym słowem, jeśli Dant w złocie cyzelował „Nowe Życie“, ja chciałem wykuwać je we stali. Ale zarówno jedną, jak drugą czynność można robić prosto i szczerze, można ludziom pokazać nie tylko ostrza wykutych mieczów ale i kuźnię, gdzie się ich stal w ogniu żarzy, gdzie jest pożar i męka. Można pokazać ludziom czarne i spalone dłonie, ciężkie, niezgrabne miechy, kowadła i młoty, — czy potem klingi w tej kuźni wykute trudniej będą wchodziły w piersi człowiecze, nie tak bolesną będzie ich rana?

Dant pokazywał misterne narzędzia złotnika, ja chcę prowadzić do kuźni, może to nie jest artystyczne i razić będzie wrażliwe czucia — wątpię, zresztą wszystko jedno, nie chodzi mi o artystyczność, ale o szczerłość, chcę być szczerzy, a choć mię może nie pyta nikt, chcę mówić.

Więc było tak, że mię bardzo gnębiło Życie. Życie jako filozoficzna synteza; jako nieznaną władną moc, która, położywszy dłonie swoje Kainowe na ramionach świata i ludzkości, ku ziemi przygniatała kark; Ży-

cie, jako symfonia głosów boleśnie szarpiących duszę; Życie, które uplastyczniał bym w postaci jakiegoś sfinksoatego potworu, z chłodnym uśmiechem rozrywającego pierś człowieka. Człowiek byłby tu wyobrażeniem ducha, twórczego ducha.

Tu muszę wytłómaczyć, że mówiąc „twórczy duch“ mam na myśli tę moc, o jakiej mówi Słowacki w „Genesis z ducha“; mam na myśli tę potęgę niewiadomą, która z nieznanych źródeł wyszła przed czasem nieobliczonym, ażeby w kolejnej przemianie kształtów wznosić się coraz wyżej, iść do coraz większej doskonałości, do ostatecznego ideału, Boga, Absolutu, czy Nirwany,—to mi jest wszystko jedno. Otóż zdawało mi się, że kiedy zamkniętymi oczyma spoglądam w głąb samego siebie, widzę tam odbicie, jakieś echo stłumione tych właśnie ducha dróg. Jak wstawał nasamprzód Jeden, Wielki, Potężny, a potem rozpadał się i rozbijał na tysiące i tysiące Małych i Słabych, a one małe i słabe stawały ze sobą do walki, a lata szły i coraz więcej było walczących małych i słabych potęg, a zwycięstwem, jakiego w walce tej szukały był znowu On Jeden Wielki i Potężny. Tworzył się chaos i chaos ten bolał mię, bo czułem w sobie okruszyny tego ducha, dążące do rozprzężenia i czułem w sobie bezmierną tęsknotę ku *Jednemu*.

Stałem więc bezsilny przed tą panteistyczno-mesyaniczno-ewolucyjną zagadką i nie umiałem znaleźć żadnej przewodniej myśli, kierowniczej idei, więc wpadałem w rozpacz. Może rozpacz moja była śmieszna, żądałem rzeczy, której niemożliwość jest zbyt oczywista.

A przed oczyma idą obrazy jedne za drugimi, idą wzloty i upadki, idą tęsknoty i nadzieje, walki krwawe, śmierć, skarga i przekleństwo, a tam ekstazy święte... idzie to wszystko i płynie...

Kiedyś w słoneczny skwarny dzień, leżałem na skraju lasu, wcisnąwszy się w miękką mech, głowę oparłem o pień starej sosny, co mię otaczała cieniem i balsamiczną wonią, i myślałem o tych trapiących zagadkach. Myśl wlokła się ciężko i leniwie, powietrze pełne było słonecznego żaru, który nie usposabiał ani do miłości, ani do pracy, ani do myślenia, kazał pragnąć pościeli mchów i far niente. Przedemną było szare pole spalone słońcem, grające fioletowymi odblaskami po skibach odrzuconych wczoraj albo dziś z rana, świeże skiby ciemniej się odrzynały, dalej był znowu las i cicho stały sosny, tylko ich czerwone pnie w słońcu gorejąc oślepiały oczy. A polem szedł zwolna miarowo chłop w parcianych portkach i koszuli, pot mu spływał po twarzy i włosy kosmykami do czoła przylepił. Chłop orze. Chudy, mały, myszaty koń, zaprzężony w skrzypiącą sochę, za nim zmęczony pochylony chłop idą tak monotennie tam

i z powrotem przez pole, z pod radła wznosi się trochę kurzu i wstęgą sunie za oraczem. A Słońce płonie i sieje złoty przepych swoich promieni na sosny czerwono-pienne, na fioletowe zagony, na brązowy kark oracza.

Patrzyłem na to w pół tylko otwartymi oczyma,—tak leniwie krąży krew w upalny letni dzień,—i majaczyło mi się dużo dawnych w fantastyczny kształt przybranych myśli, szeregiem wizyj przesuwwały mi się przed oczyma, jak to chciałem przedstawić w następującym fragmencie.

*Chłop.*

Ach! Słońce piecze, skwarno tak, przed burzą—  
pot się po czole toczy, muchy tną... hej siwy!...  
a socha skrzypi, ciężko tak się sunie,  
kie lichu wlało w nią... wio siwy!...  
I ziemia sucha, kurz... słoneczko pali...

Tu oracz doprowadził sochę do miedzy, otrząsnął z niej ziemię, i za-trzymawszy konia, na miedzy siadł żeby zapalić fajkę. Naraz, kędyś z pomiędzy czerwonych pniów sosen wyszedł, kudłaty faun leśny z miną przebiegłą trochę, pozornie obojętną tylko i zmęczoną i taką z chłopem rozpoczął rozmowę:

*Faun.*

Pożycz, bracie, ognia —

*Chłop.*

Ognia tobie?

Czyż go już w piekle za mało? —

*Faun.*

Ha, niewiem —

ale już dusze człowiecze wyziębły na nic,  
żadne z nich krzesiwo iskier nie skrzese —

*Chłop.*

Pewno! od duszy ludzkiej nie zapalisz  
fajki, a tybyś może chciał —

*Faun.*

Nie powiem,

mnie tam wszystko jedno, byleby ogień —  
krzywa asanowa coś widzę socha —

koniowi ciężej — oracz się też trudzi,  
ziemię kaleczy —

*Chłop.*

Tylko się nie frasuj,  
jeszcze mi licha napędzisz i tak się  
kości zaledwie ruszać chcą —

*Faun.*

A, skwarno  
dziś, skwarno bardzo — Pozwól, że przepędzę  
jedną, dwie skiby, pomogę waszeci —  
Ciężka to praca, wiem, tak matkę ziemię  
drzeć radłem —

*Chłop* (chwilę się waha, ale nie protestuje, żegna się tylko):  
w Imię Ojca, Syna —  
ziewa potem raz, drugi, i usypia w słońcu —

*Faun* tymczasem orze, a kiedy usnął chłop, to z lasu wybiega faunów i nimf taneczny korowód, wesole, rozbawione gonią się po polu, przełknięty koń rzuca się w bok, socha pęka i koń ucieka. A z *Chłopa* śpiącego wychodzi *dusza* całkiem do faunów podobna, tylko zbiedzona, wychudła, niezgrabna — Fauny stronią od niej i poglądają trochę ciekawe, trochę niezdecydowane —

*Dusza.*

Czemu stronicie, bracia, siostry? —

*Fauny* przyglądając się jej:

Już ty  
nie nasza siostra, nie brat — gdzie masz rogi?  
Kto ci spiłował rogi? O! nie zdolesz  
już biedz w zawody w naszych korowodów  
wesółym płasie — ty śmiesznie kulawo  
jakoś zostajesz za innymi w tyle,  
i kudły twoje wytarte, parszywy  
kark twój, kopyta krzywe, niemasz rogów? —  
— Kto ci spiłował rogi? —

*Dusza.*

Ach, odrosną,  
tylko mi dajcie w korowodzie waszym

biedz, tam złamana niechaj leży socha,  
dajcie zapomnieć o niej, o tym pocie,  
co spływa co dzień z czoła mi, ach, dajcie  
mi tańczyć z wami, a odrosną rogi —

*Faunów* chór, skończywszy oględziny, zdecydował:

Krzywe nogi, krzywe,  
i plecy parszywe,  
rogi spiłowane,  
łysy, łysy łeb,  
huhuhu, huhuhu,  
rogi spiłowane,  
huhuhu, kiep, kiep, kiep! —

Krążą dokoła zbiedzonej ogłupiałej duszy roześmiane, rozbawione,  
obojętne —

Słysząc głos obiadowego dzwonu, wszystko pierzcha, dusza wraca  
w ciało śpiące, chłop wstaje, patrzy na sochę złamaną, przeciąga się cięż-  
ko, klnie i odchodzi w stronę, gdzie uciekł koń.

## II.

Kiedy uciekły już duchy i odszedł chłop, myślałem jeszcze jakiś czas,  
żeby zrozumieć dokładnie, co by mogło znaczyć to widzenie moje. Zda-  
wało mi się, że było ono upostaciowaniem tych myśli o walce ducha czło-  
wieczego, o powolnem wykuwaniu sobie kształtów przez twórczą duszę,  
jednem słowem ten cień filozoficznego systematu, jaki mi się nasuwał od  
jakiegoś już czasu natrętnie.

Starałem się uprzytomnić sobie i uporządkować szczegóły i pośród  
tej, powolnej zresztą i leniwej, pracy mózgu w skwarze południa słonecz-  
nego letniego dnia, usnąłem. — A wówczas śniło mi się że jestem jednym  
z tych duchów, czy może jednym z wcieleń tego Ducha walczącego  
o kształty, budowniczego schodów niebieskich, że oto, przebywszy już dro-  
gę daleką i trudną, spoczywam zmęczony, pragnący spokoju, miłości, uko-  
jenia, a we mnie drzemią te moce, które mię zawiodły aż tu, a za chwilę  
może powiodą dalej na nowe boje i nowe zwycięstwa. Tak marzyłem

dumnie. I jeszcze zdało mi się, że ze słonecznych promieni idzie do mnie *Ona*, jasna jak słońce Pani, *Ona*, której poświęcam życie moje całe i pracę, moje sny i marzenia, miłość i tęsknotę moją. Idzie ku mnie promienista i święta i splywa, jak ukojenie dla zmęczonej duszy, jak czarodziej-skie krople wody siłodawczej na usta spieczone pracą i pragnieniem.

Przyszła do mnie i głowę moją w dłonie wzięła i oparła na swoich kolanach, i tak przytuleni do siebie marzyliśmy, i mówili rozmową duchów to jest mówili we mnie: *On* — twórca, duch, potężny kowal własnego bytu i *Ona* — promień słoneczny świecący, mu w tej wielkiej pracy —

*Ona.*

Chcę, żebyś wielki był i tak potężny,  
 żeby się dusza moja mogła śmiało  
 w cieniu twych ramion skryć; jak niebosiężny  
 Bóg Alp, co w niebo swoją głowę białą  
 niesie i czoła dumnego białością  
 srebrną urąga czarnym chmury płachtom.  
 Kiedy widziałam szczyt w piorunu skrach, tom  
 tak marzyła: przedziwną on miłością  
 ukochać musiał, tam gdzieś za chmurami  
 ukrytą, cudną niebiańską kochankę:  
 szarpie mu głowę burza piorunami,  
 wichrów psy straszną śpiewają naganę,  
 zewsząd, jak dzikie osaczywszy zwierzę,  
 gryzą, rwą ciało straszliwe brytany, —  
 ustana — idą za nimi wciąż świeże  
 zastępy — Możny, biały, zadumany  
 stoi bóg cichy wielki, w mocy dumny,  
 a święta miłość taką moc mu dawa —  
 A gdy ucichnie burza, zorza krwawa  
 zapłonie, stoi szczyt wonczas — kolumny  
 onej płonącej obraz, która wiodła  
 po przez pustynię synów Izraela —  
 A kiedy zgasną wszystkich światel źródła,  
 on stoi biały wciąż, — czasem obielea  
 go jeszcze bardziej, brylantowym pyłem  
 lśni w wirchów śniegu światłość księżycowa...

*On.*

— Tul mię — tak płonie roz tęskniona głowa —

Snem tylko, widmem twem tak długo żyłem —  
 I dnie się wlokły leniwe bez końca,  
 niemoc zwątpiałe pętała ramiona,  
 smutno tak było, żaden promień słońca  
 nie ogrzał blaskiem zziębionego łona —  
 — Ty chcesz, bym kochał, jako on szczyt śnieżny —  
 tak nie potrafię, skamienieć nie zdołę —  
 Wwyż, w nieobjętą wicherlotną wolę,  
 w jakiś pęd straszny, wielki, wichrobiezny,  
 chciałbym rozprężyć skrzydła, biedz i gonić,  
 pieśnią królewską ponad szczyty dzwonić,  
 słońca bogate, światłodajne blaski  
 chwycić i ludziom garścią rzucać na ziem —  
 Nie, jasna, nie chcę osiwiiałym paziem  
 u stóp królowy klęczeć, uczonemi kazki  
 kołysać do snu, układać kancony —  
 Nie, jasna moja, hań! orłową percią  
 iść i pierś w piersi ważyć się ze śmiercią,  
 i pieśń rozpętać, jak zakłęte dzwony,  
 i kłem szalonym szarpać łby kamienne —  
 Słoneczna moja, jak ciepło wiosenne  
 być na ten siwy łeb śnieżnego szczytu,  
 gromem wydobyć skrę, ogień z granitu —  
 A kiedy w boju pierś moja się skrwawi, —  
 Ty mi krwawiące one zgoisz rany —  
 A jeśli zadrzę, — to mię Jasna zbawi  
 i nowe siły da —

Miłośnię patrzą w dusze sobie, toną w sobie miłośnię — A z lasu  
 wychodzą fauny i boginki, leśne duchy i dziwożony, ożywiają się trawy  
 i drzewa, stają niby greckiej tragedyi chór i w koło nich krążą.

*Chór faunów.*

Zapatrzony, zasluchany  
 w serce swoje własne,  
 bajki prawisz, baśnie —  
 Patrz, tam słońce gaśnie,  
 patrz, tam zewsząd ściany  
 straszne, strome ściany,  
 pośród nich przepaście —  
 gaśnie słońce jasne —



Patrz, tam nasi tracą rogi,  
 jakaś można dłoń im łamie;  
 w koło błędne, błędne drogi,  
 a przewodnik każdy kłamie;  
 każdy błądzi wśród bezdroży,  
 każdy kłamie, każdy łże —  
 oczy gniew oślepią boży,  
 a szpon życia piersi drze —

Jak rycerz, król, przez walki ból,  
 szedł ludzki duch, przez ostry piarg,  
 krwią znać ślad i szedł i szedł  
 i wznosił się wciąż na wyże,  
 aż w drodze padł, zwyciężon padł,  
 jak jeniec wzięty w niewolę —

I dalej szedł i rył jak kret,  
 i szarpał słuch głos jego skarg,  
 darł plugiem łan i rzucał siew —  
 na polu rosły kąkole,  
 w zorany łan wsiąkała krew,  
 mogiły stały i krzyże —

Biada temu, kto, dążąc na wyże,  
 moc straci, popadnie w niewolę —  
 Na polu nie zboże mu wzrośnie — kąkole,  
 mogiły stać będą i krzyże —

*On.*

Ty drżysz, słoneczna? —

*Ona.*

Takie straszne głosy —

Boże! o, Boże! Módlmy się o siły:  
 o Ty, co światom wola swoją losy  
 znaczysz —

*Chór.*

— wkrąg będą stać krzyże, mogiły —

*On.*

Chodź, na ramieniu połóż mi swą głowę,  
może ucichną głosy złe — i uśnij —  
może ucichną głosy złe i może  
las się echami innemi rozszumi —  
Słuchaj, tam pieśni ważą się echowe,  
w jakimś przemożnym rozdźwięczane chórze —  
Oto śpiewają ci, co blaskiem tęczy  
umieli ziemię podnosić do nieba,  
ci, co stawili schody Jakóbowe,  
i wodom władną przewodzili dłonią —  
oto śpiewają ci, co pracą ducha  
ścieżyny kuli w granitowym zrębie —  
Oto przez usta ich śpiewa duch twórczy,  
ten, co się gwiazdą pali na niebiosach,  
śnieżnymi szczyty ku niebu się wspina,  
pola rodzajne on maluje zbożem,  
a tam się puszcza rozrasta i szumi,  
a tam w człowieczej się zapala piersi  
i jakąś krwawą zorzą płonie, pędzi,  
gna ku wyżynom — ha ha! piersi płoną —  
Słyszysz? Śpiewają dawne, dawne czasy,  
kiedy się dusze nasze, jak dwie gwiazdy  
miłością gwiazd zimną kochały —  
a potem —  
patrz, oto idą —  
idą, przed oczyma suną zakłete widma,  
wstają uśpione moce ziemi, bratnie duchy,  
z którymi niegdyś razem duch człowieczy  
życie wykuwał — Rozbieżne ich drogi —  
tamte, w olbrzymią rozrosłe potęgę,  
w sen się grażą, w sen, spokój bez troski,  
w taneczny wiążą się krąg, to złośliwe  
walki ze sobą toczą, a duch ludzki  
męką olbrzymią szamoce się, miota,  
wstaje, upada, znów staje do walki,  
idzie i śpieszy — i oto wyrasta  
pomiędzy niemi jakaś przepastna głąb' —  
oto już siebie nie pojmują wzajem,

i z lękiem patrzą na siebie, nie wierzą —  
 Już nie powiada las tajemnic swoich,  
 ni morze skrytej w swych toniach powieści,  
 mową dla ludzkich zrozumiałą uszu —  
 I już nie słucha człowiek mowy tej miłośnie,  
 i kryje w piersi złą chuć —  
 Wzajem się lękają i nienawidzą wzajem  
 życia moce, Bóg splątał im języki —  
 Patrz, oto idą, wokoło nas krążą  
 groźne, szydercze, a razem lękliwe,  
 chciałyby zmiażdżyć nas,  
 a czują moc naszą,  
 ona ręce im okuwa —  
 A człowiek biedny,  
 człowiek ten, co przeklnie swój duch  
 i wróci między nich bez mocy, —  
 nad tym człowiekiem zlitowane duchy,  
 przyjmą go w swoje roztańczone koło,  
 nauczą słuchać puszczańskich poszumów,  
 nauczą rozumieć gwary, —  
 nie nauczą,  
 jak się ostatnie tajnie odgadywa —  
 A człowiek mocny, ten, co swoim duchem  
 ponad się wzniesie, — na słoneczne wyże,  
 temu Bóg tajemię języków odśloni,  
 ten człowiek pojmie życia tajemnice —

Fauny, co się były rozbiegły po lesie, zebrały się znów dokoła dwojga ludzi i słuchały rozmowy ich. Odzywają się

*Głosy.*

— moc straci — mogiły i krzyże —  
 Palących krzyżów ulice,  
 Ahaswer wśród krzyżów goni.  
 Przeklęta, po trzykroć przeklęta  
 дума, co wznosić się waży  
 wyżej od starych ołtarzy,  
 odwieczne kruszyć pęta —

*On.*

Grozą i kłamią i straszą lękliwe,

idącym będą się kłaść poprzek drogi  
drżą o swe tajemnice, ha! moc je dobędzie —

*Faun* stary i mądry.

To wszystko kłamstwo!

*On.*

Co?

*Faun.*

A wszystko:

I twoja wiara kłamie i twoje marzenia,  
i twoja miłość kłamie, twoje żądze, siła,  
zły duch oplątał ciebie czarów siecią,  
w zaklęty cię wprowadził krąg  
i sztycy —

Patrz, tam się słońce zalało ogniami  
i kona, takie wielkie słońce!  
a konać musi, człowiek taki mały —

*On.*

Lecz dusza z Boga —

*Faun.*

Z Boga? Może, może,  
a czyż nie z Boga słońce?

*On.*

To też wstaje złote  
i ziemię żywi i barwi i płonie  
ogniem rodzącym, a chociaż gaśnie dziś,  
rozpłonie jutro —

*Faun.*

A jeśli nie rozpłonie?

*On.*

To się w mej duszy ognie rozeświecą —

*Faun* pobłażliwie i litośnie i szydęczo.

Aha!

*Chór.*

Kopcie grób, kopcie grób —  
będzie leżał w grobie trup, —

Chciał do Boga wzbić się duch,  
chciał nad nasze wzbić się głowy,  
kopcie grób, czy już gotowy? —  
zgniłych liści ślać mu puch —

Już tysiące kopiem lat  
i czekamy, żeby spadł —  
już głęboki ciemny dół —  
Jeszcze nie spadł? — jutro spadnie  
legnie, uśnie cicho na dnie,  
będzie dalej przedze snuł —

Ty mu się wiń dokoła rąk  
ty, bracie, w koło nóg,  
ty, siostró, siądź na piersi zmorą,  
nie szcędź mu bólów, nie szcędź mąk,  
niechaj go broni „jego“ bóg,  
niech go nam „anioły“ zabiorą —

Ty mu się wsącz trucizną w krew,  
ty mu do ucha zanuć śpiew,  
co krew pożarami rozpali,  
niechaj zapragnie twoich ud,  
niechaj uczuje ziemi głód,  
niech w wykopany grób się zwali —

Próżno on sobie siłę kłamie,  
próżno się pyszni ducha mocą,  
nie wejdzie, nie wejdzie na wyże —

Wolę niezłomną wędrowiec połamie,  
wiara zagaśnie, otoczy go nocą —  
a wokrag mogiły i krzyże —

## III.

Poprzedni fragment, jak to zauważyć łatwo nosi na sobie piętno Słowackiego, jest przesiąknięty utworami jego z okresu Mesyanizmu. Nie tłumaczę się z tego ani usprawiedliwiam, bo trudno być odpowiedzialnym za wpół świadome wizyjne swoje marzenia. Zupełnie zresztą otwarcie przyznaję się do tego, że w znacznej mierze podzielam światopogląd mesyanicznych marzycieli; oczywiście wiele należałoby zrobić zastrzeżeń rozmaitych, ale nie mogłyby one zachwiać ideą zasadniczą tego światopoglądu naszych wielkich przodowników, który my tak mało znamy, niestety.

Biorę więc śmiało odpowiedzialność za to „naśladownictwo“, jak niektórzy lubią nazywać, bo ujmy w tem dla siebie nie widzę. Zresztą są jeszcze różnice i zdaje mi się dość znaczne, — a jeśli one właśnie będą mówiły na niekorzyść moją, to już trudno; wcale nie mam zamiaru przeprowadzać porównań i zastrzegam się przeciwko nim.

Przez jakiś czas nie pisałem nic. Patrzyłem tylko na niedolę życia, patrzyłem na mękę dusz, które się bezowocnie drapały na jakąś niedostępną wyżynę mocy, — dusz, które tak często przypominały mi widok matki, w straszliwych bólach porodu wydającej ze siebie potwory, nieżywe płody, albo tylko pokrajane przez lekarski nóż tych płodów kawałki. Straszne uczucie, wypieścić duszą życie, a potem w bólu patrzeć na tego życia śmierć, wypieścić myślą czyn, a potem w strasznym bólu patrzeć na tego czynu szydercze kalectwo i śmierć.

Myślałem tak o bezowocnych ducha walkach, i raz, w księżycową noc, niezwykle żywo przypomniła mi się jakaś wycieczka w Tatry, kiedy na ośnieżonym Zawracie ogarnęła nas idąca z północy chłodna wilgotna mgła, a wiatr wył w uszach i mrozem chłostał, że ręce kostniały i sztywno ześlizgiwały się po zlodowaciałym kamieniu, i było dokoła ciemno, i głos marł we mgle i wicherze, że nie było słyhać ni widać towarzyszków. Po omacku, przytuleni do śliskich zimnych ścian musieliśmy przejść na stronę południową, przedzierać się ku Świnnicy, straciwszy ścieżynę, na czworakach przejść przez morze omszałego piargu, gdzie nam głowy usuwały się z pod nóg w ciemność z chrzęstem ostrym, a nogi ześlizgały się po granicie. Chwilami jakiś powiew rozdzierał mgły, a na dnie przepaści widać było pawie oczy Pięciu Stawów, tam świeciło słońce, grało

na powierzchni wód przedziwną tęczą, omszone zielone kamienie przeświecały z pod ciemnej i tęczowej tafli stawu jak seledynowe oczy wodnicy. Tam było tak cicho i spokojnie, może ciepło, a tutaj ciemno i wiatr, mgła i kamienie uciekające z pod nóg, i ręce skostniałe od zimna, poszarpane i pokrwawione.

Wówczas przyszło mi na myśl, że, gdyby grozę tamtego wspomnienia udzięciokrotnieć, byłaby to może pewna analogia tej wędrówki, jaką duch człowieczy odbywa w poszukiwaniu ostatecznych form. Napisałem zatem fragment następujący. Miałem przytem nieco skrupułów, gdyż przypominał mi się podobny epizod u Ibsena w „Brandzie“, ale zauważywszy, że podobieństwo jest tylko pozorne, nie wzdragałem się dłużej.

W Górach. Przez rozległe zielonawe pole piargu, gdzieśgdzie ubielone płatami śniegu i szklące lodem, wspina się ku górze człowiek. Mgły, wichrem gnane, szalonym lotem pędzą w koło niego, przedzierają się pomiędzy szczytami, rzadkie z początku, kupią się coraz bardziej, aż otaczają wędrowca nocą wilgotną i chłodem. Ręce i nogi ślizgają mu się po kamieniach, a kamienie uciekają z pod nóg.

#### *Wędrowiec.*

Szalona droga! Chmury idą dołem,  
jakiś ich niesie niewstrzymany pęd —  
leca — gdybyż mnie uniosły —  
leca, moc jakaś rzuca je na skały  
i rwie i szarpie, rzuca płachty czarne  
i niesie wichrem, rozkłada po zrębach —  
gdyby tak na tej płachcie ledz i lecieć  
w taki szalony niewstrzymany pęd!

#### *Mgły.*

Owińmy go, osnujmy go  
straszliwą przędą naszych mroków,  
usuńmy grunt z pod jego kroków,  
owińmy go, osnujmy go —  
Wygryźmy te oczy,  
co niby dwa noże  
w puch ciała naszego zanurza i rwie —  
a potem niech kroczy  
gdzie chce i gdzie może,  
a potem niech kroczy, gdzie chce —

Na drogę mu kładźmy się cieniem  
i lękiem mu stańmy przed duszą,  
niech cofa się, cofa ze drżeniem, —  
a głązy z pod nóg się odkruszą —

*Kamienie.*

1-szy — Oto mi na grzbiet postawił swą nogę —  
2-gi — Uciekaj, spadaj, tocz się, leć —  
już go owija chmury sieć —  
1-szy — Mocno mię przygniótł, ruszyć się nie mogę.  
2 gi — Leć za mną, oczyszcze ci drogę —

Dwa kamienie spadają z hukiem w dół, odskakując coraz dalej rytmicznymi uderzeniami.

*Pozostałe.*

ha — ha — ha — ziemia drży —  
ha — ha — ha — echo gra —

*Człowiek.*

W ciemność kamienie spadły —

*Mgły.*

lękasz się, drżysz wybladły —  
jak te kamienie, spadniesz ty —  
tylko bez echa — wstrzymaj krok —

*Człowiek.*

Znów kamień spada, w koło mrok,  
ciemność wciąż rośnie, jaki czart  
na moje życie stawia sieć?

*Kamienie.*

Spadaj, leć!  
Spadaj, tam, z góry  
na łeb się zwal, —  
on myśli, głupiec, że to żart —

*Wicher.*

Hej! gnajcie chmury,  
gromie, krzesz granit, oślepij, pal —  
hej! wirchy drzyjcie, turnie, krzesanice —



Idź stąd, człowieku, idź —  
 będę ci w uszach wyć,  
 będę ci mrozem smagał lice,  
 będę cię w piersi gryzł bólem —  
 Patrz, tam otwiera łono  
 ziemia i wabi cię, idź tam —

Pękają mgły, przepaść pod nogami wędrowca, na dnie jej pawie  
 pióro stawu gra w słońcu —

*Staw.*

Tęczą kolorów gram,  
 nademną słońce się pali,  
 wodnice z mojej śmieją się fali,  
 dadzą ci szczęście, o szczęściu sen —  
 chodź tu w radosne grono,  
 będziesz tu królem —  
 dłonią pieszczoną  
 obetrą z czoła pot,  
 odzieją we włosów swych len,  
 twym żądzom otworzą łono,  
 do cienistych zawiodą cię grot —

*Kamienie.*

Precz, precz z pod nóg —

*Wichr.*

Tchnieniem ci zmrozę krew —

*Mgły.*

Opuścił cię już Bóg —

*Przepaść.*

Usłysz mój zew —

*Człowiek.*

Już nie mam sił, o Boże! —

*Wodnica na stawie.*

Chodź! łono rozkoszom otworzę —  
 Człowiek chwije się, upada, razem z nim spadają głązy z pod nóg  
 wyrwane —

*Przepaść, kamienie, mgły — Chór.*

Ha — ha — ha — ziemia drży —

Ha — ha — ha — echo gra —

#### IV.

Ale jeżeli duchy ziemi pętają nogi wędrowcom ku górze idącym, to z otwartymi ramionami przyjmują tych, którzy wracają. Nagie i nieprzystępne są głazy szczytów, ale piękne i miękkie mchy i trawy dolin. A dusza ludzka, kiedy wraca, jest miłośnie witana, niby ten syn marnotrawny, na łono rodzicielskie wracający. To i wiele innych rzeczy chciałem wyrazić w tym urywku „nad stawem“.

Spokojnie pogląda ku słońcu otwarte zielone oko stawu, otoczone tęczową obwódką dokoła, niby pióro pawie, nad nim bawią się, chodzą, siedzą fauny i bogunki, leśni mężowie i dziwożony, rusałki i strzygi, podobne do tych, jakie maluje Malczewski, szczególnie ten jego obraz, gdzie koń spłoszony ucieka porzuciwszy jeźdźca, a zewsząd zbierają się duchy lasu, — stał mi w oczach, kiedy to pisałem.

*Faun stary do Nimfy.*

Chodź! dojrzały piersi twoje —  
Chodź! toczony twoje biodra,  
w oczach twoich żądz pożary,  
snów namiętnych niepokoje,  
chodź, pieszczoty nie skąp, szczodra  
bądź, za tobą dawno gonię —

*Młody faun do Nimfy.*

Gnaj go precz, to stary,  
głupi dziad, patrz: skronie  
już ma siwe,  
nogi krzywe, rogi krzywe,  
stary, głupi dziad —

*Stary.*

Widzisz go! jaki chwał,  
już mu dziewczki się zachciewa!

precz uciekaj, będzie źle,  
 jak się stary dziad rozgniewa —  
 Znam rozkoszy wszystkie tajnie,  
 wszystkie pieszczoty tajemnice,  
 pieścić umiem wprost, na nice,  
 niezwyczajnie i zwyczajnie,  
 ogniem buchać, skrę po skrę  
 zwolna niecić, do omdlenia —  
 Chodź, na miękkie mchów pościele  
 pośród smreków, wśród limb cienia —

*Młody.*

Tere fere — krzyku wiele —  
 bajże baję — nie wierz słowom,  
 zwodzi stary — Patrz, ramiona  
 moje mocne, pierś szeroka,  
 krew mam młodą, purpurową,  
 w żyłach nie śpi, krąży ona,  
 żądzą drży, falą ogniową  
 płynie ze mnie — chodź, miłości  
 pełen ja —

*Bogunka.*

Precz odemnie, wara —  
 ja kocham, kochanka czekam dziś w gości,  
 żadnemu z was ze mnie para,  
 kocham... człowieka —

*Stary faun.*

Człowieka? —

*Młody faun.*

Człowieka? —

*Bogunka.*

Wyśniłam go, na moje łóżko  
 moja go miłość prowadzi z daleka —  
 jemu dojrzałe, pełne żądz, otworzę  
 łono — nie wam —

*Stary faun lekceważąco.*

Kochaj człowieka —

*Młody faun.*

Phi, ja się nie gniewam —

*Gromada faunów.*

O! idzie, idzie tam percią, widzicie? --  
 Kamienie spadają z pod nóg —  
 Upadnie zaraz — trzyma się zawzięcie —  
 o! wielki głaz z pod nóg mu uciekł —  
 mgły go owinęły — wichry szarpia —  
 trzyma się — nie już spada, spada —

Spada na ziemię Wędrowiec; fauny, nimfy, gromada cała pochyla się nad nim, patrzy mu w gasnące oczy. Po chwili z martwego ciała wychodzi dusza, całkiem do faunów podobna, z początku zalękniona i dziwna, powoli w koło wchodzi.

*Faunów chór.*

Powracasz do nas, duszo wędrowna,  
 z dalekiej powracasz drogi,  
 rwałaś się kędyś, biegłaś przodowna,  
 powrócić kazały ci bogi —

*Fauny pytają w nieładzie.*

Mów, duszo, czy szczęście widziałaś?  
 Czy jasne i słońcu letniemu podobne?  
 Czy wody strumieniom we znoju?  
 Czy szczęście, jak nimfa jest młoda,  
 rozkoszą pieśczoły darząca? —  
 Czy jest niby cisza jeziorna? —  
 Jak srebrna poświata miesiąca? —  
 Czy mieszka w dolinach,  
 czy błądzi po górach? —  
 Czy może to szczęście ma rogi obcięte,  
 łeb łysy i plecy parszywe? —

Gromada cała wybucha śmiechem, jak czasem dziewcząt wiejskich gromada na jakiś dowcip rubaszny.

*Chór.*

— ha ha ha —  
 -- radosny twego powrotu nam dzień —

*Bogunka.*

Chodź do mnie, słoneczny Ty, biały wędrowcze,  
 tęsknotą drży moje łono,

*Młody faun.*

Chodź ze mną na łowy w ostępie,  
 z niedźwiedziem borykać się królem,  
 jelenie goniące porywać za rogi,  
 chodź echem ozywać się w gąszczu —

*Chór.*

Chodź z nami w taneczny się wiążać korowód,  
 czcic święto powrotu — radosny dziś dzień —  
 Napróżno błdziłeś, a myśmy czekali  
 cierpliwie, tęskliwie, aż wrócisz —  
 Dziś wracasz — kochanka cię czeka,  
 towarzysz cię czeka na łowy —  
 hej, łuki napinaj, hej, utul dziewczynę —  
 Dziś święto powrotu, radosny dziś dzień —

## V.

Tu przyszło do mnie zwątpienie i długą musiałem stoczyć z nim walkę, zanim zacząłem pisać dalej; może nawet pisać dalej nie zacząłem, bo fragment, który następuje teraz, nie wiąże się z poprzednimi zupełnie, chyba tylko wspólne źródło, wspólna im wszystkim „Acedia“ łączy je. „Acedia“ znaczy mniej więcej tyle, co *ból istnienia*, te jakieś niepokoje i troski duszy, która widząc świata i życia krwawy chaos, miota się bezradna, szukając ziół czarodziejskich, zaklęć potężnych, jakiegoś filozoficznego kamienia, jakiegoś „*οὐρανο κλειω*“ hermetycznej nauki, ażeby mocą tych potęg chaos rozplątać i wskazać życiu jasne i słoneczne drogi, spokojne i ciche drogi pośród kwiatów. Ale marzenie to jest tylko w głębi gdzieś ukrytym snem, przeczuciem niejasnym, albo zamglonem wspomnieniem dalekiego mistycznego raju; pozostaje ono w tyle, w głębi, zakryte i stłumio-

ne przez tę szatańską muzykę życia, która huczy w krąg i strasznym bólem przekleństw i skarg obija się o uszy, rozpaczy czerwiem wślizga się w duszę — ha, przybiera tysiące i tysiące kształtów, żeby gnębić i trawić i wyuzdanych, wymyślnych mąk przedziwną różnorodnością szarpać.

A dusza stoi wobec tego niezaradna, patrzy i, niby ślepcy Maeterlincka, nie umie nic obaczyć, rękoma próżno stara się odnaleźć drogi ślad, tylko skądciś morza szum złowrogi idzie.

Widzieć świata męczarnię i z każdą duszą boleć i nie mieć ratunku — to jest „Acedia“. Znali już ją ludzie Odrodzenia, skarżył się na nią Petrarca, a przez te wieków kilka nie wiele się zmieniło; jeśli nie większą to i niemniejszą niedolą łamie się duch twórczy.

Czasami „Acedia“ taka, czy może „Godzina pogardy“, jak ją nazywa Nietzsche, albo u Słowackiego, „Melankolia“, wszystko jedno jak nazwać, czasami bywa matką czynów; a nawet, powiedziałbym więcej, wielki czyn tylko z niej urodzić się może. Taki męczarnią świata trawiony duch ma wreszcie chwilę, kiedy wszystkie swoje uśpione, rozproszone moce skupia i szaloną potęgą uderza w niebo. Wówczas albo upada znów na niziny, albo łamie się i ginie, albo przez chwilę ma złudzenie zwycięstwa, a potem rozwiewa mu się złudzenie i pracę musi rozpoczynać na nowo. Idzie mimo przeświadczenia, że idzie napróżno, wierzy przeciwko nadziei.

A zresztą, trudno sądzić, może kiedyś dojdzie, tylko nie wiadomo kiedy. A źle jest pysznić się zawcześnie. Zresztą, wszakże nad człowiekiem w pierwszym rzędzie panuje chaos, a co dalej jest, tego próżno dobija się duch.

Urywek następujący połączyć chciałem z poematem, który pisałem przed kilkoma laty; była tam walka ducha o Prawdę, były mistyczne góry i rzeki, co się poprzek drogi ducha kładły, ale była i nadzieja zwycięstwa. Zdaje się jednak, że wtedy nie pojmowałem jeszcze wielu rzeczy, które dziś aż nadto natrętnie stoją mi przed oczyma, to też treścią wewnętrzną łączy się bardziej fragment ten z poprzednimi, niż z dawniejszym poematem. Zresztą pisałem wyżej o duchu, któremu sił zabrakło w drodze i upadł, teraz będę pisał o duchu, któremu się zdawało, że doszedł i wtedy dopiero zobaczył, że droga przed nim większa i trudniejsza, niż by się zdawać mogło. —

Słońce. Powódź słoneczna. Wszechpotęga światła zebrana w kształt, wśród niej *On* zwycięzki. Dotarł aż tu, po za nim dróg trudnych szlaki, po za nim wszystko, wkoło niego Słońce; zanurzony w światło, o świetlistą ścianę oparty. — Mistyczny kraj, kwiaty promienne wokoło, gędźba jakaś archanielska.

*On.*

Wszystkiem już przebył fatalne zapory,  
wszystkie już pękły przedemną ściężaje,  
tęsknotą gnany duch, do zwycięstw skory,  
przebył już wszystkie mistyczne ruczaje —  
Dziś mu nie tajne już gwiazd rozhowory,  
otworem stoją wytęsknione raje —  
Za nim rzek siedmiu wstęgi połyskliwe, —  
przed nim królestwo promienne i żywe. —

A oczy biegną i czytają w Księdze  
Przeznaczeń dziwnych dróg żywota baśnie —  
Jakie nad ziemią panoszą się jędze,  
jakie wśród ludzi wojnę szerzą waśnie,  
jakie na glebie dusz wzrastają nędze,  
jak promień ducha spala się i gaśnie  
i jakie moce z nieba wziąć, czy z piekła,  
by nędze przegnać, by krzywda uciekła —

Oto słuchajcie: głos mój, jak ryk gromu,  
wstanie potężny, niebem się potoczy  
wkrag, z duszy w duszę, od domu do domu,  
głos mój skrwawiony duszy bólem broczy,  
to, jak dziewica staje pełna sromu,  
to smutkiem łzawe mu bieleją oczy —  
jak lew się w klatce żelaznej głos miota —  
Słuchajcie, bracia — wiem — wasza tęsknota —

tęsknota wasza — ha ha ha, jak zgrzyta  
lwi szpon, gdy próżno sunie po żelezie,  
jak potępiony król za pierś się chwytą  
rozpaczny, patrząc na bezcelne rzezie,  
jak na pogrzebie zawodzi kobieta,  
kiedy wóz czarny przed nią cicho wiezie  
najukochańszą życia jej osnowę —  
tak czasem głosy zgrzytają echowe —

I próżno bije grom szalony w morze,  
 żaden się pożar na niem nie zapali;  
 próżno by błdził nurek w dzikim borze,  
 szukając pereł drogich i koralii;  
 dla każdej rzeczy drogę słowa boże  
 kreślą, nikt tego porządku nie zwali,  
 próżno w zapasy wołać Przeznaczenie —  
 — Wkoło mnie złote słoneczne promienie,

nieznaną ręką zapalone ognie  
 jaśniejają dziwnie, palą się i świecą, —  
 podemną walki, duch to pada, to gniew  
 ku ziemi wraży łeb, a w niebo lecą  
 jęki, wołania — który z nich przemognie?  
 siły sterane znów się w duchach niecą  
 widmem porażki, co się oczom jawi,  
 i znowu walczą, dłoń się znowu krwawi —

Cicho, umilka bój, z niebiosów idzie  
 głos niby dziwne aniołowe śpiewy,  
 płynie — a z głosem płynie wid po widzie,  
 w procesyę świętą rozśpiewane dziewy —  
 Szatan się kędyś w drżących trwóg ohydzie  
 ukrył pomiędzy szumiącemi drzewy  
 i czeka, aż ścichnie głos — a dźwięczy  
 on mocą jasną, płonie nakształt tęczy

i łukiem wokrag ścieli się po niebie,  
 niby tajemne ziemi z niebem więzie —  
 Człowiek podnosi oczy — jak czerw już nie grzebie  
 w ziemi, w sadzawkach zerdziałych nie grzęzie —  
 Jakoś mu nie smak dziś w powszednim chlebie  
 i nie przyjemny cień mu, co gałęzie  
 lip okwieconych, stojących przed chatą,  
 na czoło kładły, — zbyt gorące lato —



Słońce jak pożar pali się — a może  
nie słońce winno, ale gdzieś, z otchłani,  
klątwe wywiodły mściwe dłonie boże,  
i idzie klątwa krwawa, groźna pani,  
wężem się wślizga w ciche ducha łożę,  
straszy, pierś gniecie, i głos morzy w krtani —  
i jakiś dziwny niepokój się snowa —  
i żarem myśli dziwnych płonie głowa —

A dłonie drżące szukają dokoła  
broni zwyczajnej, oręż z rąk wypada —  
pot się kroplami gruby toczy z czoła  
i twarz zamiera dusznym strachem blada —  
A głos się toczy i huczy i woła,  
na pierś okropną siną zmorą siada —  
Chmury tam idą, grom w nich głucho warczy,  
gniew idzie boży, — sił czy ludziom starczy? —

Widzę rozwarty tam grób, a z mogiły  
wstaje Dziewicy trup zamordowanej,  
lica przedśmiertnym blaskiem jej ożyły,  
oczy pałają ogniem, kwiat różany  
ust rozchylony — psy kędyś zawyły —  
szła, odsłaniając krwią zakrzeple rany,  
w jasny słoneczny dzień, w pola kwitnące,  
szła i nad wodą znikła gdzieś na łące —

A dzwon się nocą wielki rozchybotał  
żadną człowieczą niedotkniętą dłonią,  
aż wieża stara trzęsła się, — tak miotał  
swojem śpiżowem sercem i pogonią  
huczących dźwięków do nieba łomotał,  
eumenid wężem wił się ponad skronią  
człowieczą, ciche budził ze snów dusze  
i uciął potem w wichrów zawierusze, —

wichrów, co przyszły jak ogniste smoki,  
przyniosły z sobą chmur brzemienne cielska,  
grom bił za gromem, pękały opoki,  
drzewa się kładły, jak skoszone zielska,  
deszczów się z nieba zlewały potoki —  
O! straszna była to pieśń, archanielska, —  
jakby umarłe zbudziły się bogi,  
na bój szły, wojska nawołując rogi--

I z trwogą ludzie krzyż kładli na czole  
z trwogą śpiewali litanie błagalne:  
Jeśli są Panie w zbożu twem kąkole,  
powiedz, wyplenim — a tam złomy skalne  
spadały, niosąc śmierć — Twą wolę  
wyjaw o Panie, — księżę psalmy mszalne  
odśpiewaj, błagaj, proś, składaj ofiary,  
może usłyszysz Bóg i zbędzie kary —

Czemuś, o Panie, posyłał proroki  
ongi, co ludziom nieśli Twoje sądy? —  
ludzkiej, o Panie, szczeniłeś posoki  
i, nim na ziemię posłać kar swych trądy,  
wieścić kazałeś przodzi Twe wyroki —  
A wody wchodzą spienione na lądy,  
tam runął kościół pod naporem fali,  
inny się gromem zażegnany pali —

A potem wszystko ucichło na nowo —  
Znów stały puste gotyckie świątynie,  
tylko mozaiką cudnie kolorową  
słońce przez witraż malowany płynie,  
nad żadną ludzką rozmodloną głową  
nimbem nie błyszczy, w ciemnych kątach ginie,  
po granitowej posadzce się ściele,  
w kryształach łamie się — pusto w kościele —

Dusze, co drżały, obudzone rykiem  
 gromów, dziś znowu pogrążone we śnie, —  
 już się rozpaczonym w niebo nie rwą krzykiem  
 bolesne skargi i błagalne pieśni,  
 i niebo milczy — dawnym idzie szykiem  
 znów żywot ludzki, w dawne wraca pleśnie,  
 na chwilę drgnęły gdzieś zbudzone Czyny —  
 zamarły znowu wśród cichej głębiny

snu — drzemią — Boże! jakich potęg mocą  
 obudzić wielkie te elementarne  
 siły? — Niech wstaną, skrzydły załopocą,  
 niech wstaną wielkie, światłością ciężarne,  
 niechaj się szczęściem słonecznie rozłocą  
 po ludzkiej drodze —

— — — — —  
 — — — — —

Tu pęka ściana słoneczna, za nią raje mistyczne

*Duch* jawi się nieznany.

Patrz, to ogrody Boże, znałeś wiele  
 zaklętych sił i wiele ciemnych głębin —  
 i znałeś burze i walki niszczące,  
 a teraz poznaj ciszę, która tworzy —  
 Z słonecznej jasnej mgły, ze światła,  
 z szczęśliwych dusz i z łaski Bożej,  
 cudna się oto układa zasłona  
 tkaną przeświecistą. Widzisz, barwne wzory  
 misterną dłonią wkrąg rozsiane cudnie,  
 widzisz, przetkane wielofarbne nici:  
 tu idą pękiem, tam precz się rozbiegną,  
 z innemi wiążą, płaczą, winą w kwiaty, —  
 tam w jakiś kielich mistycznej lilii,  
 kwiat róży, w ciche tam bławaty  
 zamknięte z sobą się zbiegły i świecą  
 blaskiem, co duszę przenika i koi  
 i dziwną wypełnia radością —

*On.*

A czemuż jękiem usta ludzi kala  
skarga, i krzywda i ból czemu gnębi? —

*Duch.*

Patrz, oto błądzi tam srebrzyste szczęście,  
jakbyś z promieni wyrzeźbił słonecznych  
anielską postać, każdego się kwiata  
dotyka dłonią i kwiat wnet rozbłyska  
przedziwną światłością.

I dusze człowiecze tak świecą,  
kiedy je dłonią swoją błogosławi —

I taka się cisza spokojna unosi  
śród kwiatów prześwieta, kojąca —

Tu żywią te moce, które idą ponad,  
przez całą otchłań piekieł

przez wszystkie zawory,  
jakie kładzie życie na drodze ducha,

przez ból, przez męczarnię —

Tu, w słonecznej ciszy,

w wielkim spokoju znajdującego ducha,  
myślą — a myśli ich barwnymi niemi

w tkań się precudną wiążą —

a myśli na dnie wszech rzeczy leżą,

na ziemię idą rzeźbić kształty —

a myśli ich kierują światem —

są one wielkie, ciche i spokojne,

są one prawdą i życiem

i nieśmiertelną pięknnością,

są one jasnym ducha słonecznym promieniem —

*On.*

Przecz się na ziemi łamią jako promień? —

*Duch.*

a te ich myśli w skałach przeznaczenia  
duchom człowieczym przekładają drogę,

a — te ich myśli są miłością samą

tą, która koi i tą, która tworzy,

są, jako słońce, co oświeca

rozłogi ducha —

*On.*

Przecż że jako słońce,  
kiedy upadnie na wody głębinę,  
łamią się i giną,  
a w głębiach ciemności władną? —  
Przecż nie mają mocy  
zwalczyć ciemności? —

-----

*Wacław Makowski.*



## Gustaw Moreau.

## I.

Gdy się noc zbliża i mroczne jej posły poczynają wypierać barwy i kontury, opada człowieka tęskność niewysłowiona; przybywa zdaleka i kładzie ręce na skroniach — przyciska usta do czoła; niesie zapomnienie. Zapomnienie o tej tragedyi, której na imię — przeżyty dzień, zwykły szary przeżyty dzień. Smutek — łagodny cichy smutek, radość bez krzyku i uśmiechu, ból, wesele, rozkosz, cierpienie, spokój spływają na duszę, wszystkie owiane tęsknicą i rozmarzeniem. Wypadki życia, prace zawodowe — wszystko, co chłonie nas przez cały dzień, znika; jesteśmy po za czasem i przestrzenią, po za życiem, a raczej po za tak zwanem życiem. W takich chwilach zasłona z lekkich obłoków rozsuwa się powoli i ukazują się odległe kraje — to jasne, oblane łagodnym światłem i urokiem; to urwiste, palone promieniami słońca; to piaszczyste pustynie, dyszące żarem; to pieśni nieznane a smętne, to głośnie hymny mocy i potęgi.

Przez te dalekie majaczące kraje przemawia Nieśmiertelność i przypomina, żeśmy jej syny. Ale syny zwykle. Są bowiem, co z nią w wiecznej pozostają komunii, co w tych dalach zawsze i wiecznie przebywają, jak oswojeni ich mieszkańcy i koczownicy — nie jak goście.

Takim prawowitym tubylcem nieśmiertelności jest Gustaw Moreau. Przyjrzeć się mu, zobaczyć jego duszę w królewskim majestacie sztuki — to jedna z największych rozkoszy.

...Z wysokich szczytów (*Oedipe et le Sphinx*) kamienistą drogą schodzi ku nizinie on—człowiek;—wzrastał na wyżynach i żył dotąd górskim powietrzem. Orły mu mówiły o sile i wzlocie i wichry o górnych przestworzach. Siła w nim wezbrała i uczył w sobie moc; poczuł samotność i zapragnął zstąpić ku nizinom, kędy ludzki ród, i dary sypać. Począł schodzić radosny, promienny po skałach ku dolinie. Gdy zeszedł nieco, dziw się przed nim zjawił. Otoczyła go moc tajemnic i w łono wgrzyło się pytanie. Nie zdjął go strach przed dziwem, który skoczył mu na pierś i utkwiał w nim swe oczy. Edyp patrzy nań mocnym swem spojrzeniem, a źrenice jego biorą od wzroku Sfinksa inny dziwny blask... Wieczna tajemnica weszła w jego oczy, więc płoną tęsknotą, pytaniem; nie spocznie już nigdy, wiekuiście pchać go będzie naprzód nieokreślony ból, który we wszelkie radości jego się wsączy i doda mu nowych sił,—dążenie w dal, wiecznie w dal, szukanie i niepokój. Gdy zajdzie mu drogę śmierć (*Jeune homme et la mort*), to nie jako wróg; jasna, młoda szepce mu do ucha tajemnicze pieśni o słońcu, o krainie pełnej blasku i wielkiej piękności, kędy oczekuje go matka wieczność. Ta śmierć to nie ból, nie koniec, lecz przemiana, lecz rozkosz...

W utworach Moreau przejawia się niepokój ludzkości, która przeżyła tyle tysiącoletci i ciągle szuka, pożąda, pragnie, tęskni. Zabyłnie czasem radość życia, ból ucichnie, rozżarzy się chwila upojenia, lecz największą rozkoszą będzie zawsze owo wieczne szukanie, ciągła tęsknota...

...Wyruszyli młodzi (*Retour des Argonauts*), silni, po runo i zdobyli je. Z tryumfem płyną, młode ciała jaśnieją weselem, zwycięstwem, lecz w oczach—zagadka: pragnienie, lęk—nie—tęsknota, pożądanie, wieczne pożądanie. Wpatrzony w dal tęsknią ich oczy i wołają i biegną... Tryumf ich nie uspokoił, bo mają w sobie siłę, aby zwycięstwo i pogrom nieść dalej.

Wiódł swój naród ku ziemi obiecanej (*Moïse en vue de la terre promise ôte ses sandales*). Gdy ujrzał ją, zzuł swe sandały na znak dziękczynienia; oczy jego nie zabłysły jednak weselem i radość nie zagasiła w nich tęsknoty. Czuje, że kraina ta spokoju mu nie da, bo musi dążyć dalej, czuje, że nie będzie paść stad na promiennych halach i pielęgnować nie będzie winnic, słodkie wino dających, bo odejść musi i podążyć w dal kędy nie bywał i skąd żadnej nie miał wieści, oprócz gromów i głosu Pańskiego. Nie zna lęku, tylko pełną udręczenia wiedzę, że odejść musi... Pędzony jest przez wielką siłę w dal, a wejrzenie jego tęskni i pożąda. W tęsknocie tej jest groza, albowiem prowadził on lud wybrany, a oto czuje, że opuści go.

U Moreau uczucia nie wypowiadają się za pomocą ruchów gwałtownych, kurczów mięśni. Oczy, głównie oczy mówią wszystko, a za nimi twarz cała. Oczy mówią niepokój, lęk bezczynu, żądę walki, zmierznienia sił swych i pragnienie zwycięstwa, aby po niem znów rwać się, znów dążyć przed siebie, wiecznie przed siebie.

...Wąwóz skalisty (*Hercule et l'Hydre*); on idzie pewnym krokiem, silny potęgą swej młodości. Nagle moc jego spotyka zaporę,—tajemniczy potwór panuje w wąwozie. Rozpoczyna się walka. A słońce krwawi się i opuszcza ku ziemi, rzucając zachodzące światło ponuro-purpurowe. Z oczów wyczytać można, czy zwycięży. Zwycięzył — Dąży dalej, ciągle dalej, bo synowi wieków nie danem jest zaznać, co spokój i cisza. Nowy potwór (*Hercule et le lion de Némée*) zjawia się, znowu przyroda miesza się do walki, znowu słońce krwawo pogrąża się w morze. Gdy poskro mi dzikiego lwa, podąży dalej, bo niepokój i tęsknica to jego aniołowie stróże. Wiedzie młode zastępy na bój (*Tyrtée chantant pendant le combat*) za świętą sprawę, a orężem jego lutnia i pieśń. Daje im pieśń a oni młode swe, jasne, gibkie ciała wystawiają na pociski wroga; wzięli w siebie tę pieśń i moc z niej czerpią i giną w świetlanej aureoli słodkich dźwięków. Inna chwila: On stoi orężny lutnią i daje karm ich duszom (*Tyrtée*). A oni, wsłuchani w ostatni śpiew, patrzą nań z rozpaczą i giną...

Lecz oto i chwile tryumfu. Wielkie głązy (*Triomphe d'Alexandre le Grand*) — świątynie — ludzie, zwierzęta — wszystko postrojone w przepych wschodu, hołd mu składają; a on zasiadł na tronie i króluje ludziom i ziemiom. W oczach ma potęgę i tryumf. Lecz władza — władza nad niosącymi hołd, spełniającymi rozkazy, krótkie mu dała upojenie, i zapragnął nowego czynu.

Zabrał słońcu promienny wóz jego (*Phaeton*) i pognał ogniem buchające rumaki na jazdę, bogom tylko znaną. Pędzi między sferami, mija gwiazdy, ziemie, kosmosy. Nagle ze czterech stron świata runęły nań smoki. Zadrżał, wypuścił lejce z ręki i — runął w przestworze. Gwiazdy, ziemie, światy całe zwały się z nim, i zburzony został wielki spokój bezmiarów... Pierwszy raz on — człowiek — pokonany, bo wyrwał bogom zaprząg i chciał mknąć szlakiem, który im tylko przypadł w udziale.

## II.

W tym ciągłym bólu-ruchu staje się nowy głos, nowy zjaw — To Ona. On wielki (*Jupiter et Semelé*), wzrok jego silny, lecz pełen niepo-



koju, ona—strawiona cała żądzą i przerażona wielkością jego; on, dręczony czarnymi przecuciami, pytaniem wiecznym: co później? — wiecznym nieukojem.

Dla Niej giną całe szeregi młodych (*Les Prétendants*). Wielka sala pałacu kapiąca wschodnim przepychem. W pośrodku ona śle promienie na wszystkie strony, spogląda w tryumfie na tych, co giną w koło niej. Giną dla niej, bo taki ich los, bo pali ich żądza. Ona—to jedna z zagadek wiecznie żywych, niemilkące pytanie, przedmiot żądzy i uwielbienia, tajemnica—Helena (*Hélène sur les remparts de Troie*). Wie o mocy swej, lecz świadomość ta nie daje jej spokoju ni nasycenia. Wzrok jej to Niezbadane; wpatrzony w przestrzeń, mówi on wiele i przejmuje i ciągnie ku sobie w głębię, lecz odpowiedzi nie daje. „Wziąć mnie możesz, jeżeliś silny, posiąść — jeżeliś młody, piękny, i płomień masz w sobie; lecz nie poznasz mnie, nie odgadniesz i panem mym nie będziesz, a spokoju nie przyniesiesz“ mówią jej oczy...

O boskich liniach, przez wszystkich pożądana, sama spokojna, ze wzrokiem pełnym tajemnic, wzrasta ona do szczytu chwały (*Helène glorifié*).

Obrazy jednych mówią rysunkiem, innych barwą, Moreau mówi dziwnymi dźwiękami natury, trudnej do odgadnienia. Jest w dziełach jego coś, co porywa i wznosi wysoko, zamąca pogodę i zarazem napawa rozkoszą. Nie ma tam gwałtowności ruchu, lecz skupienie i spokój. Choć nie szarpie, jednak rodzi wewnątrz ciche poszepty, które rosną i niecą bóle i rozpacz; grają melodye smutku i tęsknoty i poruszają najtajniejsze struny duszy.

Helena to symbol jednego z najgłębiej ukrytych tajników duszy. Wieczna żądza, co pali i popieli, wieczne utęsknienie, wieczne szukanie... Messalina rzuca się w odmęt zmysłów (*Messaline*) tarza się w lupanarze, bo pali ją żar i znieść go nie może. Z objęć jednego w objęcia drugiego, a śmiałek, który ją na chwilę posiadł, zginąć musi. On goreje namiętnością i sięga po kielich szału, a ona, choć pragnienia nie nasyciła jeszcze, już się chwieje i obmyśla śmierć dla chwilowego kochanka. A inny czy da ukojenie?

Żądza górowania i przewagi nad silnym, nad najsilniejszym, pcha ją ku zdradzie. Zdrada i budzenie żądzy to broń Dalili (*Dalila*). Świadoma swej potęgi, czeka, przybrana w szaty godowe i klejnoty, w cieniwej komnacie; ciałem swem czeka mocarza, tego, co szeregi kładł jak po-

kosy dłońmi swemi, a drapieżnego zwierza uderzeniem pięści powalał; czeka, aby upoić go rozkoszą, uspić żądzą i oddać wrogom na pohąbienie. W komnacie parno, promienie słońca przedzierają się przez zasłony okien i budzą półcienie kolorów o wschodniem gorącu.

Ona — to wreszcie kwiat mistyczny (*Fleur mystique*) wyrosły z barw i linii, z utęsknień i upragnień, z najwyższych upragnień, najgorętszych utęsknień...

...Kochanka ptaka, Leda, to ulubiony symbol Moreau. Młode ciało, bardzo młode — szczupłe, smukłe, nieznające jeszcze, co żądza i pragnienie, lecz, jak kwiat mistyczny, dojrzewające; dreszcz nieznany przebiega je, z lekka trwoga przejmując, oczekiwanie czegoś nieznanego, co wabi, co silne, co pociąga. Ptak głowę swą białośnieżną wsparł na jej głowie i niby pieśń z oddali budzi dźwięki niesłyszane, milczące dotąd. Od tej chwili dusza rozpocznie wędrówkę tęsknoty i wieczne szukanie; pozna, co rozkosz, lecz wędrowania nie zaniecha, bo rozkosz to mgnienie oka, a wędrowanie to bezkres.

...To znów łabędź opada ku niej, a ona lekko się broni, z wolna poddaje się i bierna przyjmuje pieszczoty...

...Leda spoczywa na brzegu w lekkim zamyśleniu, a ptak ku niej płynie. Po chwili omdlewa pod jego pocałunkiem i poczyną się budzić, poczyną czuć krew pulsującą a we krwi ogień. Ptak pieści ciało jej, a ona w bezruchu upojenia poddaje się pieszczocie. Ona — to bierność, spokój, i wdzięk rodzącej się siły; to młodość, którą budzi królewsko-dumny ptak na wieczną tęsknotę, na wieczny ból i upragnienie.

...W wędrowaniu swem mieć będzie nie jedną taką chwilę szczęścia, kiedy wszystko wokoło niej tchnąć będzie duszną wonnością, powietrze i drzewa i trawa i słońce. Betsabe (*Betsabée*) siedzi w ogrodzie swoim samotna i pragnie; pragnienie — to ona cała, to drzewa wokoło rosnące, to ciężkie aromatyczne powietrze, to promienie słońca, wzniecające pożar... Bierna — czuje obawę przyszłych rozkoszy i bólu.

Lecz bierną nie zostaje na zawsze; bierność nie jest odpowiedzią, nie jest odgadnieniem pytania, które ona — sfinks nosi w sobie... Oto jest czynnia. Wabi Dalila, pociąga Salome i mamią ku sobie Syreny. Fale uderzają o skały (*Les Sirènes*) i kruszą się o brzeg, a one nęcą pieśnią. Słońce pogrąża się w fale oceanu i czerwieni je, a one, na skale, wołają

ku sobie, żadne zguby śmiazków i widoku martwych ciał. I będzie trup, bo pragnienie to los Jego. Ujrzał ją — pała żądzą i porywa (*Enlèvement d'Europe*). Lecz nawet gdy ją posiedzie i jej własnością się stanie, ból wewnętrzny nie zgluchnie, a niepokój w oczach nie zgaśnie. Porwał ją szalem i pędzą w nieskończoną dal uniesienia, zachwyty, — ona cała jego pieszczotą, on z wiecznem pytaniem w spojrzeniu.

...Niepokój w niej wzmaga się: czuje siły w sobie i moc życia. Nagromadzone na wiosnę życia, siły rwą, wołają wybuchu. Ona w przepychu ciała rozwiniętego jak świeży kielich kwiatu, o cudnych, jak melodia pieszczących liniach i bujna ogniem wewnętrznym — to Salome: smukła postać, piersi krwią i warem tętniące, potęga krasy i ognia młodej duszy. Nieznała, co żądza, co płomień, i żyła spokojnie; naraz ujrzała z okna świetlicy swojej, jak prowadzili pojmanego proroka, a on szedł, zlorzecząc i przeklinając kazirodców. Ciało jego wyszło od spiekot pustyni i braku jadła, i pokrwawione było od kamieni i ostrego piasku. Przepasany był w biodrach skórą i kij wędrownika miał w ręku. Gdy przechodził koło okna, w którym siedziała, spojrzął w jej stronę, a oczy jego były zimne, jak stal, i jak stal przesywające. W oczach tych był silny dźwięk i słowo przekleństwa dla trwających w grzechu. Oczy te pozostały w niej. Oto taniec zawodzi ze służebnicami swemi, staje w nagości całej boskiego swego ciała; ręce złożyła na płonących piersiach, a usta szukają ust, a ciało pożąda bioder. Gdy śpi, widzi wpatrzone w nią a piorun ciskające oczy, a piersi czują pierś jego, brunatną od wiatru pustyni, a nogi — palące dotknięcie jego nóg, wychudłych od tułactwa. Gdy дума, oczy te mówią do niej coś, czego zrozumieć nie może; co pełne grozy jest; co ją zdejmuje przerażeniem i ciągnie ku sobie; piersi falują żarem i usta szybko chwytają powietrze.

Posłała w tajemnicy służebne, ażeby go przywiodły, bo pragnęła mu dać w ofierze ciało swe nieskalane, i aby uprowadził ją z sobą daleko, a on wypędził służebne jej i przekleństwem odpowiedział na królewski dar. Moźni, księżęta, bogacze ubiegają się o jeden uśmiech jej, a ten żebrak, ten prorok uliczny — wzgardził jej ofiarą, najwonnieszą różą ziemi. Choć zraniona, rwie się ku niemu, parta wyrocznie tajemniczą siłą — „Muszę go mieć, musi poczuć władzę moją, musi ugiąć się przedemną i hołd mi oddać...”

...Komnata w oparach wschodnich, ona — bogini ciałem, wspięła się na palce i tańczy; szuka w tańcu ukojenia i rozkoszy. Wszystkich urzeka

plomienny jej czar, do stóp swych rzuca wszystkich, wszystkich, prócz — Na twarzy jej dziwne zamyślenie, upoić chce i oszołomić zmysły, utulić szarpiący ból; — jeden ma tylko dźwięk na ustach: „krwi, krwi!“ Wszystko milknie, jedno tylko pozostało, jedna chuć — krwi.

...W szarej dusznej komnacie siedzi w głębi na tronie ten, który panowanie ma, strażę stoją obok niego; — — ona przyszła dokonać zemsty; zna straszną potęgę swego uroku i tańczy, aby tego, który panuje, uczynić swym niewolnikiem i zażądać głowy; aby pokazać mu, że ma i nad życiem jego władanie, aby mieć tryumf nad tym, którego chciała wziąć w niebo giętkim swem,hybkiem, młodem, nietkniętem ciałem, a on ją odepchnął, pogardził nią. I tańczy, pała i szaty odchyła — i zapomina o wszystkim; tańczy i czuje te oczy, uwieść je chce, zdumić bogactwem, rozpaścić zarzewiem. Gdy usta wydają okrzyk „daj mi głowę!“, gdy przystanąła odurzona na palcach, jakby do nowego tańca, czuje uderzającą w piersi krew: przed nią blask jakiś — w jasnych promieniach głowa i oczy — te straszne oczy patrzą na nią; pod tym wzrokiem ciało jej się wypręża, oczy dziko patrzą; pierwszy to raz zdjął ją lęk okropny: „On, to on, kochanek moich nocy, on, który odepchnął mnie, a którego ciało moje łaknie; krwi jego pragnęły moje usta, a ta krew, krew, ta krwawa plama! Precz! wszystko dam, a niech ten wzrok zniknie, niech przestanie przeszywać mi głowę! Precz, te oczy i ta krwawa plama!“

Salome to najwyższe napięcie duszy ludzkiej, zwulkanionej niepokojem — to głęboki mit. Wszystko w tym cyklu mówi i łączy się w jeden gromki akord, okrzyk rwania się, największy może w twórczości Moreau, choć przysłonięty niby równym rytmem melodyi; zgrzyt, który przeszedł przez duszę artysty utajonym ruchem fal wieczności.

### III.

I jasne chwile posiada ta wielka czująca dusza, a wtedy ból wewnętrzny, niepokój roztapia się w harmonię barw, we wspaniałą spokój jasnej słoneczności Wenecyi — lub *L'amour et les muses* w przepyszną pogodną pieśń — muzy wędrują w promieniach słońca, a amor pochylony spoglą-

da na nie. Tak jasne tam barwy, taka pogoda, taka harmonia. To chyba najjaśniejsze (*Venise* i *L'amour et les muses*), najbardziej pogodne z pieśni Moreau. Inne, choć im podobne, choć niby słoneczne, wszędzie mają jakoby nutę udręczenia głośniejszej lub ciszej brzmiącej.

Zwycięzki miłosny żar pokonał nawet śmierć, lecz w miłości tej tyle niepokoju, tyle tęsknoty.

Jasna to dusza — twórcza dusza Moreau, lecz przyćmiona krepą smutku. Dziwny to smutek. Nie wybucha gejzerem spętanych sił, nie przechodzi w rozpacz, tarzającą się w bólu, nie kąsa ziemi, nie szarpie jej pazurami z wściekłym wyciem; cichy — patrzy smętnie w dal.

Jasny i promienny (*Apollon et les satyres*) król pieśni i słońca schodzi ku ziemi nieść radość i ukojenie; niesie w darze piękno i lilie spokoju tym, co w nizinie. Satyry szydzą zeń, ciskają mu pod nogi naigrawanie; on idzie spokojny; naigrawania nie słyszy; inny głos go dochodzi: „Idź!” — głos, którego słucha nawet on, bóg słońca i pieśni, podległy wraz z wszystkimi mocami ziemi jednej sile, co, jak twarde fatum pcha je dalej i dalej i jednoczy w utęsknieniu i niepokoju...

Muzy (*Les muses quittent Apollon leur père pour aller éclairer le monde*) posłanki pieśni i słońca opuszczają promiennego ojca swego, aby zstąpić na padół i czynić tam służbę swoją. On ich nie zatrzymuje. Wie, że iść muszą, bo to córki jego, myśli jego, pieśni jego. Żal im opuszczać słońce, lecz muszą iść na wędrowanie. Idą chodem cichym, uroczystym, jak uroczyście i cicho wiatr głaszcze po zachodzie wody jeziora.

W wędrowaniu swoim napotkały twórcę-piewcę (*Hésiode et les muses*). Zajechał on na rumaku swym skrzydlatym w daleki kraj. Córki słońca — pieśni otoczyły go: poznały brata. Niosą mu pokłon jako swemu i pieśniodawcy siostrzane. On, silny młodością ducha, wyciąga rękę po wieńiec. Czuje ich braterskość: i w tem, że ma w sobie moc, i w tem, że moc ta pcha go kędyś ku niewiadomym kresom. Wie tylko, że jest synem wielkiego boga słońca, a tęsknota i niepokój to dary, którymi ojciec pobłogosławił go na życie.

W wędrowaniu swoim muzy napotkały orszak. W krainie dzikiej ponurej czarno-czerwonawych skał, kędy wszystko zeszło i wola: „pragnę!”; spotkały jeźdźców (*Les rois mages*), w całym przepychu szat i drogich kamieni; przed nimi słudzy z gałązkami w rękę; wszyscy zapatrzeni

w gwiazdę, która im drogę wskazuje; od blasku jej ból przycichł, a tęsknota stała się jasnością.

A oto w wędrowaniu duszy ludzkiej, druga taka chwila, ukołysania bólu promieniami jasnej gwiazdy.

Nad brzegiem cichej wody spoczywa rusalka (*Fée aux griffons*); włoży jej wieńczy kwiat; linie ciała nuca cichą, smętną pieśń. W jasnych źrenicach tajemnicze zamyślenie — rozplywanie się w morzu nieskończoności. Wkoło tajemniczy nastrój, coś szepce i przypomina, że ten spoczynek i odetchnienie—to chwila jeno.

Czasem znów duszę nawiedza inny smutek. Czuje ona w sobie wielkość i mówić by chciała do tych, co na nizinie, lecz przerażenie ją ogarnia; słów, symbolów znaleźć nie może i czuje się na urwistem wybrzeżu.

Nad brzegiem szerokich tajemniczych wód urwisko skalne; spoczywają tam kobiety o ciałach cichych, wsłuchane w mowę fal, powietrznych sfer, skał. Dusze ich wyłoniły się z przyrody, są jej głosem. Pieśni przyrody niewidzialna ręka odrywa od łona matki i popycha na tułaczkę.

Czują, że sądzono im zmarnieć, lecz nie są w stanie oprzeć się tęsknocie, co złożyła pocałowanie na jasnych ich czołach. Muszą iść, choć im żal, tak żal...

W urwiskach dusza czuje straszną niemoc; skrzydła jej zwisają, nogi ciężą, i iść nie może; opadają wielka żałość i rozpacz; wszystko wokoło ciemne; tak ponuro w koło—dokąd iść, dokąd iść?

O późnym zachodzie, kiedy ostatnie promienie słońca krwawią drzewa i ziemię, a błękit nieba ciemnieje—on, pieśniarz, oparty o zdruzgotany pień, stoi u wrót cmentarza. Za wrotami temi śmierć, czarna otchłań; ona to wszystko połknęła, co miał w sobie jasnego; ona ograbiła go z darów, które mu na wędrowkę dał ojciec—Słońce (*Orphée*).

W czarnem zasepieniu spogląda na wody, a rozpacz, ból, szalony ból miotają nim—dokąd iść, dokąd iść? Ból go rozszarpał; rozpacz rozdarła w kawały i rozrzuciła po szerokim świecie. Rozbiegły się one, i oto lutnię znalazła pieśń, podjęła ją, a z nią smutek i tęsknotę.

U kresu pielgrzymowania dusza czuje zmęczenie, i jasnym się jej staje, że tylko połączenie się z wiecznością tułactwu jej koniec położy.

W pochmurne popołudnie siedzi na tarasie pałacu swego starzec-pieśniarz (*Le roi David*) i słucha opowiadań anioła, który go często odwiedza i wieści z zaświata przynosi.

Wędrowanie swoje dusza rozpoczyna o wschodzie, kiedy nie zupełnie jeszcze odeszła od ojca — słońca i matki wieczności; przechodzi południe, kiedy w najwyższym napięciu sił znajduje omamienie i uludę, i kończy zachodem, kiedy tęsknota bierze ją w posiadanie i noc ją ogarnia.

Wschód, południe, zachód — to trzy wieki ludzkości, bolesnej, ponużej tajemnicy. Chrystus-Prometeusz zawisł nad światem i jest symbolem treści jego... Zanim człowiek-tułacz (*La vie de l'humanité*) oderwał się od łona matki swej, żył wiekiem złotym. Nie czuł rozłamu w sobie, nie miał wątpliwości ani udręczeń. Oddawał w hymnach uniesienie swej duszy i czcił na kolanach tajemniczą rękę, która go wydała na świat. Słońce radośnie mu jaśniało, drzewa rodziły owoc, a ptaki zawodziły pienia w pieniach też i on wypowiadał radość swą i młodość. Lecz zaszedł mu drogę zachód, słońce stłumiło swe światła, ptaki ucichły, drzewa posnęły. Poczęły się wkoło niego szept i szmery; poznał, co to zaduma. Pogoda go opuściła i wiek złoty odleciał. Ma on w sobie siłę wiosenną, lecz ze słońcem i spokojem na zawsze wziął rozbrat. Słyszy wewnętrzne głosy, ktoś go woła. Anioł mówi mu o wszechwładzy i potędze pieśni, więc człowiek powstał i zanucił wielki psalm świata, a promiennosc i otucha powróciły doń w to samo południe, lecz jeno na chwilę. Słońce zaszło, pieśń na skrzydłach anioła uleciała w wyżyny, pozostał tylko skrwawiony ptak. Teraz ciężki żywot go czeka, pod chmurnym niebem kraje twardą skibę, szuka ukojenia w południe przy stosie ofiarnym, lecz ofiara nieprzyjęta; nadchodzi noc, krwawe słońce krwawo żegna ziemię, a z ciemnością nadchodzi mord.

Cykl ten — *Vie de l'humanité* to jeden z najgłębszej formy i tło przedziwne, do intencji dostrojone; przyroda: kwiaty, skały, niebo, stylizowane w jedną to nacyę. w całość i dźwięczy ten akord silnej ekspresy, który cechuje rzetelne arcydzieła.

Gdy się człowiek pograży w zadumie, zapomni o szarości życia, jawią mu się przed oczyma cudaczne widziadła. Dziewy (*Chimères*) skrzydlate krążą dokoła, chimery o kształtach nieznanym wieńcem go okalają i nie dają spokoju; ciągną go z sobą, rwą, szarpiają; to znów głaszczą, pieścżą, hołubią. Potem znikają, spłoszone szumem skrzydeł innego widziadła. Sęp głodny krwi opuszcza się — narzędzie męki i kary. Ażeby ją przetrwać i przemódz, trzeba mieć siłę i być synem wieczności.

Przykuty do skały silnymi łańcuchy, (*Prométhée*), moczarny ducha, uwięziony w beczynie. Ruch mu wszelki odjęto a pies Zeusowy rozdziera mu trzewia; ból wyprawia orgie. Wzrok jego zapatrzony w dal, kędy zorza. Nie ugnie się. Sęp zginie, chmara innych nadleci — on wszystko przetrwa, bo jest nieśmiertelnym tytanem ducha, synem słońca i wieczności. Choć spętany, jest wolny, bo duch jego wzbija się ponad widnokreśli; i mocen jest światy zwalić z posad i braciom nizinnym nieść światło.

Najgłębsze wypowiedzenie się człowieka — wędrowca to ten skuty gigant. Męka istnienia, męka kajdan, które się nazywają życiem, ćwiartuje go wiekuiście, ból i tęsknota to organy jego duszy; lecz jest w niej i hart niezbadany, który nad wszystkie inne moce podnosi berło i nad wszystkimi ma przewagę. Prometeusz to nieśmiertelność ducha ludzkiego, odradzającego się w bólu i dążeniu, wiecznie młodego, wiecznie zwyciężkiego.

Poniesie on żagiew płonąca między tych, co przykucnęli w ciemnościach, i pozwoli się umęczyć, aby dać świadectwo prawdzie i zgotować tryumf światłu. Przywiązali go do drzewa (*Saint Sebastien*) i strzały wbijają mu w ciało. Choć w jego wzroku wyraz bólu i ogromnej tęsknoty, ma on siłę poświęcenia — ukrzyżować się da i wisieć będzie między łotrami — za tę czarną ą ponurą ziemię.

Połączenie Prometeusza i Chrystusa. Chrystus Tytan niesie pochodnię, nie lęka się bólu i naigrawań; wieczny wędrownik, czuje w sobie potęgę i zgadza się wziąć na ramiona wszystkie katusze, wszystkie rozpacz, byle słońce zajaśniało wiekom i rozproszyło noc.

Ma on przecucie, że nic nie zdoła zniweczyć bólu ani przygasić utęsknienia, i że będzie musiał wypełnić to, czego nakaz nosi w duszy — wypełnić do ostatka.



Przecucie mówiło prawdę (*Madeleine au calvaire*). Ofiara przyniesiona, a noc nie ustąpiła. Wśród okolicy dzikiej, pod niebem czarnem krzyż, a u jego stóp ta, dla której ofiara się spełniła, wyje z bólu, w mrok, który się ściela dokoła.

I jeszcze prawdę mówiło przecucie. Ból, rozpacz, niepokój to siły nieśmiertelne; po wszystkie czasy wieść one będą walkę ze słońcem i radością. Miotają człowiekiem, jak wiatr wątlą trzcina, lecz dają mu moc i głębie.

Krótkie chwile radości, długie wędrowanie niepokoju; upojenie, tęsknota; żądza, ból, wieczne szukanie, to dusza ludzka. Moreau odchylił jej zasłonę i ukazał rozległe królestwa jej tułactwa.

## II.

Moreau jest malarzem dna duszy. Akcja zewnętrzna go nie zajmuje; czuje nawet wstręt do niej; uważa, że ruch jest czemś brutalnym, działaniem psuje harmonię i niegodne jest twórcy. Czerpać on winien tylko z ducha swego i tylko jego dzieje wzruszać go są w stanie. *Ils ne font rien, ils sont inoccupés, il pensent*, mówi uczeń Moreau, Ary Renan, o postaciach jego. Pozostają one w spokoju, w bezczynności. Żadnego żywszego poruszenia, żadnej gwałtowności, namiętnego wybuchu — działa w nich tylko wewnętrzna treść. Ciało — tylko jak symbol dusz oddaje jej różne stany. I otoczenie: drzewa, skały, woda, gmachy, słońce — wszystko to na obrazie istnieje tylko dla niej i przez nią łączy się w jedną symfonię wędrówki ducha po własnych jego krainach. I dlatego też wszystko u niego powleczone jest mgłą, zadumą, wszystko ma wyraz cichej a spokojnej melancholii. Spokojnej pozornie: za tym spokojem jest cały ocean różnych stanów duszy — z jednym głównym rysem — wiecznego niepokoju, pełnego tęsknoty i upragnienia.

Różni twórcy i pseudotwórcy silili się na odtworzenie wewnętrznych doświadczeń duszy. Prawie zawsze miały one w sobie charakter czegoś stałego, jednolitego — czegoś, co trwa niezmiennie jakiś okres czasu, zaledwie o parę stopni natężając się lub słabnąc. Całej tej ciągłości, tego nurtowania cichego, żłobiącego prądu, nieustannego ruchu, podnoszenia

się i opadania, to nagłej zmiany, to powolnego wzrastania i omdlewania, nie odczuwali tak świadomie artyści z czasów byłych. Tylko to, co łatwo się przebija na zewnątrz za pomocą różnych znaków uchwytnych — uderzało wyobraźnię i objawiało się w twórczości. Cała olbrzymia reszta dziejów duszy, bardziej ukryta, bardziej podziemna, była dla nich czemś, czego pojąć nie mogli. Mieli głuchą intuicję, że coś się waży i kłębi po za zwykłymi fenomenami psychy, ale tylko intuicję. Tajemnicą było dla nich, że oprócz bijących w oczy stanowczych poruszeń duszy, jest cały ogrom innych, które nie tak jaskrawo nie tak głośno i wyraźnie mówią o sobie, lecz wynurzają się dyskretnie, po zachodzie słońca, o szarej godzinie, w półmroku samotnej kontemplacji, często bez żadnego zewnętrznego bodźca. Jeden rys im wspólny — to nieokreśloność i zaziemskość, smęt łagodny, tęskna melodyjność. Z takich wzruszeń czerpie soki cała twórczość współczesna a jednym ze zwiastunów jej był Moreau. Jak każdy wielki talent, duch jego wybiegł poza epokę swoją i poszybował w przyszłość. Wybiegł on po za romantyzm, który panował w latach młodości jego, poza późniejsze poszukiwanie formy i pchnął potężnie naprzód twórczość stanów duszy, która w malarstwie wyszła z pierwszych bojów o światło, a dzisiaj — króluje. Z rzeczy klasycznych, z mitów, z legend, dziejów biblijnych — brał tylko ich psychę, wkładał w nią własną duszę, przekształcał je i pogłębiał, wysubtelniał i wyduchowiał. Tak uczynił np. z Salome, Ledą, Heleną.

Nie znaczy to jednak, aby, jak mu to niektórzy zarzucają, był więcej kontemplatorem, myślicielem, niż artystą t. j., żeby abstrakcyje myślowe uzeńtrzniał za pomocą kształtu i linii. Nie — u nikogo może więcej, jak u niego wyobraźnia nie działa *plastycznie*, czyli, mówiąc innymi wyrazy, wszystkie wzruszenia przybierały w twórczym umyśle jego kształt i barwę. Nie myśli bynajmniej oderwanymi pojęciami, *widzi* lub *słyszy* wszystko; wszelkie pojęcia i uczucia są w umyśle jego kształtami i plamami: smutek, lęk, nieśmiertelność, miłość, nienawiść. Duma obrazami, myśli obrazami. Między jego sposobem wypowiedzania się a stanami duszy zachodzi wewnętrzny, mistyczny związek. Szuka on siebie, swej treści duchowej barwami, rysunkiem. Wśród szkiców, które pozostawił, odnaleźć można całą drogę, którą pomysł w wyobraźni jego przechodził. Zrazu plama — parę barw jedna przy drugiej, łączą się potem w jedność jaskrawiej lub łagodniej; oddzielne tony w całe akordy; konturów — mało. Same barwy, które odpowiadają oddzielnym dźwiękom w muzyce i jak one łą-

czą się w akordy, w harmonijne połączenia. Pojawiają się one i pieśń się zarysowują.

Wogólności pomysł póty zajmuje Moreau, póki nie jest poczętą kompozycją, naszkicowanym—wyraz. Znalazłszy, rzuca go często i niewykańcza. Niektóre koncepcje pozostawił tylko w kartonach, i w nich podziwiać trzeba lekkość, sprężystość jego ręki; linie miękkie, przesubtelne pieszczą, upajają muzykalnością. Rysunek to dziwnej pewności i siły a nade wszystko subtelności.

Paleta jego posiada niezwykłą podatność i wrażliwość. Podlega niby szyba jeziora tysiącu przemian—to pochmurna, to słoneczna, to smutna, to wesola. Odczuwa ona wszelkie drgnienia duszy artysty i najposłuszniej śpiewa jego pieśń. Oddaje najlotniejsze, najpłochliwsze uczucia. Nie lubuje się w jaskrawych dźwiękach, zazwyczaj powleka się zasłoną zadumy i jest powściągliwą. Moreau nie popisuje się kolorytem dla kolorytu. Każe mu jedynie być tonacją, dostosowaną, dostrojoną do tematu. Więc krwawo zachodzi słońce, kiedy Herkules toczy bój, a z innym odcieniem krwawości, kiedy Chrystus skonał, a na wszystko osuwa się ciemność. Duszna atmosfera dyszy żądzą wokoło Dalili, a Betsabę otacza ogień w powietrzu, drzewach, kwiatach. Ale zawsze i wszędzie Moreau chce czarodziejskich wizyj i baśni, wschodu, tęczy, południa, bogactwa, kamieni drogich, kapiącego ze stropów i materyi złota, misternych a cudnych ornamentów w architekturze, na szatach i sprzętach. Jest w nim coś wschodnio przepysznego, coś z ogrodów Semiramidy, i pałaców Ni niwy i baśni Szeherazady. Chciał, ażeby sztuka miała czarnoksiężtwo i powab zmysłowy i wywoływała zdumienie ogromem swojego skarbcza. Jest to sztuka artysty—monarchy, stłumiona jakby cichymi dźwiękami arfy Dawidowej. Jest też po królewsku dumny, a jak psalmista pogrążony we własne ekstazy, stoi na uboczu od hałaśliwego życia, oddany zaświatom i wizjom czystego, czarnoksiężkiego piękna. Tworzył w samotności i o wpływ na społecznych się nie ubiegał. Tem większa przypadła mu w udziale sława.

*Zbigniew Brodzki.*

## Noc rabinowa.

II\*).

*Mrok. Z mogiły wychodzi upiór Lilith i w śpiżowy na wpół ziemią zarosły dzwon  
wybija północ.*

LILITH.

W imię Nieśmiertelnego! budzą się otchłanie. Błogosławią gwiazdy  
wam. My zmarli płacemy w katuszy, w rozdarciu. I sypią na nas drze-  
wa uwiedłe igły. Przygnieceni ziemią i kośćmi, wzdychamy — jęczymy do  
Ciebie — do Ciebie, nieznana nam z imienia. (*Kryje się*)

(błędną ognie cicho skacząc na jednej nodze oświecają Rabina, który stoi u lodozwału  
wśród dzikiej tysiącletniej puszczy.)

RABIN.

Minęło — ja nie wiem —  
może iskra,  
może pożar wieków,  
gdy stoję przed górą lodową.

---

\*) Akcja części pierwszej, którą gdy wola, można uważać za akt pierwszy, rozgałę-  
ziła się w dwu kierunkach równocześnie. Jedna gałąź szła przez akty drukowane ostatnio  
(porówn. zeszyty; *Ateneum*), druga, w sferę zaziemską rosnąca, snuje się przez część ni-  
niejszą, która jest w ten sposób niby aktem IV i zarazem IIb (przyp. red.)

Nie śmiem zapukać—  
może tam Lilith jest,  
może tam Cyjan Isni?  
nie śmiem wejść—marznę tu—  
w lodach błotnych  
modląc się, łkam.  
Kto nad nami—ulżyj nam!

*(Rozsuwa się lodozwal i widać otchłań mroczną, zapelnioną migotem skrzydeł — zielenią rajskich drzew—wychodzą w szatach szafirowych z gwiazdami 9 patryarchów.*

ADAM.

Zamknąłem w kwiat migdału  
me rajskie sny.  
Dwoje skrzydlatych aniołów—  
młodzian — dziewica,  
dopóki ziemia nie zgaśnie  
będę Mu ofiarować.

JAKÓB.

Zbutwiał już tron z lazuru,  
demony schodzą  
tu w grzęźl.

IZAAK.

Ojcowie, czemu nam smutno?  
oto już Bóg nie pragnie synów naszych.

ABRAHAM.

Te gwiazdy niegdyś wchodziły do mego namiotu  
jak moje piękne córy.  
Dziś mi są obce i zamarzłe.

ELIASZ.

Jam wstrząsał królów majestatem,  
a teraz płaczę—gdy gromada dzieci  
biegnie pozamną, naśmiewując: żydek!

HENOCH.

Kiedy mię gwiazda magów  
powiodła w kraj wieczności—

brama się sama ozwarła  
w alei ciemnych sykomor.  
Kwitnące drzewo życia  
jarzyło się płomieniami—

*(z płaszcza wysypują mu się nagle świecące jabłka—z grobów jak nadeptana harfa rozbrzmiewają jęki i błagania—suche badyle rąk zakwitają gwiazdami).*

MOJŻESZ.

Litość jest wyższa nad zakon.  
Dla ciebie wymażę piąte z mych nakazów!

RABIN.

Nie rozdawajcie gwiazd!  
o, niechaj zginie nasienie Boga.  
Niech umrze ogień,  
co się zapala przez tarcie—  
niech zgaśnie zdeptany  
w dolinie mrocznej zgonu.  
Wypiłem puhar krzywdy,  
mętów i pohańbienia—  
i chcę go rozbić—  
wołając: Szatan, Szatan!  
Przyjdę na grób mego ojca  
w tę noc, gdy lampy są na grobach,  
i bluźniąc  
będę mu miotał skorpiony.

HENOCH.

O Jah Jahwe Sebaoth — czarne otchłanie opieczętowałeś liczbą gwiazd.

SALOMON.

Szedłem po utajonych ścieżkach mądrości i każda z nich powiodła mię do grobu.

HENOCH.

Ale On Święty utworzył w dwójcy niebo — i w trójcy wodę i w czwórce ogień z wody—i z ognia wyrzeźbił swój tron, swych Ofan-  
nim i Serafim, święte zwierzęta i posługujące anioły.

Tak stworzył z nicości istnienie i wzniosł  
z nieujętego eteru wielkie kolumny.

SALOMON.

Dziesięć ich jest—i nie mają bytu.  
Dziesięć—i nie dziewięć.  
Dziesięć—i nie jedenaście.

PATRYARCHOWIE.

O chwała świętemu, chwała żyjącemu!

RABIN.

Przekleństwo jemu z moich dziesięci palców.

Ja wiem—ja wszystko wiem. Dwa kamienie budują dwa domy,  
trzy kamienie budują sześć domów, cztery kamienie budują dwadzieścia  
cztery domów, pięć kamieni budują sto dwadzieścia domów, sześć ka-  
mienią buduj siedemset dwadzieścia domów.

HENOCH.

Ale nie wiesz—że Abraham, nasz ojciec — pokój niech pozostaje  
z Nim—on badał, patrzył, pojął,—i uwierzył Jehowie—i On go wziął na  
łono — i odkrył mu tajemnicę — której kazał płynąć w wodzie, płonąć  
w ogniu, dąć na wicherze—świecić w siedmi gwiazdach i krążyć w dwu-  
nastu zodyakach. A gdy przyszedł Mesyasz—to ze śliny tworzył światło.

DAWID.

Rabinie, widziałem cię, gdyś konia smagał batogiem. On był chudy  
i jadł słomę z przegniłego dachu. W domie twym nie było kwiatka, ja-  
skółka uwiła gniazdo, a bachory ją zalepili gliną i ona w ciemności  
uschła jak badylek.

RABIN.

Na co mi kwiat? na co jaskółka?

DAWID.

Trawki się żalą, że je oglądasz przy lampie srebrników.

RABIN.

Czemuś tak litościwy? czy nie ty król — przepiłowałeś pobity na-  
ród drewnianymi pilami?

Córę mą—  
kwiatek mój

poświęciłem panu, jak Gideon.  
 Przyszedł jeden pies Chrystusa  
 i ukąsił ją ogniem palącym  
 i wprowadził do zamku Chimery.  
 Potem drugi pies Hapuna  
 obezczęścił łono jej  
 z przyjaciółmi na uczie —  
 i umarły wszystkie pokolenia,  
 co miały iść ze mnie  
 grając i trąbiąc, aby się wzniosły  
 mury Jeruzalaim.  
 Proszę was, dobrzy ojcowie,  
 uczynicie mię przewoźnikiem  
 na tej mroźnej rzece, która oddziela od życia.  
 Tu spotkam mordercę mej Lilith —  
 kłamcę i gwałciciela.  
 I nie uczynię mu żadnej rany,  
 ani mu serce wygryzę zębami,  
 tylko mu powiem: noc ciemna, jasny Panie!  
 Za arendę tego promu,  
 ja, który byłem cadykiem  
 świętym i dobrym żydem,  
 ofiaruję swe miejsce na wieczerzy —  
 i niech łotr lub nawet goim  
 nad mym kielichem odmówi Hedale.\*)

*(Zawierucha dzwoniącego gradu i w niej ciemnymi piorunami poryty tulacz.)*

#### PATRYARCHOWIE.

O, serca nasze jakby się zamknęły w żelaznej skrzyni — taki okropny wieje mrok od tego upiora.

#### AHASWER.

On pójdzie ze mną i na Nowej Zemli odczyta krzyże i zaklęcia kabalistyczne, którem ja wrył w grocie nad wyjąłym Oceanem, kiedy księżyc czarne cienie rzuca od fjordów.

---

\*) Modlitwa podczas sabatu.



I tu ujrzałem ich:

Urakabameel, pierwszy wódz buntu. Ahimelech, ojciec mordu i żelaznych wieżyc. Tamiel, czarodziej grający na sferach zodyaku. Belfegor, co pożera ogniem czarnym niezniszczalnym.

Tysiąc razy odmieniałem rachunek i wciąż potwierdzał się wyrok gwiazd, że duchem największym na ziemi był Emanuel.

PATRYARCHOWIE.

Chwała świętemu, chwała żyjącemu!

AHASWER.

Na lodowej krze wśród wyjącego wiru w łunach zorzy —

GŁOS Z ZA RZEKI.

Przewieź!

RABIN.

To głos Belzebuba—on mi da sprawiedliwość.

*(szybko zbiega z góry i znika.)*

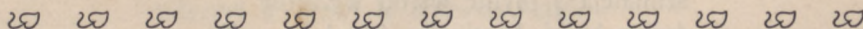
*(Ahaswer kreśli krywą znak kabalistyczny na śniegu i odchodzi—Patryarchowie stoją w niemym podziwieniu.)*

HENOCH.

On był jutro—i on będzie wczora.

GŁOS LEŚNEJ MATKI.

Przyjdź tu burza z leśnego jeziora!



*(Z prawiecznej chałupy, porosłej zamiast mchu jodłami, wypelza Leśna Matka czarna od rozpuklin, krwawa od narośli, w fałdach pod czołem jarzą się magnetyczne zimne i okrutne oczy sowy. Stacza się po kaskadzie, która cieknie z dachu, garściami wody nagle się zapalającej od dotknięcia jej wykoszlawionych korzeniastych palców rzuca uroki, wijąc się w węzowych podrygach.)*

LEŚNA MATKA.

W imię Rzyci  
zmieniam was  
w czarcie łajno, w ciemny głąz!

Kici — cici — kici!

(za łańcuszek ciągnie czarnego karła w krasnym kapturze na czterech łapach).

Słysz, ducku, ty mi graj — niech beczą zubry, niech ryć jeloncy,  
a słowików jak szysek nasyp w ten gaj i w czarną jesienią niech się  
zda zielony.

Caruję martwą wodą — nasieniem konopi i tem zieleń, co uśpionych  
truje — ogniem zimnym, co na bagnach topi, mnę — i ścinam te krwawe  
leluje! Anioły

niech mi tu nie śmia chodzować, tej nocki będę Położa w grób cho-  
wać a nad świtem zamienię tę puszcę w popioły.

ADAM.

(wychodzi z za drzewa)

Raj przypomnij matko Hewo,  
gdzie kaskady zazdrościły ci śmiechu —  
a jeziora górskie twoich źrenic.  
Teraz ty — zmieniona w śmierci drzewo —  
płodzisz z wężem struty popiół grzechu.

LEŚNA MATKA.

Ej staruszk, ejże — czy nie Jadam?

ADAM.

Hewo!

LEŚNA MATKA.

Króluj ze mną, bardzo radam.  
Tu księżęstwo jest żółwi i raków,  
szuhaleja \*) płynie wśród węzarów  
śpiew knihi, łożniuchy, bączaków — \*\*)  
a w czerotach \*\*\*) brzęcy słup komarów.  
Wiun \*\*\*\*) łańcuchem przybity do mosta,  
czaski końskie przed chałupami złodziejów!  
i strasący w studni pan starosta  
i monaster nasych dobrodziejów!

(ukazuje na Łysą Górę.)

\*) łódź \*\*) ptastwo wodne

\*\*\*) — oczerety

\*\*\*\*) piskorz

Był tu jeden kometa bez nogi.—

ADAM.

Do bram piekła prowadzą twe drogi.

*(wściekła bije ożogiem o skałę, która go ukryła. Woła na księżyc).*

LEŚNA MATKA.

Chodź tu, Worniu lizdaj\*) — trupie gniazdo—

*(Xsiężyc—nad mroczną głębiną—wśród rozchylonych skal—biegnie, roztrącając chmury — niski kwadratowy—niewyraźny—z upiornie jarzącą się czaszką).*

Znajdzie mnie planetny kwiat—  
w swaty śle słońcowy gad—  
jako tligo, jako gzi—  
ze się wściekł, jak carodziej—  
jaz ze złości niebo drze—  
całą Jurę\*\*) wylał w dżdże.

*(Xiężyc uchwyciwszy biały nenufar chmury, rozchyła go i wśród różowych zaston widac budzącą się Planetnicę).*

PLANETNICA.

*(mówi w półśnie).*

Nad czarną wodą— w srebrnych mgłach—  
wzniósł się różany serca gmach.  
W wichrowej nocy wieszczy kruk  
uderzył w drzwi w spiżowe—stuk—  
I głucho pękły kraty bron,  
na koniu wjeżdża Rycerz Zgon.  
Pójdź w moje łożę, czemu strach?  
ogniami piekieł błysnął gmach.

LEŚNA MATKA.

Zbudź się— to chata — zbudź.

---

\*) dos. Krucze gniazdo \*\*) Morzem.

## PLANETNICA.

*(schodząc ociężale i smutno z chmury na ziemię).*

Z duchów uwita ma szata,  
z żywiołów zebrałam moce  
i wstrząsa mną suchy płomień  
tej żądz, co pędziła anhelice  
w mgieł zawierusze na rozstajne drogi.

## LEŚNA MATKA.

A tom rada! Chmurnik złotorogi  
chce Cię wziąć za jałowicę.

*(ryk grzmotu).*

Nic się nie wstydz — lagnij naga —  
z wichrem polnym on się zmaga —

## PLANETNICA.

Smierć temu siną błyskawicą  
kto przyjdzie spojrzeć w moje lico.

## LEŚNA MATKA.

Jak wiór w kominie usknie twoje życie.

## XIEŻYC.

Maccho, powiem. W złocistej karycie  
gryfy ją niosły i tęczowe pawie.  
Wtem znikła w gąszczu, nieopodal karczmy.  
Stuknąłem w jamę węża domowego —  
„żalczion karalus\*”) pytam, gdzie jest Dejwa? \*\*)”  
A ten mi syka, jakby go odparli  
Księżna warząchwia od koziego mleka.  
Wślizgłem się w jezioro  
w pałac z bursztynu, gdzie przęda boginki  
koszule życia przy czarnych gromnicach.  
Jezioro w gniewie brzeg zalewa łzami,

\*) Królu wężów. \*\*) bogini.

w pałacach cisza. Więc leżę do Worni  
 pytać dewotek, co schną przy kabale,  
 romans czytając, nuca gorzkie żale.  
 Lecz na zagadkę, gdzie pociecha Jony,  
 nos opuściły, wstydem zrubiniony.  
 Wtedy zapalił trójwęzową świecę  
 ujrzałem w dębach bogów starych lice.  
 — Mocarze, mówię— chcąc się przypodobać. —  
 stary kometa, zwany Uodegita,  
 jak wiecie często pozierał do Jony—

## LEŚNA MATKA.

Zamilcz, młokosie.

## XIĘZYC.

Za gwiazd konduita  
 padła tak w ciemność, że nie wiedzą w Worni,  
 w Hłusku, ni w Lalach—li tylko w Rosieniach,  
 gdzie jest magazyn strojów Madeleny,  
 umiano rzecz mi, że sprawiła treny,  
 szenszyle, koki, ślubne atlembasy  
 i furmanowi rzekła: jedź na lasy.  
 O bogi węże, szperajcie pod ziemią,  
 w starych ruinach, lub gdzie Kaukie \*) drzemią.  
 A wtedy syknął jeden zaskron w luży—  
 „chłopcy na taniec się zesli Giaguży \*\*)“  
 mówiąc to, łykał myszę bystrogoną,  
 co piskła mdlejąc: zjadasz urodzoną  
 z krwi lazuruwej wieszczą, gdy mu raje  
 otwarła w karczmie Płane—

## LEŚNA MATKA.

To ambaje—  
 kłamstwa, pakuły, które ty kuglarzu,  
 tańczący między kopą jaj—zjesz dorazu!  
 (zapalonym ożogiem godzi w xiężyc).

## PLANETNICA.

Matko, przysięgam na miłość Alcisa—

\*) Karzelki duże jak palec. \*\*) Taniec kukulki.

LEŚNA MATKA.

Mów, podglądaczu, a potem ta misa—

XIĘŻYC.

—lub pŁanetnicy haftowana strzała  
niech mnie zagasi. Boleść we mnie drżała,  
wstyd mi się spiętrzał, gdym przy szabasówce  
ujrzał wisielca Rabina i hufce  
szatanów—i wieszczka—i tę różaną  
co mi błysnęła jak zorza—pijaną!!

LEŚNA MATKA.

Twa szabasówka łże.

*(milczenie długie).*

PŁANETNICA.

Niechaj wykuje z modrych meteorów  
pierścienie ślubne kowal Jökkulsjoke,  
kuźnicą jego wulkan, co sypie w zatoke  
ciemnego fjordu iskry. Z władcą borów,  
chmur, oceanów, nieba i Gehenny—

LEŚNA MATKA.

*(Z rudością).*

Także mi praw! dyabeł cię prze za małżonkę?

PŁANETNICA.

Poeta!

LEŚNA MATKA.

*(hamując się.)*

Widzisz tę śmierdzonkę—ten chlew—to ciało?

PŁANETNICA.

Wolę stos płomienny.

LEŚNA MATKA.

Tyś nie kołdunja! dla cię to za dobre.

PŁANETNICA.

Królewny indyjskiej kształt wezmę i kobrę \*) nad girlandami włosów.

\*) Jadowity wąż.

## LEŚNA MATKA.

Trup murzynki,  
 żebracze szmaty i na łeb zaskrońce—  
 taką cię złubi—to mnie złubi słońce—  
 i jeszcze w kruchcie trzy zmówię godzinki.

(do księżycy) Zrygluj odrynę—a mi jej nie pusknij, bobym cię zamkła  
 w piastę \*) (do planetnicy)

A ty usknij.

(wychodzi).

## PLANETNICA.

Nie mów, że jestem córą czarownicy,  
 gdyżby się uląkł mych zimnych uściśnień.  
 Tu przy wężowej on stanie gromnicy—  
 (jak leci krwawo ten uwiedły liścień).  
 Byłeś księżycu nieśmiertelnym bogiem,  
 zanim cię matka ma zmieniła w karła.  
 Prowadź mię z sobą umarłym rozłogiem,  
 abym o kamień czoło swe oparła,  
 śniąc — że to miłość.

(Księżyc chlupie).

## XIEŻYC.

Cioty boję —  
 chodź do odryny — zdejmij zbroję  
 (prowadzi ją i zamyka w chatce na siano).

A tu Ci wtykam białe nenufary —  
 gryź! tu główki maku — śnij. Na promie  
 jadą duszyczki, co Hapun zapędza.  
 Dobranoc — słyszysz, jak grają ogary,  
 jak skrzypią drzewa. Już poczyna czary  
 rzucać na puszcę twoja matsia jędza.  
 Czemu Cię zdradził? (zagląda).

śpi kotek na słomie.

(Wicher wyje: ü — ü — ü — — żelaznemi skrzydłami bije o dach — trzaska w drzwi,  
 rozchyła okna i stuka po ścianach, łamie drzewa, wylatuje w tany i skręca się jak rażo-  
 ny nożem w serce — zawodzi jęklawie — ryczy — porywa Księżyc i rzuca go w chmury).

\*) wewnątrz koła.





niosę w purpurze  
widmo kochania.

*(słysząc cichą, a potem rosnącą melodyę — chóry moczarów zdają się ulatywać ku niebu).*

## RAGANY

*(zielonowłose wychodzą z drzew, zasłuchane w melodyi — która niemi wstrząsa).*

Zielony szumi bór — szumi —  
idziemy po wrzosach nóżkami bosemi —  
szumi bór.  
Czemu ona płacze? królestwo ma całego nieba.  
Nie mówmy. Całują nas chmury,  
błyskawice zapadły w łono nasze,  
pocałunki spływają po zielonych włosach do czarnej ziemi.

*(Planetnica wystawiając rękę zbiera deszcz przy lśnieniu krwawych łyskawic — puhacz się ozywa — i bór stęka — i wiatr i jakieś dzwony przygrzebane.*

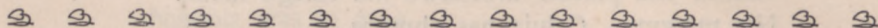
## PLANETNICA.

Z górnych prądów zbieram Cię —  
z miasta umarłych wzywam Cię —  
w łyskaniu, w gromach, w męce mej.  
Z kudłem zielonym Ragany przydźcie tu,  
w bukach, w dębach, w jaworach zbądźcie snu.  
Dziewy — żony z pierśmi jako lochy w koszulinach z Inu,  
włokąc rude włosy, siejąc mogił prochy, służąc złu.  
Zapłotniki, latawce i złe roczki — przydźcie tu,  
wy rogate dzieci, wy zajęczo-oczki w czarnym dżdżu.  
Te, co doją mleko czarownicy z dzwonów w płacznym tchu,  
strygi i krostacze, śnieć — zaraza plonów — zrosłych w pniu —  
rusalki, co wabią młodych Eolionów tam ku dnu.  
Ty położie królu, co pływasz po ziemi w zimnie mchu,  
co uwiodłeś Hewę z duszmi bezlicznymi w rajskim krzu —

— — —  
Ta żaba, co się tu porusza —  
To dusza!  
i piorun, co skałę rozkrusza —  
to dusza.

Z ogrójców Syryuszowych przynieście złoto —  
niechaj się gwiazdy z cierniami zaplątą.  
Żegnam krzyżem z czterech rąk i czterech nóg —  
wicher piekielny niesie szlakami bez dróg.  
Niech się jeszcze ozwą — taki kładnę mus —  
wszystkie głosy boru, co uwięził mróz.

Kamieniami — cmentarzami — pustami — borami — podziemnymi  
lochami — trumnami — kościołami, mój kochanku wyśniony nad gwiaz-  
dami — nad Tatrami — nad morzami — przyjdź że tu!



*W czarnych odmętach błyskają światelka — płynie korab — z okien wyzierają twarze.  
Korab zatrzymuje się wśród skał i wychodzą Rabin, jako Charon, Xiądz popędzający  
wicią jarzębinową Hapuna — posepny zadumany Poeta i wiedźmy nagie w czarnych ka-  
pach dźwigają lampy z trupich czaszek.*

XIĄDZ *(do siebie)*.

A uważaj Kapistranie, nie uderz go ino raz, bo gdy go bić, to się  
obróci i nas pożre.

*(głośno)*.

Więc to Szatrya? dwanaście kościołów stąd można obejrzyć.  
— hej! czy to nie złote kopuły?

HAPUN.

*(wskazując wiedźmy)*.

Dolatuje woń assa-foetidy, — to nasze lilie.

Oto dziesięć panien mądrych, więcej się nie znalazło w tym za-  
chrześcianiowym kraju.

WIEDŹMY.

Zbierajmy liście suche — wetknijmy je do chat sąsiadkom, aby  
poschły.

RABIN. *(w wielkim lęku ozierając się na Hapuna nadrabia miną)*.  
Błogosławiony Pan, co utworzył światło.

XIĄDZ *(do siebie)*.

Dyabeł ma też świecę w mózgu.

HAPUN.

Chwalmy słońce, gdy zgaśnie, a dziewicę nazajutrz po weselu.

RABIN.

Grób jest jak stół obrzezania.

HAPUN.

Ale mądrość jest jak stracony wielbłąd wierzącego.

RABIN.

Pobożny jest wzięty za grzechy wieku.

HAPUN.

Najwięcej trzeszczą w ogniu ciernie i tak się chwala jak słodkie oliwki.

RABIN.

Do osy mówię: ani Twego miodu, ani Twego żądła.

HAPUN.

Nie powiesiłby się rabin, gdyby wrogowi nie chciał uczynić na złość.

RABIN.

Nie uderzy się człowiek w mały palec, jeśli go z nieba na to nie zawołają.

HAPUN.

Chłop choć się stanie królem, to jeszcze mu kosz nie zejdzie z pleców.

RABIN.

Gdy dmuchasz na węgiel, to się rozżarzy.

HAPUN.

Gdy napluję — to zgaśnie.

RABIN.

Świat się nie może obejść bez perfumiarza i bez garbarza\*).

HAPUN.

Tak mówił Rebe, przemieniwszy córę w osła i jadąc na niej na jarmark.

XIĄDZ.

Abu tabu, obaj równi, jak żydzi po spaleniu.

## HAPUN.

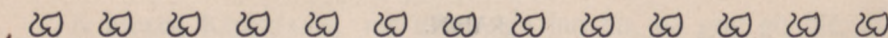
Nie jest tak źle,

*(kopie nogą w skalę i ukazuje się grotę pełną klejnotów, do których jeszcze przyczepione są łachmany i szkielety. Narzędzia magii czarnej, miecze, kandelabry, lustra, misy rytualne, kielichy z czarną hostyą — złoto jak lawina zamarza).*

Ta jaskinia pełna jest alchemicznego złota, których jest dwa. Jest aureum positivum, które się kopie — i aureum sublimum — tak wysubtelnione, że dwudziestu czterech żydów daje go zaledwo jeden łut. Są tu elixiry szczęścia do kobiet, wody ze źródła na wyspie marzeń — oraz traktaty uczone o tem, skąd powstały katoblepsy\*). Chodź Rabinku, będziemy Cię grzać.

RABIN *(dobywając pieniędzy, błagalnie).*

Loz mech noch kidysz machen yber dem heiligen Wan. Na dir derfalt Gelt\*\*).



## HAPUN.

Gajszon, a sztyl. Muszę Cię wykukać jak Szoner głupiego Ickunia. Pomnij, co mówi wenecki Talmud: dobrze jest zabić poganina i bardzo dobrze jest zabić poganina. *(wychodzą).*

## XIĄDZ.

Lamie, pytony widzę, a wszeteczne muchy  
z zakonnicami czynią bezwstyd pod drzewem Chrystusa\*\*\*).  
Tam siedzi Mormo, tu kica Beffana,

\*) Przysłowia żydowskie. \*) Patrzący w dół, potwory z mitol. greckiej.

\*\*\*) Pozwól mi zrobić ofiarę nad świętem winem. Masz za to pieniądze. *(Z piosenki żydowskiej).*

\*\*\*) Z obrazu średniowiecznego.

Honorii tertii papae widzę Pandaemonium\*).  
 O zbaw mnie Maryo, albo niech użyję  
 w Sodomie świata, bo któż wie, człowieczy  
 duch zali idzie w górę — bydlęcy do ziemi?

*(Czarownice tańczą dokoła kotła i z trumien wytrząsają zgnilizny. Nacierają się m aściami, romansują z dyablem, co ma kapelusz z paznogi i podpira się laseczką).*

WIEDŹMA I.

Wilcy śpiewają.

WIEDŹMA II.

Rogaty na skrzypcach gra.

WIEDŹMA III.

Rogate dzieci widziałam — wyżej najwyższych lasów lecieli.

XIĄDZ.

Ty zastarzała czarownico, nosisz piątna dyabelskie, od nieprzyjaciela dusznego cale opanowana.

WIEDŹMA.

A tyś mi kosteczki powyciągał na żelaznej kobyle, a potem spalił. Aj, bóle przecudne męczą mnie, ręce od plec i nogi od kolan mam sinie-krwawe, zmęczone.

XIĄDZ.

Z takowych jawnych dowodów i zeznaków uznałem was, żeście bojaźni Bożej i Twórcy swego odstąpili. Ty Kościukowa ciałko dziecięcia nierządnie spółdzonego cały tydzień w dymie ciepłym suszywszy, pochowałaś, a potem wygrzeblszy z jamy — w ogrodzie sąsiadki kości te rozsypałaś\*\*).

WIEDŹMA I.

Na jedno oko nie widzisz, i na drugie olśniesz.

\*) Honoriusz III był uważany za czarodzieja.

\*\*\*) Z dawnych aktów sądowych.

## WIEDZMA II.

Przy lasce mojej szeląg i nici lazuruwe, żuki warzyłam, hostią do chustki z ust wyjęłam, z iskrami tu leciałam i goła chodzę.

XIĄDZ (*do zakonnicy*).

A siostrunie jakąż koleją?

ZAKONNICE.

Nas, panny zakonne, podczas nocnej mszy powołał błady młodzian.  
— Ja w myśli Xiędza do bestyi przyrównałam (*chichocą historycznie*).

(*Chłop i baba skradają się*).

CHŁOP.

Cichaj, bo morówki usłyszą.

BABA.

Możno złych duchów nakupić u niemców w Kłajpedzie. Ja dzień cały ser w gębie nosiłam.

CHŁOP.

Głupiaś, to na Wielgi Czwartek.

BABA.

Zerknęłam przez dziurę sękową od trumny, a tu widzę jak wiedźmy z Xiędzem warzą trupa.

CHŁOP.

Czemuśwa rabinowi nie odcięli głowy? Padł na ziem, i stała się przeklęta. Otwartemi oczyma urzekł tę nockę. (*przechodzą*).

(*Poeta cicho poczyna grać na kryształowym flecie — schodzą się zwierzęta leśne, orły, którym się dziób zakrzywił od starości i pióra wyliniały, jelenie, w rui splątane rogami, potworna żaba przepuknięta od kamienia*).

POETA.

Łaszą się do mnie te czarne niedźwiedzie,  
które wypędził z puszczy huk tartaku,  
i sarny klękają do mych nóg. O, smutek borów,  
śmierć wyciąga do mnie ręce przez te drzewa,

sowy lypią ślepiami żółtemi.  
 Zgniły zapach grobu wsącza się w moją pierś —  
 jak ptak przed wzrokiem węża niemieję w bezmocy.  
 Ja nie mam miecza, ażeby was bronić —  
 i zamku nie mam, oprócz urojenia —  
 i puszczy innej nad tę, gdzie jest Obłąd.

WIEDŹMY.

Djabel cudnie będzie grał —  
 wicher złote liście zwiął.

WIŁA (*z kotczanem i strzałami mierzy z tuku w Poetę*).

Panicz w smutku bardzo miły —  
 chodź do Wiły.

Wiła piękne ma zagadki —  
 zdejmij szatki.

Wiła ostre nosi strzały —  
 jaki biały.

Gdy nie zgadniesz — grot ci wbije,  
 ach — lelije!

(*gdzie stąpa, zakwitają lilie krwawe, niemi stroi poetę*).

WIŁA.

Kwiaty rzucasz w poniewierce —  
 Ja zabiję —

POETA.

Znajdź me serce.

WIŁA.

Jesteś piękny, jesteś młody —

tu świątynia jest przyrody —

w żądy ciemnej żyje bóg.

Na mej piersi, jak na łące,

pachną kwiaty gorejące —

niebo u mych nóg.

W mych uściskach szumią lasy

i w zygzaki rwą się chmury —

POETA.

Ale we mnie są marmury —

## WILA.

Na Twój posąg tęcz mych pasy.  
 Moje łoże z macierzanek,  
 jak liliowy w świtach ranek,  
 jak wiosenne srebrne bazy  
 będę kąpać się w ekstazie —  
 Ty mój — Ty mój!

## POETA.

Wszystkie światy  
 już minęły niepowrotnie —  
 i tak dżdżysto — i tak słotnie —  
 ach, gra we mnie — hymn Juraty!\*)

*(w szale — w gniewie wyciąga ręce nad czarny wyjący ocean mroków. Wiedzmy podają mu — zeschniętego trupa o złotych włosach, w kształt harfy — korona z rubinów na pustej czaszce).*

## POETA.

Jurato, Jurato! gdzie Twój pałac bursztynowy? Rozbił ci bóg Per-  
 kun na drobne szczątki, które dziś wyławia rybak sieciami.

Jurato, na twe umarłe ciało spogląda harfiarz przykuty do skały  
 i gra hymn!

Jurato, ubóstwiłem Cię nad wszelki żywioł, a umarłaś mi.

Królestwo moje oddam za jedno poruszenie Twych powiek, na któ-  
 rych kropla sączy się krwi.

Chrystus Smutkialis\*\*) siedzi z załamanemi rękoma — to tryumfator!  
 Przyjdź Jurato!

PLANETNICA *(śpiewa — niewidzialna w odrynie).*

Szłam  
 z relikwiarzem na górę Pokoju  
 i był mrok.  
 I ujrzałam, gdy w jaskini siedział sam,  
 ze ściśniętymi pięściami tytan przegranego boju.  
 I owinęłam mu skroń  
 moim pachnącym z oliwek różańcem,

\*) Królowa Bałtyku.

\*\*) jasełka żmudzkie.



a podemną w gwiazd zamieci szalał koń —  
a nademną Jutrznia krwawym rozbłysnęła tańcem —

POETA.

Słyszę śpiew, a Ciebie niema.

Widmo Twoje zakląłem i nuci mi przed zgonem.

Jak wieloryb, gdy go strasznymi mackami owinie Orka\*\*) i wyrzywa płachty mięsa żywego — a on się miota na powierzchni fal i wyrzuca słupy krwawych fontann, tak miłość moja bluzga obłędem i melancholią.

*(Rozwarły się wrota odryny i dwie czarne ręce wysuwają się z mroku)*

POETA.

Pośród lodów płonie

afrykański żar —

zdebiły się konie

nad piekielny jar.

Czarne ręce Furi

wabią mnie wśród gwiazd —

pachnie kwiat anturyi

nad zgliszczami miast.

PLANETNICA.

*(mieczem magicznym czyni zaklęcia).*

Na tarasach ciężkie świeczniki Salomona. Zapalone ręce mumij. Wiele stołów nakrytych kosztownymi makatami. Żmije pełzną swobodnie pośród kwiecica i kryształowych konwi.

Cysterna i siedem szafirowych Sefirothów, których oczy liczniejsze niż gwiazdziste niebo pustyni.

W Hekatyjskiem kole zodyaku szafirowy Androgyn dźwiga słońce, a wąż owija mu stopy.

*(i oto się wznoszą tarasy, kandelabry smukłe jak węże z paszczą jarzących się gromnic—fontanna strzeżona przez kabalistyczne władze Niepojętego).*

*Gwiazdy otaczają sferami Planetnicę, która magnetyzując gwiazdami, tańczy. Wiedźmy wnoszą tron z czarnych brylantów i stroją w purpurę Poetę, który się daje wieść—i bierze w rękę berło z trupiej kości, obsadzone klejnotami).*

\*) Głowonóg.

## WIEDŹMY.

Mamy króla — jest Herodes.

## POETA HERODES.

Gra wicher na okarynie Stabat Mater.  
 Przed ranem zamkną mnie w domu furyatów.  
 O przyjdź, gwiazdzista Afrodys!  
 Gra faun ukryty w trzcinie w promieniach księżycy.  
 Chcę szydzić, marząc przy gwiazd szabaśniku,  
 gdy nagie tańczą Łauny przed szatanem.  
 Niech się zapadną gaje w jeziora miedzi skrzącej —  
 czy nie masz nieco opium, przez litość, o Ananke?

*(Płanetnica tańcem wyraża ekstazę miłości — naśladowując chmurę, motyla i kwiaty, wreszcie w płomieniach cała upada bezwładnie do nóg Poety).*

Chcesz złotych jablek? już usnął smok Hesperyd.  
 Zdejm ze mnie czarną z stali karacnę  
 i przyćmij żagiew i nakryj ją szyszakiem —  
 daj ust —

RABIN *(do Płanetnicy).*

Weź nóż i zetnij łeb Holofernowi.

*(wiodąc jej rękę zadaje ranę Poezie).*

## POETA HERODES.

Tyś więc przebrana tu, o Dolores?  
 misericordia weszła mi po różę krzyża  
 i nie wiem, o Władczyni — gdzie jest mój zamek?

## RABIN.

Twój zamek? twój? na łańcuch idź, żebraku —  
 tu składam Tobie pozew dnia sądnego!  
 Rycerzu — wieszczu — obudź się, Tyś aktor  
 co gra za mały pieniądz tak wielką komedję —

POETA HERODES *(wzdryga się — lecz od dotknięcia Płanetnicy znieruchamia).*

Krwawy i bezwstydnny pachnie kwiat anturyi  
 nad czarnym łóżem.

Gwiazda miłości pali się w toniach niedosiężnych.  
 Błądzą wśród sosen nad morzem  
 i widzę lico Furyi,  
 gdy czyta przyszłość z mojej zimnej dłoni.

RABIN (*do Hapuna*).

Daj mi — niech odpłynę na korabiu —  
 na te czarne morza, po których błądzi Ahaswer —  
 Gdzie mój Syon? karczma.  
 Gdzie mój psalterz? śmiech goimów.  
 Na niebie stanął krzyż — a w piekle wisi wklęsłe lustro.

HAPUN.

Trupowi dziś pogrzebionemu —  
 tę wilczą zanurz w serce kość —  
 przez otwór ujrzysz Twe królestwo  
 z krwi nie wylanej lecz wypitej.

RABIN.

Już wszystkie gwiazdy stliły się na węgiel.

*(staje w zadumie nad grobem Lilith i z wolna wilczą kość zanurza nogą — potem się nachyla, coś szepce, liczy na palcach, zagląda i cmoka).*

HAPUN.

Husz Lilith\*), kym Lilith, husz!

*Przytłumiony, a potem rosnący wrzask i śpiewy i bicie bębnow i uderzanie kośćmi widm.  
 Od Hapuna pada cień potwornego kozła na chmurę — ).*

HAPUN.

Głównie przydepczcie nogami. Tu jest anioł. Zduście go, przysiadłszy na nim.

POETA HERODES (*do Planetnicy*).

W świątyni stoi pylon czarnego boga.  
 Wśród nocy szumi kipiący mroźny gejzer.

\*) stryga żydowska, co pożera dzieci.

HAPUN.

Wzbudź męstwo! Tu stoisz na zbezczeszczonem miejscu Pry-  
japejon.

POETA HERODES.

Dotknij ustami dyamentowy wyszlifowany poliedr na mojem czole.

HAPUN.

Zagasić światła.

WRZASKI.

Lingam, lingam, kym Lilith, kym Lilith!

HAPUN.

Królowa nocnych stryg, o Najczarniejszy, przychodzi pożreć plód,  
który się kryje w tem łonie (*wskazuje Hannę, która idzie ciężko pod górę jakby  
dźwigając krzyż*).

HANNA.

Oczy moje się zwróciły do wnętrza przed ohydny dotknięciem  
Szatana — broń mnie, moja Matko Przenajświętsza, stoję w grzechu mym  
ukrzyżowana.

O Królowo — ma dusza zbłąkana w gwiazdach leci i upada ciem-  
na — tu jest czarna świątynia Szatana, rzeka płaczu wybucha podziemna.

O Królowo — krwawe biją dzwony — na ich dźwiękach duch umarły  
wzłata — śmierci Anioł taki upragniony, skrzydła złote nad mem sercem  
splata.

XIAŻĘ (*do Poety*).

Szatanie, zaprzysięgam Ci duszę moją, która jest nicością jak i Ty.  
Lecz mi daj złota, które jedno zdolne jest utworzyć zapomnienie.

Wiem, podepcesz moją tarcz herbową, zbrukasz mój grób obelgą  
i hańbą — vogue la galère!

(*wskazuje na korab, widma ładują mu wory ze złotem, on odpływa*).

HANNA.

O nie porzucaj mnie samej, upadam pod krzyżem.

(*Xiążę dziko się śmieje i znika*).

## HAPUN.

Czyście ucałowali już wszyscy mój czarny kopyt? *Ite concepta est.*

*(W piekielnym podziemnym ogniu widać ślepią Lilith, której dolna szczeka złota, nad nią spróchniała, okrwawiona, z wystającymi kłami).*

## LILITH-STRYGA

Wyrwałam lasy —  
husz, husz —  
niema lasów — nie będzie Litwy —  
husz — husz!

## KRZYK POETY

Zaprzysięgam moją duszę Bogu.

## UPIORY.

To głos orła w niebiosach. Strąca gwiazdy, lecą — oh, palą nas —  
przebijają jak rozpalony ołów.

*(Stryga Lilith ryczy, jakby ktoś piłą krajał mury kamiennej piwnicy, ochryple pianie bazylijszków, syki gadów i rechot żabców. Poeta wnosi omdlałą Hannę do wnętrza dębu świętego).*

## XIĄDZ.

Budzę się od jęku — czy to straszny sąd? ślepią upiorów, a na  
mej piersi ryngraf Iszkarjoty. Zdradziłem niebo.

*(kłęka bezsilnie, pod jego kolanami głucho zajęczał dzwon. Rabin porywa się z rozkopanej mogiły, Lilith — jego córka — powstaje, na nią rzucają się demony i szarpia).*

## RABIN.

Ja tobie, Lilith? ja Tobie przebiłem pierś tą wilczą kością?

## LILITH.

Szatany nas przygnietli, ojcz.

## RABIN.

Dziecko moje biorą i gwoździe wbijają jej w nozdrza — i za nogi  
wzięli i ją rozdarli. O szatany, o Hapunie — także nagroda?

*(mocuje się z widmami).*

## GŁOS W NIEBIOSACH.

„Jam jest gwiazda zaranna — kto pragnie — niech bierze wodę żywota darmo“\*).

*Łańcuchy zbirów oplątały Poetę — Wita bodzie strzałami jego pierś. On przybity do drzewa — nie czuje ran mówiących krwawymi językami).*

## UPIORY.

Anathema, anathema! prowadź nas — morduj nas — my będziemy pili krew — i na ziemnym grobie wzniesiem straszny nierozświetlny — gdzie już słońca niema — krzyżów las.

*(W kręgu światła stoi skrwawiony Poeta i Hanna, klęcząca w kaplicy dębu tysiącletniego —*

*i Lilith poszarpana przez wampiry. Rabin oślepiiony próbuje wejść w zasłony światel — w mrocznej głębi widać Strygę Lilith o potwornych niejasnych kształtach i zwieszane głowami w dół bazyliszki. Przeciągły grzmot — i piorun uderza w dąb — demony jak nawałna chmura gaszą krąg jasności — błyska surowa twarz Matki Boskiej, przeszyta dwoma cięciami szabl — i świeci sama w wyjąłym mroku rozpiętych widm).*

Tadeusz Miciński.



\*) Apocalipsa.

## Sonety.

Poeta.

W chwili, gdy siebie samego ujrzeć chciał geniusz natury,  
Ciebie wydał, poeto — od niego wywodzisz swój ród.  
W sercu twem zamknął żywioły; twej myśli potężny dał rzut,  
Więszym cię czyniąc władyką, niż ci, których zdobią purpury.

Wiecznie ten sam, choć odmienny, jak obłok rzucony w lazury,  
Błędne ścigasz gwiazdzice, i wiesz, że daremny to trud.  
Znów, niby leśne źródliska, napój rzeźwiący i chłód  
Wiecznym dajesz wędrowcom, co znają otchłanie i góry.

W głąb, jako morze bogatą, — we własną duszę wpatrzony,  
Nurkiem jesteś i falą. Taki już cudny twój los.  
Połów swój ludziom oddajesz, nie bacząc, co z nim uczynią.

W złoto li perlę oprawia, porzuca li skarb nieceniony, —  
Wielki bogaczu! ty wiesz, że zawsze jest pełen twój trzos;  
Wiesz, że rozrzutne twe serce jest Boga odwieczną świątynią.

---

## Jesień.

Złoczone w słońcu grusze, śliwki bursztynowe  
Lato nam promieniste, odchodząc, przynosi.  
Pierś purpurą, a wrzosem przystroiwszy głowę,  
Jesień u wrót stanęła; o gościnę prosi.

Choć na łagodnem czole smętku gwiazdę nosi,  
Choć z ust jej tajemniczych słyhać śmierci mowę  
I tchnienie, którem kwiaty zatrwożone kosi,  
Z sercem pogodnem piękną przyjmijmy królowę.

Wszystko ma równą kolej: smutek i wesele,  
Rozgłośnie życia tętno i ciche konanie;  
Zwróci się czasu koło i znowu w popiele

Ognisk wygasłych iskry wznowione zaświecą.  
Tak nad nami: raz mroczny cierpień anioł stanie,  
To znowu szczęścia ptaki, igrając, przelecą.—

Pani Maryi Bukowińskiej.

---



## Prośba.

Gdy przyjdzie bólu czas; gdy nielitośny  
Los między nami ciężką dłoń położy;  
Gdy o porannej, o wieczornej zorzy  
Dzień twój jednakże stanie się nieznośny —

Nie płacz, bo żal tu nic nie może głośny,  
Niech pamięć skrzydła nad tobą otworzy;  
Niech serce czuwa i niech skarb swój mnoży  
Samotnie, jak duch o świat swój zazdrośny.

Mnie chwyta wichur przeznaczeń w ramiona  
I wiem: nie znaleźć zacisza mej głowie.  
Nieznany dom mój i nieznana strona.

Bóg mnie, jak głównię rzucił w ludzkie mrowie,  
Więc mnie okropniej szarpia życia kleszcze.  
Gdy przyjdzie bólu czas, miłuj mnie jeszcze. —

---

## Marzenie.

Wiem, żeś daleko; przecież mi się zdaje,  
Że jesteś ze mną tu, wśród obcych ludzi.  
Nieraz mnie szept twój z zamyślenia budzi  
I cicha postać przed oczyma staje.

Czasem sosnowe marzą mi się gaje  
I szum echowy czujne ucho ludzi.  
Tam my. Wiatr lekki czoła nasze studzi;  
Ja tobie, marząc, bajkę dziwną baję.

A jest w tej bajce jeden wyraz taki,  
Na który nieszczęść uciekają ptaki.  
Więc, jako człowiek, co z duchami gada,

Słowo zakłęcia wymawiam i bladnę,  
I śnię, że drogi cień twój przy mnie siada,  
I że na piersi twoje głowę kładnę.

*Maryan Zbrowski.*

## Witraże fantastyczne.

### Cisza słońca.

Słońce jak pająk snuje złote pnącze  
i łąk kwiecistych świetlne malachity  
bramuje niemi, —  
Czasem się w nich splącze motyl tęczolity  
i na kwietnym kielichu wesprze skrzydła ręce,  
a wargi drżącemi  
wypije słodycz z bezwładnego łona  
kwiatu, co w więzach złotych pnączyw kona.

I Ty w tej Ciszy Słońca —  
w niemej ekstazie z sił obezwładniona,  
sama zarzucisz mi białe ramiona  
i uciech żądać będziesz bez końca —  
w ekstazie niemej żądzą oślepiona —  
Rankiem tak dumna, a już uległa  
w Południe Słońca.

---

## Jezioro czarów.

Grzywami zatrząśł w północ bór,  
aż na srebrzyste wód zwierciadło  
jeziora sennej toni  
skrzydlate stado spadło  
zielono-złotych piór —  
mgieł białych pierzchła legia w tan —  
po jeziorowej tafli szklanej  
upiorny pędzi Lewiatan,  
przez nimfy wodne opętany —  
Król-potwór znikł —  
rozbił, a tafla zwierciadlana,  
w wód drżących łuskach srebrem lśni, —  
a postać straszna Lewiatana  
na dnie jeziora w czarach śni.  
To Twe oczy dziwnej barwy,  
w dyamentu iskrach drżące,  
czarów pełne w dzień i w noc —  
to mistyczne larwy szklące,  
w złą zaklęte Elfów moc —

---

## Powiew wiatru.

Huf Elfów o szarym zmierzchu strąca  
w odległej, pustej alei,  
z akacyi wonnych drzew  
różowych kwiatów wiew  
na szmaragdowe darni kobierce,  
a blado lśniące warkocze miesiąca,  
Jak srebrne węże, pieszczą się w zawiei,  
kwiatów różowych, które strąca  
Elfów złoźadne serce.

I Ty odepchniesz me silne ramiona,  
kiedy się sprzykrzy cisza upojeń,  
i nawet w małej czuć iskierce  
nic nie zostawisz z dawnych rojeń—  
zazdrością dumną rozżalona,  
że mi na chwilę oddałaś serce.

---

## Czar miesiąca.

Niewyczerpane źródło srebrnej jaśni  
zlewa tęsknotą rozśpiewane fale  
w pełne zadumy bezprzestrzenne dale  
mroków wieczornych obumarłej toni, —  
na łóżach z kwiatów w upojnej woni  
uśpiona leży mgła zwiewna,  
niby w prastarej gęślarza baśni  
zaczarowana królewna.

I Ty w bezsennych nocy zadumie,  
pustej zabawie marzeń oddana  
o fantastycznych postaci tłumie,  
oczy swe pieścisz w miesięcznej jaśni,  
jakgdybyś w blaskach jej widziała  
rycerzów zbrojnych mistycznej baśni —  
aż cię różowy uśpi świt rana.

*Bolesław Janusz Koltoński.*

---

# Iozella

sztuka w pięciu aktach.

OSOBY:

MERLIN.

LANCEOR syn Merlina.

IOZELLA.

ARYELLA, geniusz Merlina, niewidzialny dla innych osób, działających w sztuce.

(Rzecz dzieje się na wyspie Merlina).

## AKT PIERWSZY.

(Scena przedstawia galeryę w pałacu Merlina).

### SCENA I-sza.

**Merlin — Aryella.**

(Merlin stoi obok Aryelli uśpiony na marmurowych schodach — godzina nocna).

**Merlin.**

Śpisz, Aryello moja, siło ty moja wewnętrzna, potęgo drzemiąca w każdej duszy, którą ja jeden dotąd ze snu obudzić zdołałem. Śpisz, czarodziejko moja posłuszna i swojska, a włosy twoje rozwiane, jak mgła niebieska, niewidzialne ludzkim oczom, zlewają się z blaskami miesiąca, z wo-

niami nocnymi, z promieniami gwiazd, z płatkami osypującej się róży, i z falami lazuru, jak gdybyś przypomnié nam chciała, że złączeni jesteśmy niewidzialną spójnią ze wszystkim, co istnieje, i że myśl nasza nie wie, gdzie poczyna się światło, w którym ufność pokłada, ani gdzie ostateczne granice ciemności, której ujść pragnie. Usnęłaś głęboko. Ja zaś w ciągu snu twego utracam wszelką wiedzę, i staję się podobnym niewidomym braciom moim, którzy nie wiedzą jeszcze, że ile serc bijących na ziemi, tyle się na niej mieści bóstw tajemniczych i potężnych.

Niestety! Oni mniemają, że jestem złym geniuszem, którego unikać należy, uważają mnie za szkodliwego czarownika, zaprzyjaźnionego z wrogami im potęgami... Nie wiedzą, że na świecie niema wrogich im potęg, że są to raczej poddani bez króla, których ujarzmić należy.

Oni mniemają, że moc tajemna, której uległy są gwiazdy i rośliny, kamienie, ogień i woda, i której przyszłość nawet odsłania w kilku błyskach niektóre rysy swoje, że owa moc nowa a jednak tak ludzka, którą posiadałem, ukryta jest w jadowitych napojach, słowach zaklętych, piekielnych ziołach i czarodziejskich gusłach. Nie wiedzą, że moc ta spoczywa we mnie podobnie jak w nich, że ty nią jesteś, wiotka Aryello moja, którą w sobie odnalazłem. Udało mi się zrobić parę śmielszych kroków wśród otaczającej mnie ciemności, uczyniłem cokolwiek wcześniej to, co inni uczynić muszą kiedyś, bo im również wszystko ulegać będzie z chwilą, gdy uda się im powołać do życia wolę twoją, jakem ja to uczynił. Dziś jednak próżnobym im powiadał, że siedzisz tu uśpiona, próżnobym ukazywał im twój wdzięk olśniewający — nie dojrzeli by cię.

Bo każdy z nich odkryć cię musi w sobie, jak ja cię odkryłem, otworzyć musi sam mogiłę życia własnego, jak-em ja to uczynił, i wywołać cię stamtąd i zbudzić, jak ja cię budzę w tej chwili.

(budzi ją pocałunkiem).

**Aryella** (budząc się).

Panie!

**Merlin.**

Aryello! Oto nadeszła godzina, w której miłość czuwać powinna; niejednokrotnie też w tych dniach sen twój zakłócać będę.

**Aryella.**

Sen mój trwał tak długo, że i dziś łatwo weń jeszcze zapadam, za każdym jednak obudzeniem się, nakazanem mi przez myśl twoją, czuję się coraz silniejszą, i coraz szczęśliwszą.



**Merlin.**

Gdzie wiesz syna mego? I kiedy go zobaczę?

**Aryella.**

Ścigałam go wzrokiem w uważnym śnie moim... Mniema, że zabłądził... Tymczasem przeznaczenie prowadzi go w miejsce, gdzie oczekuje nań szczęście.

**Merlin.**

Czy pozna mnie? Tyle już lat żyjemy zdala od siebie, posłuszni nakazanej próbie; i tak mi dziś pilno uściskać go, jak niegdyś, gdy był dzieckiem.

**Aryella.**

Nie — tego ci nie wolno — los musi sam rozstrzygnąć, a miłość ojca, o którego istnieniu nie wie, nie może nic zmienić w nakazanej próbie.

**Merlin.**

Odkąd jednak Iozella jest tutaj, odkąd on śpieszy ku niej, przyszłość rozjaśniać się musi. Czy przenikasz ją wyraźniej?

**Aryella** (patrzy w noc i w morze z rodzajem ekstazy).

Czytam w niej to tylko, co i w pierwszych godzinach. Przeznaczenie syna twojego wypisanem jest w obrębie koła miłości.

Jeśli pokocha, jeśli kochanym będzie miłością cudotwórczą, która zresztą powinny być udziałem wszystkich ludzi, mimo że jest dziś tak rzadką, iż zdaje się im być zjawiskiem olśniewającym i niemal szalonym.

Jeśli pokocha, jeśli kochanym będzie miłością naiwną, a jednak przenikliwą i jasnowidzącą, miłością prostą i czystą, jak woda górskich potoków, a potężną jak rwące ich fale, miłością bohaterską, a słodsza i miększą od kwiatu, miłością, co bierze wszystko a daje więcej niż bierze, miłością, co nie cofa się przed niczem i niczem się nie zraża, nie myli się nigdy i niczem onieśmielić się nie da, która nie słyszy i nie widzi przed sobą nic po za obrębem tajemniczego szczęścia, co niewidzialne dla innych widnieje dla niej po przez wszystkie próby i doświadczenia; — szczęścia, do którego dąży z uśmiechem na ustach, gotowa posunąć się aż do zbrodni, aby je tylko zdobyć.

Jeśli Lanceor otrzyma taką miłość, która gdzieś istnieje i czeka na niego, w sercu na poły mi tylko znanem — wówczas życie jego piękniejszym będzie, dłuższem, i szczęśliwszem od życia wszystkich ludzi. Jeśli jednak

miłości owej nie spotka przed końcem tego miesiąca, gdyż tu zamyka się koło jego przeznaczeń. Jeśli płomień nie dosięgnie płomienia, a przyciemni go jakaś wątpliwość, lub żal jaki przysłoni — wówczas śmierć zwycięży; a syn twój zgubionym będzie.

**Merlin.**

Zapewne. Godzina miłości ważną jest dla każdego człowieka, ale...

**Aryella.**

Dla Lanceora godzina ta bezlitośna będzie i bezwzględna. W godzinie tej stanąwszy u szczytu dotknie on po omacku mogiły i szczęścia, a los jego dalszy zależnym będzie od jednego kroku, jaki uczyni, od jednego gestu dziewczycy, co śpieszy na jego spotkanie.

**Merlin.**

A jeśli Iozella nie jest tą, którą mu los przeznaczył?

**Aryella.**

Niewiem. Lękam się jednak, że los nie nastęrczy już nam innej sposobności dla dokonania zamierzonej próby. W ogóle jednak nie należy nigdy tracić odwagi w obec przyszłości.

**Merlin.**

Po co wszakże rozpoczynać próbę, której wynik jest tak niepewny?

**Aryella.**

Bo jeśli my jej nie rozpoczniemy, sam los nastęrczy ją Lanceorowi, tylko że wówczas przebieg jej zdany będzie na wolę wypadku, podczas gdy dziś my nim pokierować możemy.

**Merlin.**

A jeśli on pokocha Iozellę, ona zaś nie da mu takiej miłości, jakiej wymaga przeznaczenie?

**Aryella.**

Wówczas wolno nam będzie wystąpić otwarcie.

**Merlin.**

Jakim sposobem?

**Aryella.**

Nie wiem, szukam go dopiero.

**Merlin.**

Aryello! proszę cię. Ponieważ idzie tu o los istoty droższej mi nad siebie — ponieważ mam tylko jednego syna, który może stać się tem, czem ja już być nie zdołam, — czy nie moglibyśmy uczynić ku przyszłości niesłychanego jakiegoś niemal rozpaczego wysiłku, któryby, zgwałciwszy czas i lata, wydrzeć im mógł, choćby się to na nas pomścić miało, ową tajemnicę tak ściśle ukrywaną, w której zawiera się dla nas więcej, niż szczęście i życie.

**Aryella.**

O nie! Próżno wyteżam się, by sięgnąć wzrokiem dalej. Przyszłość to świat ograniczony przez nas samych, dla tego wyczytać w nich możemy jedynie to, co nas samych dotyczy, a niekiedy tylko, i przypadkiem udaje się nam odkryć coś, co ma związek z tymi, których najbardziej kochamy. Widzę jasno drogę życia Lanceora, ale tylko do chwili, w której przecina ona drogę Iozelli. Około Iozelli zaś lata przyćmione są jakby świetlnym welonem, zasłoną błyszczącą, która jednak zakrywa przedemną przyszłość równie głęboko jak najciemniejsza opona. Zasłona owa przegradza ich życie — potem zaś daleko po za nią dostrzegam znów mogiłę i szczęście, stojące naprzeciw siebie nakształt dwóch gości, równych sobie, obojętnych, nieprzeniknionych. I sama nie umiem powiedzieć, które z nich bliższem jest i bardziej nieodzownem, i odgadnąć nie mogę, czy Iozella jest w istocie ową przeznaczoną... Wszystko zdaje się zapowiadać, że to ona, nic jednak nie stwierdza tego na pewno. Oblicze jej zwrócone jest ku nadchodzącym latom z takim natężeniem, że próżno przyzywam ją całą potęgą, jaką rozporządzam, nie odpowiada mi, nie odwraca się ku mnie, nie mogę nawet dostrzedz jej rysów, które zaledwie odgaduję. Jedno tylko zapowiada się wyraźnie, to, że przetrwać ona musi okrutne i ciężkie próby, po których dopiero poznać ją zdołamy.

**Merlin.**

I my zatem musimy od dziś poddać się nieznanym potęgom, i podobnie jak zwykli ludzie śledzić tylko bieg wypadków, oczekiwać ich odpowiedzi, usiłując pokonać w nich to, co mogłoby przynieść nieszczęście naszym ukochanym.

**Aryella.**

Oto właśnie oni nadchodzą w świtanii wschodzącej jutrzeńki. Usuńmy się, i zostawmy przeznaczeniu, które działać poczyna, konieczną w takiej chwili samotność i milczenie.

(Merlin i Aryella wychodzą, po chwili z dwóch przeciwnych stron nadchodzą ku sobie Lanceor i Iozella, podczas gdy jasność poranku rozbłyska i wzrasta z każdą chwilą).

## SCENA DRUGA.

Iozella – Lanceor.

**Iozella** (zatrzymuje się zdziwiona, dostrzegłszy Lanceora).

Kogo szukasz?

**Lanceor.**

Sam nie wiem, gdzie jestem... Szukałem przytułku... Któż pani jesteś?

**Iozella.**

Nazywam się Iozella.

**Lanceor.**

Iozella!... Mówię to imię, a dźwięk jego pieści mię jak skrzydeł muśnięcie, lub kwiatu odetchnienie, jak światła promień lub powiew radości... Imię to maluje ciebie całą śpiewami w sercu, i na ustach rozbłyska.

**Iozella.**

A któż ty jesteś?

**Lanceor.**

Nie wiem. Nie wiem już sam, kim jestem. Dni kilka temu nazywałem się Lanceor, wiedziałem o sobie, i znałem się. Dziś szukam siebie na próżno, po omacku, wśród ciemności i mgły, która mię otacza, pośród miraży i zjawisk.

**Iozella.**

Co za mgła? jakie zjawiska? Kiedy przybyłeś na tę wyspę.

**Lanceor.**

Wczoraj.

**Iozella.**

To dziwne, że nikt mi o tem nie powiedział.

**Lanceor.**

Nikt mnie nie widział. Błądziłem po wybrzeżu i byłem zrozpaczony.

**Iozella.**

O! dlaczego?

**Lanceor.**

Przebywałem daleko stąd, gdym naraz otrzymał wiadomość, że ojciec mój stary umiera. Wsiadam więc na statek, płyniemy długo, długo, aż w pierwszym porcie, do któregośmy zawinęli, dowiaduję się, że ojciec mój nie żyje. Mimo to płynę dalej, aby przynajmniej ostatnią podjąć po nim pamiątkę, i spełnić ostatnią jego wolę.

**Iozella.**

Dlaczego więc tu jesteś?

**Lanceor.**

Sam nie wiem, dlaczego, ani jak. Morze było bardzo spokojne, niebo bardzo czyste, w koło nas woda drzemiąca w lazurach. Naraz bez widocznej przyczyny wielkie niebieskie opary pokryły falę, a podnosząc się jak zasłona z gazy, czepiały się naszych rąk, twarzy, żagli i lin okrętowych. Potem wicher dąć zaczął, kotwica złamała się, okręt ślepy płynął przed siebie, party prądem, który go w drżenie wprawiał, aż wreszcie jednego wieczora znalazł się w nieznanym porcie nieprzewidzianej tej wyspy. Smutny i zniechęcony wysiadłem na brzeg, i usnąłem, w zgrozie patrzący na morze. Gdym się zbudził, mgła już opadła i ujrziałem statek nasz, niknący w dali nakształt skrzydła świetlnego, na horyzoncie fal.

**Iozella.**

Cóż się stało?

**Lanceor.**

Nie wiem. Chciałem podążyć za okrętem, ale w porcie nie było żadnej łodzi, zmuszony więc jestem czekać tu na przybycie nowego statku.

**Iozella.**

To ciekawe, to samo było ze mną.

**Lanceor.**

Z tobą, Pani.

Iozella.

Mnie także gęsta mgła przywiodła na tę wyspę, tylko przedtem uległam rozbiciu.

Lanceor.

Kiedy? i jak? skąd przybywasz Iozello?

Iozella.

Przybywam z drugiej wyspy.

Lanceor.

Dokąd płynęłaś?

Iozella.

Tam, gdzie ktoś na mnie czekał.

Lanceor.

Kto?

Iozella.

Ten, którego mi przeznaczono.

Lanceor.

Kochasz go?

Iozella.

Nie.

Lanceor.

Ależ więc...

Iozella.

Moja matka tego chciała.

Lanceor.

Będziesz jej posłuszną?

Iozella.

Nie.

Lanceor.

Ach! to dobrze, to lubię! I dla mnie także wybrał ojciec mój w wigilię śmierci narzeczoną. Miał swoje powody, bardzo poważne, bardzo głębokie, tak mi się przynajmniej zdaje, a że go już niema na ziemi, muszę być posłusznym.

Iozella.

Dlaczego?

Lanceor.

Nie wolno nam uchylać się od posłuszeństwa woli zmarłych.

Iozella.

Dlaczego?

Lanceor.

Bo wola ta zmienić się już nie może. Trzeba mieć litość, trzeba ją uszanować.

Iozella.

Nie.

Lanceor.

Ty byś nie usłuchała?

Iozella.

Nie.

Lanceor.

Iozello! to okropne.

Iozella.

To zmarli są okropni, żądając od nas, byśmy kochali tych, których nie kochamy.

Lanceor.

Iozello, ja się ciebie boję.

Iozella.

Powiedziałam. Cóż ja powiedziałam? Być może, zbyt pośpiesznie.

Lanceor.

Iozello, oczy twoje łzami zachodzą na wspomnienie zmarłych, i przeczą słowom twoim.

Iozella.

Nie... to nie to. Być może, powiedziałam zbyt ostro, a jednak wiem, że to zmarli nie mają słuszności.

Lanceor.

Nie mówmy już o zmarłych, opowiedz mi raczej, w jaki sposób okręt wasz uległ rozbiciu.

Iozella.

Obłąkała nas mgła gęsta, tak gęsta, że można ją było brać w ręce, jak kłębki białego puchu. Sternik nasz omylił się, wydało mu się, że dostrzega latarnię morską, potem okręt nasz załamał się na skałach podwodnych, nikt jednak nie zginął a fale uniosły mnie. Jakiś czas migąła mi przed oczyma woda niebieska i miałam uczucie, jak gdybym spadała wciąż na dół wśród tłoczących mnie płynnych obłoków; naraz ktoś ujął mnie w ramiona i straciłam przytomność.

Lanceor.

Kto cię uratował?

Iozella.

Władca tej wyspy.

Lanceor.

Któż to był?

Iozella.

Starzec, błądzący jak cień niespokojny, wśród marmurowych ścian tego pałacu.

Lanceor.

O, czemuż mnie tam nie było!

Iozella.

Cóż byś uczynił?

Lanceor.

Uratowałbym cię.

Iozella.

Czyż nie jestem i tak uratowaną?

Lanceor.

To nie to! Nie zaznałabyś ani chwili trwogi, unosiłbym cię nad powierzchnią fal, ach! nie wiem już jak! Byłabyś mi jak czara kosztowna, napełniona po brzegi drogocennymi perłami, z którychbym ani jednej nie uрониł, jak kwiat jutrzniany, z którego płatków nie straciłbym ni jednej



kropki porannej rosy. Gdy pomyślę, jakie przeszedłeś niebezpieczeństwa, ty, tak piękna i wątła. Okrutne skały podwodne, potem ten starzec i ty w jego objęciach. To piękne, co on uczynił; pokonał niepodobieństwo, ale to jeszcze nie dosyć. W jaki sposób dostałaś się na brzeg?

**Iozella.**

Zbudziłam się na piasku nadmorskim. Starzec stał nademną i kazał mnie zanieść do swego pałacu.

**Lanceor.**

Czy jest królem tej wyspy?

**Iozella.**

Wyspa ta jest prawie bezludną nie widziałam nikogo na niej, prócz kilku sług snujących się w milczeniu. Poddanymi jego są chyba drzewa, kwiaty, i szczęśliwe ptaki, których nie brak na tej wyspie.

**Lanceor.**

To, co uczynił, dobrem jest.

**Iozella.**

On jest dobry i ludzki, przygarnął mię jak ojciec, a jednak nie lubię go.

**Lanceor.**

Dlaczego?

**Iozella.**

Zdaje mi się, że on mnie kocha.

**Lanceor.**

Co? On by śmiał? Czyżby lata nie miały już wagi, jaką mieć powinny? czyżby rozum odbiegał nas przed śmiercią?

**Iozella.**

A jednak obawiam się, że tak jest. On bywa taki dziwny i smutny, nieraz mi to dawał do zrozumienia. Ma gdzieś daleko syna, o którego się lęka i który może zginąć; gdy mówi o nim, twarz mu się rozpromienia. Ale otóż i on.

(wchodzi Merlin).

## SCENA TRZECIA.

Lanceor – Iozella – Merlin.

**Merlin.**

Szukałem cię, Iozello.

(zwraca się do Lanceora, przybierając groźną postawę).

Co do ciebie, wiem już kim jesteś, znam przyczyny, które przywiodły cię na tę wyspę, wiem, że udajesz rozbitka, i jaki cię wróg przysyła.

**Lanceor.**

Mnie? Ależ jedynie wypadek sprowadził mnie tutaj.

**Merlin.**

Nie traćmy słów na próżno.

**Iozella.**

Cóż on uczynił?

**Merlin.**

Niestety, uczynić chciał, co człowiek pomyśleć może najnikczemniejszego. Chciał zdradzić przyjaźń, oszukać dobroć, i wydać w ręce wroga zbyt łatwowiernego gospodarza, który go miał przygarnąć.

**Iozella.**

Nie!

**Merlin.**

Dlaczego nie? Znasz go więc?

**Iozella.**

Tak.

**Merlin.**

Od kiedy?

**Iozella.**

Odkąd go ujrzałam.

**Merlin.**

A kiedyż ujrzałaś go?

**Iozella.**

Od chwili, gdy wszedł do tej sali.

**Merlin.**

To niewiele.

**Iozella.**

To dosyć.

**Merlin.**

Nie, Iozello. I przekonasz się wkrótce, że szczerze wejrzenie, uśmiech niewinny, i słowa, pozorną nacechowane prostotą, zgubniejsze nieraz kryją zamysły, niż zabiegi niewdzięcznej starości, lub miłość, słabą tylko żywica nadzieję.

**Iozella.**

Cóż zamierzasz uczynić?

**Merlin.**

Czekam tylko zebrania ostatnich dowodów, potem zaś uczynię wszystko dla ubezwładnienia wroga, któryby się przed niczem nie cofnął. Zresztą bezwzględne środki, jakie przeciw niemu zastosuję, potrzebne są i dla twego bezpieczeństwa, Iozello, gdyż jedna intryga osnuwa nas oboje, i los nasz ze sobą jednoczy. Dziś nie mogę ci powiedzieć nic więcej. Miej ufność we mnie, a może już i sama uczuwasz, że szczęście twoje jest mojem.

**Iozella.**

Ocaliłeś mi życie, i mam to w pamięci.

**Merlin.**

W pamięci tej niemasz ani śladu słodyczy, ufam jednak, że kiedyś oddasz mi sprawiedliwość.

(Do Lanceora).

Ty zaś odejdz. Otrzymałem ostrzeżenie, o którego prawdzie wątpić nie mogę; — gdy, jak się lękam, potwierdzą je fakta, wówczas działać zaczę, do tego czasu zaś zostaniesz moim jeńcem. Wskażą ci część pałacu, w której ci przebywać wolno, gdybyś zaś odważył się przekroczyć dozwolone ci granice, tem samem wydasz na siebie wyrok *nieodwołalny*. Odejdz! rozkazy już są wydane.

**Lanceor.**

Posłusznym ci będę, Panie, dopóki sam się nie przekonasz, żeś jest w błędzie. Iozello! do widzenia wkrótce!

**Merlin.**

O nie! Pożegnaj ją na zawsze, gdyż prawdopodobnie nie ujrzycie się już więcej.

(Do Iozelli).

Iozello! Jeśli cię los raz jeszcze zetknie z tym człowiekiem, uciekaj od niego natychmiast, gdyż twoje i jego życie zależy od tej ucieczki. Jeśli dowiem się, żeście z sobą przebywali, zgubieni będziecie nieodwołalnie.

(Do Lanceora).

Przyrzekasz mi unikać jej?

**Lanceor.**

Tak. Jeśli chodzi o jej życie.

**Merlin.**

A ty, Iozello?

**Iozella.**

Nie!

(Zasłona spada).

## AKT DRUGI.

(Scena przedstawia dziki, zapuszczony ogród, pełen zielska, cierni i chwastów; na prawo wysoki posepny mur, w środku zakratowana furta).

(Iozella, potem Lanceor)

### SCENA I.

(Iozella, potem Lanceor)

**Iozella** (wchodząc).

Oto dziki ogród, którego nikt nie odwiedza. Omija go nawet słońce. Tu biedne dzikie kwiaty, prześladowane za brak urody, cicho na śmierć czekają, a ptaszęta milkną spłoszone.

(przypatruje się kwiatom). Oto fijołek, pozbawiony woni, złoty jaskier, taki nikły i drżący, polny mak, osypujący się za dotknięciem, i spragniona wody skabioza.

Oto jadowity ostromlec ukrywa w trawie zielone swe kwiatuszki, a blado-niebieska kampanula chwieje w milczeniu nieużytecznymi dzwonkami. Poznają was, wy wszystkie biedne, wzgardzone, pokorne, takie dobre, i takie brzydkie. A jednak mogłybyście stać się piękne, i nie wiele wam do tego brakuje, prawie nic... Błysk szczęścia, minuta łaski, śmielszy uśmiech przyzywającej pszczoły. Ale cóż! niczyje was oko nie widzi, nie siała ręka niczyja, niczyja też zbierać was nie będzie. Przybyłam tu, pragnąc być równie jak wy samotna. Jak tu smutno! jak posepnie. Wszędzie suche trawy i zioła, chorowite liście i konające drzewa. Wiosna nawet i rosa poranna lękają się smutku, panującego w tej samotni.

(Lanceor ukazuje się po za kratą furty).

**Lanceor.**

Iozella!

**Iozella** (odwracając się nagle).

Lanceor!

**Lanceor.**

Iozello!

**Iozella.**

Odejdź stąd! odejdź! Strzeż się! on cię zobaczy, a to śmierć.

**Lanceor.**

Nie zobaczy mnie—poszedł daleko stąd.

**Iozella.**

Gdzie jest?

**Lanceor.**

Na przeciwnym krańcu wyspy, pod lasem niebieskim, zamykającym widnokrąg, śledziłem go z wysokości wieży, na której mnie uwięził, i widziałem, jak odszedł.

**Iozella.**

Ale może powrócić lada chwila, albo też ktoś go ostrzeże, odejdź stąd, proszę, odejdź, tu chodzi o życie twoje.

**Lanceor.**

W pałacu niema nikogo. Przebiegłem wszystkie sale, ogrody, dziedzińce, długie strzyżone aleje i marmurowe schody...

**Iozella.**

Uchodź jednak, to musi być zasadzka, on pragnie twojej śmierci, ja wiem; sam mówił, domyśla się już, że cię kocham, i szuka tylko pozorów, aby cię zgubić... Uchodź! Już i tak za długo...

**Lanceor.**

Nie!

**Iozella.**

Jeśli ty nie odejdiesz, to ja stąd pójdę.

**Lanceor.**

Jeśli odejdiesz, Iozello, zostanę przy tej furcie aż do wieczora, do czasu jego powrotu... Znajdzie mnie na tym wzbronionym progu... Przekroczyłem dozwolone granice, nie usłuchałem go, chcę, żeby się o tem dowiedział, chcę, żeby mnie zobaczył.

**Iozella.**

Lanceorze! miej litość, proszę cię, Lanceorze!

Wystawiasz na zgubę szczęście nasze. Myśl zresztą tylko o sobie. Pójdę, gdzie zechcesz, jeśli odejdiesz od furty, zobaczymy się gdzieindziej później, kiedyś. Trzeba zyskać na czasie, trzeba się wystrzegać, trzeba się przysposobić. Patrz, oto ręce ku tobie wyciągam, cóż mam uczynić? co ci mam przyrzec?

**Lanceor.**

Otwórz furkę.

**Iozella.**

Nie! nie, nie mogę.

**Lanceor.**

Otwórz, Iozello! otwórz. Jeśli pragniesz, bym żył.

**Iozella.**

Dla czego tego żądasz?

**Lanceor.**

Bo chcę widzieć cię z bliska, chcę dotknąć rąk twoich, których jeszcze nie dotknąłem, chcę patrzeć na ciebie z bliska, jak przy pierwszym spotkaniu. Otwórz! lub też zgubię się dobrowolnie, nie odchodząc stąd.

**Iozella.**

Odejdiesz więc, gdy tylko...

**Lanceor.**

Przyrzekam ci, Iozello, odejdę z chwilą, gdy otworzysz, zanim hyży skowronek, zanim myśl lotna nadażyć tu zdoła, by śledzić splecione dłonie nasze... Błagam cię, Iozello, to nazbyt okrutnie. Stoję oto u furty jak zebzak ślepy. Dostrzegam zaledwo cień twój, migający pomiędzy liśćmi. Kraty te są obmierzłe, i kryją przedemną twarz twoją.

Iozello, jedno spojrzenie, którym bym mógł ogarnąć cię całą, a odejdę stąd jak złodziej, unoszący wielki skarb, który mu się z rąk przelewa i śladem po drodze znaczy... Nikt się nie dowie, a my będziemy szczęśliwi.

**Iozella.**

Lanceorze, to okropne! Dotąd nie znałam trwogi, a dziś oto drzę całą. Bo to może o twoje życie... a ono już mojem jest. Cóż to za jasność wznosi się przed nami, zagraża, zdradzić nas usiłuje?

**Lanceor.**

Ależ nie! To tylko słońce wschodzi za murem. Niewinne, dobre słońce majowe pragnie nas rozradować. Otwórz, proszę cię! otwórz zaraz, każda minuta zwłoki mnoży tylko niebezpieczeństwa, których się lękasz. Jedna chwila, jeden ruch ręki twojej, Iozello — a zaprawdę otworzysz mi bramy życia.

(Iozella obraca klucz w zamku,—Lanceor przekracza próg).

**Lanceor** (biorąc Iozellę w objęcia).

Iozello!

**Iozella.**

Oto jestem.

**Lanceor.**

Oto jednym pocałunkiem ogarniam oczy twoje, włosy, usta i ręce. Oto zdobywam w jednej chwili wszystkie dary miłości, których nigdy w całej pełni nie posiadałem. Zdziwione ręce moje nie wiedzą, jak je unieść zdołają, życie całe zawrzeć ich nie potrafi. Nie uchylaj mi czoła, nie uchylaj ust!

**Iozella.**

To nie dlatego, by cię unikać, owszem, aby zbliżyć się bardziej.

**Lanceor.**

Nie odwracaj głowy. Nie pozbawiaj mnie jednego cienia rzuconego przez rzęsy twoje, jednego błysku oczu. Pomnij, że nie godziny już, a minuty zagrażają naszemu szczęściu.

**Iozella.**

Szukałam twego uśmiechu.

**Lanceor.**

Twój spotkał mnie w pierwszym pocałunku, co przemknął między ustami naszymi, jednocząc losy nasze. Zdaje mi się dziś, że cię zawsze oglądał i zawsze trzymał w objęciach, że, stanąwszy na progu raj, czy nie na jawie to, com czynił dawniej, obejmując twój cień na ziemi.

**Iozella.**

Ciebie to ogarniałam uściskiem w sennych marzeniach moich.

**Lanceor.**

I nie miałem wątpliwości!

**Iozella.**

I nie doznawałam trwogi!



Lanceor.

I wszystko mi jest danem!

Iozella.

I wszystko mię uszczęśliwia!

Lanceor.

Oczy twe głębokie są i pełne ufności.

Iozella.

A twoje takie czyste i pewne.

Lanceor.

Jakże je rozpoznaję!

Iozella.

Jakże je odnajduję!

Lanceor.

Ręce twe spoczęły na moich ramionach, ruchem, na jaki zdawna czekałem, nie śmiejąc spłoszyć widzenia.

Iozella.

Ramię twoje oplotło moją szyję, jak niegdyś w snach moich.

Lanceor.

Tak niegdyś przymykały się powieki twoje pod wpływem tchnienia miłości.

Iozella.

Tak niegdyś zachodziły łzami otwierające się oczy twoje.

Lanceor.

Jeśli takim jest szczęście.

Iozella.

Nie ma nieszczęścia, któregoby miłość ujarzmić nie zdołała.

Lanceor.

Kochasz mnie?

Iozella.

Tak.

Lanceor.

Och! Jakżeś ty wyrzekła owo: Tak. Tak, aż do głębi serca,

aż do głębi myśli, aż do głębi duszy. Wiedziałem o niem może, ale mimo to należało koniecznie wypowiedzieć je na głos, inaczej nawet pocałunki nasze nie miały by wartości. Teraz już dość. Owo „tak“ nasyci życie moje, a wszystkie nienawiści ziemi zetrzeć go nie zdołają, trzydzieści lat rozpaczy wyczerpać go nie potrafił... Otom jest w światłości, a wiosna zalewa mnie. Patrę w niebo i w ogród ten, budzący się jakby ze snu.

Czy słyszysz drzewa, rozśpiewane ptasząt świergotem, powtarzające twój uśmiech, i twoje „tak“ cudotwórcze!

Czy widzisz promienie słońca, muskające pieszczotliwie włosy twoje nakształt dyamentów, igrających wśród płomieni! Czy widzisz kwiatów tyśiące, jak ku nam skłaniają kielichy, pragnąc odgadnąć z oczu naszych tajemnicę miłości, której dotąd nie znały!

**Iozella** (otwierając oczy).

Przed chwilą widziałam tu tylko biedne, zamarte kwiaty.

(Patrzy dokoła w osłupieniu, gdyż od chwili wejścia Lanceora ponury ogród przetrworzył się naraz w czarodziejski kwietny park; dzikie zioła i polne kwiaty wyrosły i rozwinęły się wspaniale, stosownie do swego gatunku. Nikły powój, ścielący się poprzednio na ziemi, podniósł się i owinał dokoła drzew, oplatając je, przeciwnie, pięknymi kielichami. Drzewa obsypane zostały niesłychanem bogactwem przepysznych dojrzałych owoców i zaludniły się rojem różnobarwnych ptasząt. Drobne białe dzwonki urosły w zielony barwny krzew, pokryty kwiatami większymi od lili. Błada skabioza wydłużyła łodygi, na których szczycie zakwitły pęki ciemno czerwonych kwiatów, wielkości słoneczników. Dokoła polatują motyle, brzęczą pszczoły i ptaki śpiewają, owoce opadają; strumienie światła zalewają ogród, który zda się rozciągać w nieskończoność. Na prawo widać marmurowy wodotrysk, na wpół zakryty żywopłotem z oleandrów i liliowych heliotropów).

**Lanceor.**

A teraz rosną tu same kwiaty, żyją, spływają, opadają na nas. Połyskują na gałęziach, obciążają drzewa, płaczą się u stóp naszych, cisną się, tłoczą, a otwierają olbrzymie kielichy jedne w drugich; olśniewają liście, oślepiają trawy, nie znam żadnego z nich, nie widziałem nigdy podobnych, tak upojonych wiosną, tak bezładnych, tak świetnymi przystrojonych barwami.

**Iozella.**

Gdzie jesteśmy?

**Lanceor.**

W ogrodzie, do którego przed chwilą broniłaś wstępu miłości mojej.

**Iozella.**

Cóż uczyniliśmy?

**Lanceor.**

Dałem ci pocałunek, jak się raz w życiu daje, ty zaś wyrzekłaś słowo, którego się nie powtarza.

**Iozella** (omdlewając).

Lanceorze! szalona jestem, lub oto śmierć dla nas nadchodzi.

**Lanceor** (podtrzymując ją).

Bledniesz, Iozello, a drogie ręce twoje zaciskają się koło moich, jak gdybyś drżała przed wrogiem tajemniczym.

**Iozella.**

Nie widziałeś-że?

**Lanceor.**

Czego?

**Iozella.**

Wpadliśmy w sidła, a kwiaty te zdradzają nas. Przed chwilą ptaki tu milczały, drzewa były zamarłe, a dokoła rosły dzikie zioła i chwasty. Poznają wszystkie, odnajdują imiona, przypominające tak niedawną ich nędzę. Oto jaskier obciążony złotymi tarczami, biedne dzwonki przetworzone w krzewy kwitnących lilij, skabioza osypuje płatkami włosy nasze, a te wielkie purpurowe kielichy, co wybiegły nad mur, jakby chciały obwieścić całemu światu obecność naszą tutaj, to skromny napastnik, niedawno jeszcze tak starannie kryjący się w cieniu. — Zda się, niebo spuściło na nas cały deszcz kwiatów. Nie patrz na nie! nie patrz! one nas zgubią. Wiem już teraz, wszystko rozumiem. Odchodząc, Merlin wyszeptał jakieś groźby. Wiem teraz, wiem! on umie robić czary — ostrzegano mnie, ale nie chciałam wierzyć, teraz nadeszła jego godzina. Ale zobaczy on, zobaczy, że i miłość zdoła także...

(słysząc dźwięk rogu).

**Lanceor.**

Słuchaj!

**Iozella.**

Słyszę tentent koni i granie rogów, to on powraca. Uchodź!

**Lanceor.**

A ty?

**Iozella.**

Mnie nic nie grozi, prócz jego wstrętnej miłości. Ale ty uchodź.

**Lanceor.**

Zostanę przy tobie, a gdyby gwałtowność jego....

**Iozella.**

Zgubisz tylko nas oboje. Ukryj się za tymi krzewami i nie pokazuj mi się, bez względu na to, co powie, co uczyni. O mnie się nie lękaj, sama potrafię się obronić. Ale ty uchodź. On już blisko. Słyszę głos jego.

(Lanceor kryje się za wysokim krzewem — furta w murze otwiera się — Merlin wchodzi).

## SCENA II.

*Merlin — Iozella — Lanceor zakryty.*

**Merlin.**

Iozello! On jest tutaj.

**Iozella.**

Nie.

**Merlin.**

Te kwiaty nie kłamią, one głoszą miłość. Im powierzyłem straż nad wami, i pozostały mi wierne. Nie jestem okrutnym. Umiem przebaczać. Możesz ocalić Lanceora, pokazując mi palcem krzew, po za którym stoi ukryty.

(Iozella milczy).

Nie patrz na mnie wzrokiem tak nienawistnym, obaczysz! pokochasz mnie kiedyś! Bo miłość miewa niekiedy takie zawite, wspaniałomyślne drogi. Czy mniemasz, że nie dotrzymam ci przyrzeczenia? czy mi nie wierzysz?

**Iozella.**

Nie.

**Merlin.**

Iozello. Nie uczyniłem nic takiego, coby usprawiedliwiało tak wielką nienawiść, i taką zniewagę. Skoro jednak sama tego żądasz, pozwalam działać losowi.

(słysząc bolesny krzyk od strony krzewu, za którym ukrył się był Lanceor).

**Iozella** (rzucając się w kierunku krzewu).

Lanceor!

**Lanceor.**

Iozello, jestem ranny! wąż mnie ukąsił.

**Iozella.**

To nie wąż... To jakieś okropne zwierzę... Preży się, godząc na ciebie, ale ja go depcę... pieni się jadem, ale ja go zabijam... Lanceorze, ty bledniesz... oprzyj się na mnie, nie lękaj się... Jestem silna, pokaż mi ranę twoją. Przemów do mnie...

**Merlin** (zbliża się i przypatruje ranie).

Rana ta jest śmiertelna, jad ten działa bardzo wolno i szczególnie wywiera skutki—nie rozpaczaj jednak—ja znam skuteczny lek.

**Iozella.**

Lanceor! Lanceor!—przemów co! mów do mnie!

**Merlin.**

Nie przemówi, on śpi głęboko; usuń się, Iozello, jeżeli nie chcesz by sen jego skończył się w mogile... Odejdź Iozello, nie będzie to zdrada, przeciwnie, śmierć od niego oddalisz.

**Iozella.**

Uczyni wpród znak, który mu życie przywróci.

**Merlin.**

(patrząc na nią poważnie).

Uczynię go Iozello.

(Iozella oddala się z wolna, odwracając się nieustannie, w końcu niknie na rozkazujący gest Merlina; ten klęka obok Lanceora, by opatrzeć jego ranę).

**Merlin.**

Nie lękaj się, synu mój, to dla twego szczęścia, i niech całe serce moje otworzy się w tym pierwszym pocałunku, który ci dać mogę.

(całuje go przeciągle—wchodzi Aryella).

## SCENA III.

*Merlin, Lanceor, Aryella.*

**Aryella.**

Panie, spieszmy się z przysposobieniem nowej zasadki.

**Merlin.**

Czy w nią wpadnie?

**Aryella.**

Człowiek zawsze wpada, gdy go tylko sam instynkt prowadzi; przysłońmy jego rozum, odmieńmy charakter a mieć będziemy widowisko, które nam uśmiech na usta wywoła.

**Merlin.**

Nie będę się uśmiechał. Widowisko to nazbyt smutne, patrzeć, jak piękna, szlachetna miłość, która przed chwilą jeszcze miała się za jedyną, z góry zesłaną, rozwiewa się tak przy pierwszej sposobności w objęciach widma.

**Aryella.**

Lanceor nie będzie wolnym, gdyż w ciągu tej godziny, wydany w moc instynktu, przestanie być sobą.

**Merlin.**

Powinien go pokonać.

**Aryella.**

Mówisz tak, boś mnie już ujarzmił, przypomnij sobie jednak czasy w których byłam ci mniej uległą.

**Merlin.**

Mniemasz, żeś jest bardzo uległą, ponieważ umiałem się pokonać.— Ale i w światłości, do której cię wznieść zdołałem, tkwi w tobie jeszcze coś ciemnego i okrutnego, co się nazbyt raduje widokiem słabości ludzkich.

**Aryella.**

Słabości ludzkie bywają często niezbędne wyższym celom życia.

**Merlin.**

Cóż nastąpi, jeśli nie ulegnie?

**Aryella.**

Ulegnie. To już napisane. Chodzi raczej o to, czy miłość Iozelli wyjdzie zwycięzko z tej próby.

**Merlin.**

Więc ty nie wiesz.

**Aryella.**

Nie wiem. Duch jej ma w sobie coś, co przekracza granice mojej sfery, coś, co zależnem jest od jakiegoś nieznanego mi pierwiastku, który w niej tylko dostrzegłam, a który zmienia przyszłość.

Usiłowałam zapanować nad nią, ale posłuszną mi jest tylko w drobnych rzeczach. Czas już nam jednak działać. Idź sam do Iozelli, mnie zostaw twego syna. Odejdź, by nie zmieniać kierunku wypadków. Ja syna twego obudzę, poczem odświeżę w nim i pogłębię upojenie, w którym go przed chwilą pogrążyłam, wreszcie stanę przed nim widoma, by zmylić jego pocałunki.

**Merlin** (na wpół z wymówką, na wpół z uśmiechem).

Aryello!

**Aryella.**

Odejdź, Panie, i pozwól mi działać. Wiesz przecie dobrze, że pocałunki, dawane biednej Aryelli, znikome są nakształt odbicia ptaszcęcego skrzydła, odzwierciedlonego w bieżącej wodzie.

(Merlin oddala się, Aryella idzie w stronę wodotrysku i, na wpół ukryta za różanym żywopłotem, rozchyła zwolna owijające ją dotąd zasłony, a usiadłszy na darniowej murawie, rozpuszcza długie swoje włosy. Lanceor budzi się, wstaje i postępuje zwolna, jakby po omacku).

**Lanceor.**

Gdzie to ja usnąłem? Jakiś jad wstąpił mi w serce... Nie jestem już sobą i czuję, jak rozum mój mąci się... Walczę z upojeniem i sam nie wiem, gdzie dążę.

(dostrzega Aryellę).

Cóż to za kobieta za różanym żywopłotem?

(zbliża się do żywopłotu i patrzy).

Jaka piękna! Jest na wpół obnażona, a stopa jej, zgięta jak kwiat roztropny, muska perlistą wodę, która się do niej uśmiecha, okalając ją błyszczącymi kroplami.

(zbliża się jeszcze bardziej).

Piękna jest! piękna jest, — muszę się jej przyjrzeć. Oto odwraca się, a pierś jej obnażona pod zasłoną z włosów dodaje jakby blasku zalewającym ją promieniom. Ona słucha... Ona słyszy... Rozszerzone jej źrenice zdają się badać róże... Dostrzegła mnie, kryje się, chce uchodzić...

(przechodzi po za żywopłot).

O nie! nie uciekaj odemnie, już za późno, jużem cię dostrzegł... Chcę znać imię czystego zjawiska, które oto pogrąża w noc wszystko, com dotąd ukochał.

(bierze Aryellę w objęcia).

Chcę wiedzieć, jaki to cień aż nazbyt wierny, jakie ustronie głębokie przechowywały dotąd i tały żywy cud, który trzymam w objęciach... Jakież to drzewa, jakie groty, jakie wieże i mury były w stanie odgradzać od świata, i zataić blask tego ciała, woń tego życia, płomień tych oczu. Gdzie ukrywałaś się dotąd ty, którą ślepy nawet odszukać by zdołał bez trudu wśród rojnego tłumu, snującego się w dnie świąteczne. O nie odpychaj mnie! bo nie namiętność to, ani też chwilowe upojenie wiedzie mnie ku tobie, to wieczysto trwałe olśnienie prawdziwej miłości. Otom u kolan twoich, które obejmuję z pokorą. Oddaję się tobie na wieczność! Twój jestem na zawsze, i nie pragnę już nic prócz jednego pocałunku ust twoich, aby zapomnieć o wszystkim i zamknąć pieczęcią przyszłość całą... Niech głowa twoja pochyli się ku mnie. Oto już skłania się, już zezwala... Przyzywam cię, znaku niezatarty.

(całuje ją gorąco, słyhać krzyk rozpaczony za krzewem).

Cóż to jest?

(Aryella wyrywa się z objęć Lanceora ucieka i niknie, wchodzi Iozella).

#### SCENA 4-ta.

Lanceor — Iozella.

Iozella (do głębi poruszona).

Lanceor!



Lanceor.

Skąd przybywasz, Iozello!

Iozella.

Widziałam i słyszałam wszystko.

Lanceor.

Cóż mogłaś widzieć? Spójrzij dokoła. Cóż tu jest do widzenia? Róże kwitną, woda fontanny drzemie, gołębie gruchają, nenufary rozchylają kielichy. Oto wszystko, co tu dostrzegam, nic innego i ty dojrzeć nie mogłaś.

Iozella.

Kochasz ją?

Lanceor.

Kogo?

Iozella.

Tę, co uszła stąd przed chwilą.

Lanceor.

Jakże ją mogę kochać? Nie widziałem jej nigdy. Ta kobieta siedziała tu, dostrzegłem ją przypadkiem. Wydała nagle okrzyk, podbiegłem więc ku niej. Zdało mi się, że się jej stopa osunęła, podtrzymałem ją więc. Ona zaś obdarzyła mnie nagle tym pocałunkiem, który słyszałaś.

Iozella.

I ty to mówisz?

Lanceor.

Tak, ja. Przyjrzyj mi się dokładnie. Przybliź się do mnie. Dotknij ręką, jeżeli wątpisz.

Iozella.

Próba była straszliwa; ale *to* — to już jest śmiertelne.

Lanceor.

Co?

Iozella.

Pierwszy raz widziałeś tę kobietę?

**Lanceor.**

Tak.

**Iozella.**

Nie wspomnę ci już zatem. Być może, nawet rozumiem. W każdym razie przebaczam ci.

**Lanceor.**

Niema tu nic do przebaczenia.

**Iozella.**

Coś wyrzekł?

**Lanceor.**

Rzekłem, że nie potrzebuję przebaczenia za winę, której nie popełniłem.

**Iozella.**

Nie popełniłeś? Nie widziałam-że tego, com widziała, nie słyszałam tego, com słyszała?

**Lanceor.**

Nie.

**Iozella.**

Lanceor!

**Lanceor.**

Lanceor! Lanceor! Choćbyś tak tysiąc lat wołała mnie wciąż po imieniu, nie zmieni to nic w tem, czego wcale nie było.

**Iozella.**

Nie wiem, co przeszło pomiędzy nami a szczęściem naszym. Ale spójrz na mnie, daj rękę, niech wiem, że to ty jesteś. Ale jeśli to ty mówisz? Nie ciebie więc chyba widziałam dziś rano w czarodziejskim ogrodzie, gdzie ci oddałam moją duszę. Nie. Jest coś, co igra z nami. Nie, to być nie może, aby jedno słowo mogło tak wszystko zniweczyć. Ciebie widziałam wówczas, a z tobą całą prawdę, całą wiarę widziałam, jak się widzi nagle morze pomiędzy drzewami. Byłam pewna... wiedząca... miłość mnie nie zwodziła... teraz kłamie... To być nie może, aby się tak wszyst-

ko w gruzy rozpadło przez jedno tak lub nie... Nie, nie! ja nie chcę. Chodź, jeszcze nie jest zapóźno... Jeszcześmy nie postradali szczęścia, mamy je jeszcze w dłoniach naszych, i zamknąć je w nich możemy... To, coś uczynił, było może szaleństwem, ale ja zapomnę, ja się z tego śmieję — ja tego nie widziałam... powiadam ci... tego niema, zmazać to możesz jednym słowem... Wiesz równie dobrze, jak ja, że miłość ma na usługi wyrazy, którym się nic oprzeć nie zdoła, że najcięższy błąd, wyznany w uczciwym pocałunku, staje się prawdą, piękniejszą od samej niewinności. Powiedz ten wyraz, daj mi ten pocałunek, wyznaj prawdę tę, którą widziałam, tę, którą słyszałam, a wszystko stanie się znów czystem, ja zaś odnajdę w tobie wszystko, coś mi dał dziś rano.

**Lanceor.**

Powiedziałem, co powiedziałem. A jeśli mi wierzyć nie chcesz, to idź sobie, naprzykrzasz mi się.

**Iozella.**

Popatrz mi w oczy. Kochasz ją więc, skoro tak kłamiesz.

**Lanceor.**

Nie. Nie kocham nikogo, a ciebie niemniej niż innych.

**Iozella.**

Lanceor! Cóż ja ci uczyniłam, może bezwiednie?

**Lanceor.**

Nie to! nie to! Ale nie jestem tym, za któregoś mnie poczytywała, i nie chcę nim być, jestem taki sam, jak wszyscy inni, i chcę, żebyś o tem wiedziała i żeby cię to nie martwiło... Niech przysięgi nasze rozwieją się z pierwszym powiewem jakiego nowego snu, jak ten oto liść suchy, który w rękę gniołę... Miłość do kobiety. Ha! cóż znowu! tem gorzej dla nich... Żyć będę jak inni, w świecie, gdzie nikt nikogo nie kocha, gdzie wszystkie przysięgi łamane bywają przy pierwszej próbie... Cóż to? lży? A, tego jeszcze brakowało, na to właśnie czekałem. Wiem, wiem masz twardą duszę, a lży twoje są rzadkie. Liczę je też, kroplę po kropli... Nie kochałaś mnie nigdy. Miłość, co przychodzi tak od pierwszego wejrzenia, nie daje trwałego szczęścia... W każdym razie nie takiej pragnąłem. A teraz jeszcze lży... ronisz je za późno. Nie kochałaś mnie nigdy, ani ja ciebie. Inna wiedziałaby, co powiedzieć, inna by potrafiła. Ale ty? Nie, nie, idź stąd! idź precz! Odejdź, mówię ci!

(Iozella oddala się z wolna, łkając z cicha... postąpiwszy kilka kroków, odwraca się raz jeszcze, patrzy boleśnie i z wahaniem na Lanceora i szepce pół głosem „kocham cię“, potem znika. Lanceor zgnębiony, oszołomiony, opiera się chwiejnie o pień drzewa).

**Lanceor.**

Cóżem ja zrobił? Komu uległem? Czemu? to nie ja mówiłem, to nie ja wyrzekłem te słowa... Postradałem szczęście, przyszłość i teraźniejszość... Nie jestem już sobą, czynię to, czego nienawidzę... Nie wiem już, kim jestem. Iozello! Iozello moja...

(upada twarzą na ziemię, łkając głośno).

Zasłona spada.

## AKT TRZECI.

(Scena przedstawia jedną z sal pałacowych).

## SCENA I-sza.

**Lanceor** potem **Iozella**.

(Lanceor stoi przed zwierciadłem, wychudły, przygarbiony, zestarzały, zmieniony do niepoznania).

**Lanceor.**

Kim jestem? W ciągu kilku godzin postarzałem się o lat 30. Jad robi swoje, a i ból także. Spoglądam z przerażeniem w to zwierciadło, ukazujące mi obraz ruiny, która ze mnie została. A jednak ono nie kłamie.

(Staje przed drugim zwierciadłem).

Bo oto i drugie mówi to samo. Chyba, że i ono kłamie, jak wszystko na tej wyspie nadzwyczajnej, kędy wszystko igrać zda się ze mną i zwieść mnie usiłuje.

(dotyka ręką twarzy).

Niestety, zwierciadła mówią prawdę, złośliwy ich kryształ nie byłby w stanie stworzyć tylu zmarszczek. Czuję je pod ręką... czuję pod palcami okropne piętna, których nie zetrzeć nie zdoła. Przygarbione plecy wyprostować się już nie mogą... Włosy moje zgasły jak popiół na wypalonym ognisku... Oczy nawet moje nie są już tem, czem były... Wczoraj

jeszcze szeroko otwarte śmiały się do życia i pozdrowiały je, dziś przy-  
mykają się i uciekają wejrzeniem, jak oczy oszusta... Nie pozostało już we  
mnie nic z tego, czem byłem dawniej, i matka rodzona mogłaby przejść  
obok mnie, biorąc mnie za obcego. Wszystko skończone! Ukryjmy się,  
i niech noc wielka padnie na to wszystko.

(zasłania okno firanką i kładzie się w ciemnym kącie pokoju).

Zrzekam się... zgadzam się na wszystko. Uczyniwszy to, czego mi-  
łość przebaczyć nie może, utracam teraz życie, jakem utracił Iozellę. Nie  
ujrzy mnie już ona, ani ja jej...

(drzwi otwierają się, wchodzi Iozella).

**Iozella** (staje na progu, zdziwiona ciemnością. Po chwili, dostrzegłszy Lanceora leżą-  
cego w kącie, rzuca się ku niemu z wyciągniętymi ramionami).

Lanceor! trzy dni! całe trzy dni żyłam jak obłąkana. Szukałam cie-  
bie wszędzie, krążyłam dokoła wieży, okna i drzwi były zamknięte. Czoł-  
gałam się na progu chcąc dostrzedz twój cień... Wołałam! krzyczałam — nikt  
mi nie odpowiadał. Ale jakżeś ty blady, jaki wychudzony... Rzucam oto  
próżne słowa zamiast pomyśleć... Daj mi obie ręce.

**Lanceor.**

Poznajesz mnie?

**Iozella.**

Jakżeby nie?

**Lanceor.**

Więc ja nie jestem... Więc jestem jeszcze sobą? Spójrz na mnie!  
Patrz, co ze mnie zostało!

(idzie do okna i nagłym ruchem odsuwa firankę).

Patrz że, patrz! W czymże mnie odnajdujesz? powiedz! Mojeż to  
ręce? mojeż oczy? mojeż nawet odzienie?

**Iozella** (spojrzawszy, rzuca się cała we łzach w jego objęcia).

O! Ileż musiałeś cierpieć.

**Lanceor.**

Cierpiałem. Tak, cierpiałem, zasłużyłem na cierpienie po tem, com  
uczynił, com powiedział. Ale nie o to chodzi, nie to mnie gnębi. Chę-  
tnie zgadzam się na śmierć, bylebyś odnalazła na jedno choćby mgnienie  
powiek to, coś była we mnie ukochała. Czepiam się rozpaczliwie tej

resztę, co ze mnie została... chciałbym się gdzieś skryć... i rozpacz moją zagrzebać... A jednak chcę także, byś mnie przed tem ogarnęła wzrokiem, abyś mogła wiedzieć, co byś musiała ukochać, kochając mnie dziś jeszcze. Chodź ze tu, chodź! bliżej! bliżej — nie bliżej mnie, lecz bliżej światła, co nędzę moją oświeca. Patrz na te zmarszczki, na te oczy, usta zamarłe, — chociaż nie! nie zbliżaj się, aby wstręć... Tak mało podobny jestem do siebie, jak gdybym przybywał z krain, dokąd nigdy życie nie dobiega... Nie cofasz się? Nie dziwisz? Nie widzisz mnie więc takim, jakim mnie odbijają zwierciadła?

**Iozella.**

Widzę, że błądny jesteś i znużony. Nie usuwaj mych rąk — przysuń twarz! Czemu mi wzbranasz przycisnąć do niej usta, jak tam, w kwitnącym ogrodzie, gdzie wszystko witało nas uśmiechem. Miłość miewa dnie, w których nic się do niej nie śmieje, to są dnie, gdy ona pozostaje, by uśmiechać się do łez naszych. Odgarniam włosy twoje, co ci twarz przysłaśniały i czyniły ją posepną. Patrz, wszak to te same, którem odgarniała przy pierwszym naszym pocałunku. Chodź! nie myśl o tych kłamliwych zwierciadłach. Same one nie wiedzą, co mówią, miłość jedna wie zawsze... Już życie powraca źrenicom twoim, które mię odnalazły... Nie lękaj się, skoro ja trwogi nie czuję... Wiem, co trzeba uczynić, znam sekret, który z cierpienia cię uleczy.

**Lanceor.**

Iozello!

**Iozella.**

Tak, tak, przytul się do mnie. Bliższyś mi dziś, niż w ową chwilę szczęśliwą, gdy nas wszystko łączyło.

**Lanceor.**

To jeszcze rozumiem, ale tamto! tamto!

**Iozella.**

Co?

**Lanceor.**

Rozumiem jeszcze, że odnaleść ją można wśród ruin, że gromadzi się jej szczątki, które się jeszcze kocha. Ale gdzież są szczątki miłości naszej? Nic już z niej nie zostało. Bo zanim jeszcze los we mnie ugodził, zni-

weczyłem wprzód sam to, czego by on zniweczyć nie zdołał. Skłamałem. Oszukałem cię w chwili, w której najmniejsze kłamstwo wyciska niezatarte piętna, których nic zetrzeć nie zdoła. Miłość mogłaby mi może przebaczyć mój błąd, gdyby nie to, że prawda zamarła we wspólnym sercu naszym. Postradałem dawną ufność, w której myśli moje okalały twoje myśli, jak czysta woda opływa inną bardziej jeszcze przejrzystą. Utraciłem wiarę w siebie, i nie zostało już we mnie nic, nad czem byś schyłona mogła mój dawny cień odszukać, a dusza moja smutniejsza jest dziś jeszcze, niż ciało moje.

**Iozella.**

Ta kobieta? Tyś ją trzymał w objęciach?

**Lanceor.**

Tak.

**Iozella.**

Sama cię przyzywała?

**Lanceor.**

Nie.

**Iozella.**

Czemu więc zapewniałeś, że mi się to wszystko tylko przywidziało?

**Lanceor.**

Po co ci to mam mówić, Iozello? Dziś już za późno, i tak zresztą nie uwierzyłabyś mi. Byłem jakby ofiarą snu złośliwego, którego zwalczyć nie mogłem. Dusza moja, rozum, wola dalsze były od tego, czem są w istocie, niż dziś to biedne zniszczone ciało od dawnej swej postaci. Tysiąc razy chciałem ci powiedzieć, krzyknąć chciałem, żem się stał jednym kłamstwem, i że haniebne wyrazy, gwałcące usta moje, głuszą wbrew mojej woli słowa rozpacznej miłości i rwące się ku tobie łzawe wyznania. Czyniłem nadludzkie wysiłki, od których głos łamał mi się w gardle i serce pękało, a mimo to z ust mych płynęła zdradziecka mowa, której ani oczy moje, ani ręce, ani pocałunki zaprzeczyć nie umiały. Bo prócz duszy mojej, której widzieć nie mogłaś, wszystko inne we mnie wydanem było w moc wrogiej jakiejś i niezrozumiałej dla mnie potęgi, której się oprzeć nie mogłem.



Iozella.

Owszem, widziałam duszę twoją, i wiedziałam odrazu, że to nie ty kłamiesz.

Lanceor.

Zkąd mogłaś to wiedzieć?

Iozella.

Bo cię kocham.

Lanceor.

Kimże więc jestem, Iozello, ja, co sam zbecześcił i zniweczył w sobie wszystko, co było we mnie miłości godnem. Cóż we mnie kochasz jeszcze?

Iozella.

Ciebie.

Lanceor.

A cóż ze mnie zostało? Czy te ręce bezsilne? Czy te oczy przygasłe? Czy serce to przeniewiercze miłości.

Iozella.

Ty, i zawsze ty, — i tylko ty. Cóż mnie obchodzi, kim jesteś, byle bym *ciebie* odnalazła. Nie umiem ci tego wytłómaczyć ale gdy się kocha, jak ja kocham, ślepą się jest i głuchą, bo się widzi dalej i słyszy gdzieindziej. Kochając, jak ja kocham, kocha się nie to, co mówi, co czyni nasz ukochany, ale *jego* samego i tylko jego, który pozostaje zawsze sobą po przez nieszczęścia i lata. *Jego* tylko, to znaczy *ciebie*. I nic nie może zmienić, ani nawet zwiększyć miłości takiej. Kocham jego, który jest w tobie, ciebie, który jesteś w nim, którego widzę, którego słyszę wciąż, którego kocham nieustannie.

Lanceor.

Iozello!

Iozella.

Tak tak, uściskaj mnie, przygarnij do siebie. Musimy walczyć, cierpieć, rzuceni jesteśmy w ten świat, pełen, zda się, zradliwych sideł. Dwoje nas tylko, ale jesteśmy miłością, całą miłością.

## SCENA II-ga.

(Iozella leży uśpiona w kwiecistym gaju na darniowej ławeczce, pod zieloną ścianą, strzyżoną w arkady, przeplatane kwitnącemi liliami; godzina nocna, wodotrysk szemrze, księżyc świeci).

Wchodzi **Aryella** potem **Merlin**.

**Aryella.**

Ona śpi. Powiewy gaju umilkły, wsłuchując się w jej tchnienie, i tylko słowik, wysłaniec nocy, kąpiącej ją w srebrze miesiąca, cichym śpiewem w sen ją kołysze. Jaka ona piękna! jaka cicha! jaka czysta! Stokroć, zda się, czystsza od tej wody, co spływając z lodowców w alabastry, szemrze cicho pod bladem listowiem. Słodkie jej włosy rozesłały się na kształt fali nieruchomego światła, a księżyc sam rozpoznać już nie umie, do kogo należy złoto, zlewające się z lazurem, po którym prześlizgują się jego promienie. Przymknęła jasne swoje oczy, mimo to jednak drżące błyski, opadające z gwiazd, podnoszą z lekka pobożne jej powieki, by pod ich cieniem odszukać jeszcze ostatnie ślady zagaszonego dnia. Usta jej to kwiat, żywym oddychający tchnieniem. Na obnażonych jej ramionach błyszczą krople rosy, strącone z kielichów lilii, jako należna jej danina z deszczu pereł, które noc rozsypuje w milczeniu, w imieniu niebios, rozwierających się nad skarbcem wszechświata. Ach Iozello! Iozello! Jam tylko widmo zabłąkane wśród nocy, zabłąkane gorzej niż ty, mimo daru jasnowidzenia, i bliższe też mogiły, kędy zagasa szczęście. Nie należę do siebie, posłuszny być muszę panu memu i nic ci dać nie mogę prócz znikomego pocałunku, który cię zbudzić nie zdoła i który nie jest moim. Ale kocham cię, jak siostra mniej szczęśliwa kocha tę, którą miłość wcześniej wybrała, kocham i otaczam cię wszystkiemi potęgami, jakich ludzie nie wzywają w modlitwach swoich, i pragnęłabym, aby cię pan mój napotkał wcześniej, zanim los przesunie przed oczyma naszymi nieporównaną tę godzinę, która jedna zapobiedz by zdołała łzawej przyszłości, grożącej jemu i mnie z nim. Pochylam nad tobą bezsilną tkliwość moją, a wzruszona czystym spokojem twego snu, składam na czole twoim jedyny pocałunek, jaki ci dać mogę. O, czemuż nie przybędzie tu raczej ten, którego jestem znikomym tylko i uległym cieniem, czemu sam pocałunku tego nie złoży na ustach twoich, których pożądamy moje, jak wszystko co piękne pożąda tajemnicy.

(składa pocałunek na czole Iozelli).

**Iozella** (uśpiona).

Lanceor!

**Aryella** (całując ją raz jeszcze).

Oto biorę jeszcze jeden, ostatni, biorę go, jak się pije z zakazanego źródła, nad którym czuwają anieli, stojący na straży tajemnic czasu i przestrzni, źródła, nad którego brzegiem nie zasiądzie się po raz wtóry.

**Iozella** (przez sen).

Czy to ty, Lanceorze? jak słodkie są usta twoje, w jasnym tchnieniu jutrzeńki. Omdleвам pod deszczem kwiatów, spadających z raj.

**Aryella.**

Wierna w uśpieniu i stała we śnie; nawet Demony nocne nie potrafią nic odkraść miłości, wypełniającej przeszłość i przyszłość jej serca. O panie mój i ojcie, na nią czekała ostatnia nadzieja twoja, ona jedna odwrócić by potrafiła klęski, zagrażające twej starości. O panie, gdybyś chciał, jeszcze czas. Dość by ci było schylić się, by podjąć to szczęście, co waha się niepewne pomiędzy tobą a synem twoim, i dość jednego twojego gestu, by ustalić je na zawsze. O przybądź! przybądź! przybądź! Przyzywam cię i wiem, że nie błędę, bo człowiek nie powinien wyrzekać się życia i gubić się dobrowolnie dla ocalenia tych, których kocha.

**Merlin** (zdaleka za sceną, głosem poważnym i pełnym wyrzutu).

Aryello!

(wchodzi owinięty długim płaszczem).

**Aryella.**

Przemawiam w twojem imieniu, a głos mój jest twoim głosem. Przemawiam w imię twego serca, które kocha głęboko, mimo, że samo przed sobą wyznać tego nie śmie. Zdawna ci było przeznaczonem napotkać w tej chwili tę kobietę uśpioną, dla uniknienia tamtej, która zgubić ma starość twoją.

**Merlin.**

Odejdź! już za późno!

**Aryella.**

O nie, jeszcze nie za późno, to jedyna chwila, a los twój zależy od gestu, który uczynisz.

**Merlin.**

Odejdź! i nie kuś mnie, abym cię znów nie pogrążył w otchłań bezsilnych ciemności, z których wydobyłem cię na to, abym mógł jaśniej wiedzieć nie zaś, abym błądził wśród cieni.

**Aryella.**

Nie błądzi, kto idzie za instynkiem, bo on jeden tylko chroni ludzi od zguby. Pomyśl o straszliwej przyszłości, którą ci gotuje Wiwiana; ją musisz pokochać, jeśli tej serca nie oddasz.

**Merlin.**

Wiwiana! W temże to życiu czy w tamtem? słyszałem w tajemnicy serca mego to imię, brzmiące mi jak słowo rozpaczy, hańby i szału.

**Aryella.**

W tem życiu, jedynem, jakie ci przypadło w udziale. Jest to imię czarodziejki, która oczekuje ciebie w Brozeljandzie, dokąd wiedzie cię przeznaczenie. O panie, strzeż się! Widzę ją, oto zbliża się już aby opłacać serce twoje. Z chwilą, gdy miłość ta tak czysta i zbawienna, utraci prawa swoje, jej miłość wypełni z cienia. Panie, błagam cię. Oczy moje liczą już zdradliwe sidła, w które cię ona oplącze, przedrzeźniając miłość. Zabierze ci siły, mądrość twą i rozum, wydrze tajemnicę twej potęgi, a gdy upojony starzec upadniesz u jej stóp, ogołoci cię ze wszystkiego, wyszydzi i zepchnie wraz ze mną w śmiertelną otchłań, która zawrze się nad nami na wieki.

**Merlin.**

Więc to nieuchronne?

**Aryella.**

Wszakże wiesz równie dobrze jak ja, że nic mnie w błąd wprowadzić nie może, ilekroć chodzi o przyszłość twoją. O panie, błagam cię o litość nad samym sobą i nademną, bo ja tak kocham światło a utracić je muszę wraz z tobą. Ta godzina jest nieodwołalną. Wybieraj życie... wybieraj życie... skoro ci je wybrać wolno, skoro należy do nas i skoro masz prawo.

**Merlin.**

Odejdź! to się już na nic nie zda. A zresztą i tak Iozella nie pokochałaby mnie nigdy.

**Aryella.**

Byle byś ty ją pokochał i byle tamten nie stał pomiędzy wami. Czytam to w podwójnej waszej przeszłości.

**Merlin.**

Odejdź! Dobrze że wiem, iż kochając to dziecko, zdołałbym się jeszcze uratować. Ale ona nie dla mnie. Godzina ta należy do tych, którzy nadchodzą i którzy napotkali się, jak tego chciały czas i życie. Odejdź, rozkazuję ci:

(Aryella przysłania sobie twarz i odchodzi w milczeniu).

Zrzekam się mojego dzieła, dla ciebie, synu mój, ale wprzód dokończyć muszę jednej jeszcze próby...

(zdejmuje z siebie płaszcz i ukazuje się odmłodzony i podobny do Lanceora).

(zbliża się do Iozelli).

O moja czysta Iozello, cierpieć będziesz! cierpieć musisz, gdyż we łzach twoich tai się przeznaczenie. Cóż jednak znaczą łzy, gdy wiedzą ku miłości? Oddałbym chętnie wzamian za najokrutniejszą z tych błogich trosk — wszystkie radości, jakich zaznałem w biednym moim życiu.

(pochyla się nad Iozellą)

Aryella powiedziała prawdę; jednym gestem mógłbym cofnąć wstecz godziny i dni i ujść strasznego końca, który mi los gotuje. Tak. Ale gestem tym unicestwiłbym tego, którego kocham bardziej niż siebie i którego lata wybrały dla owej miłości, próżno wyglądanej przezemnie. Ach, w chwili, gdy trzymamy tak w rękę szczęście własne i drugiego człowieka, w chwili, gdy zniweczyć musimy jedno, aby osiągnąć drugie — w takiej chwili dopiero czujemy, jak głęboko wrosliśmy w tę ziemię, na której cierpimy, a życie nadludzkiem krzykiem upomina się o prawa swoje. Ale w takiej chwili również nasłuchiwać musimy pilnie, co szeptem nam głos inny, który mówi, mimo że nic nie określa i nic nam pewnego nie przyrzeka. Słaby to szept za ledwie, a jednak świętszym on jest od bezkształtnych krzyków życia. Lanceorze! Iozello! Kochajcie się, ale kochajcie i mnie, bo ja was kochałem. Słaby jestem, bezsilny i stworzony do szczęścia, jak inni ludzie; nie bez walki też ustępuję wam część swoją. Kochajcie się

moje dzieci. Idę za szeptem cichego głosu, który mi nic nie przyrzeka, lecz jeden tylko ma słuszość.

(klęka obok Iozelli i całuje ją w czoło).

**Iozella** (budząc się).

Lanceor!

**Merlin.**

Tak, to ja, którego noc do ciebie przywiodła, ja, co przybyłem tu, chcąc zbudzić cię nowym pocałunkiem, ażebyś odnalazła...

**Iozella** (podnosząc się szybko, patrzy na niego przerażona).

Kto jesteś!

**Merlin** (wyciągając ramiona do uścisku).

Wiesz przecie dobrze, Iozello, a miłość powinna cię objaśnić.

**Iozella** (usuwając się gwałtownie).

O! nie dotykaj mnie, bo wzywać będę śmierci, aby przerwała ten sen okropny... Sama już niewiem, jakie widma nawiedzają tę noc, ale oto najędzniejsze, najniższe, najnikczemniejsze ze wszystkich, jakie kiedykolwiek cię z siebie wynurzył. Nie wierzę jeszcze, i szukam obudzenia, kalecząc oczy swoje. O nie zbliżaj się do mnie, odejdz; usuń się, bo wstręt we mnie budzisz!...

**Merlin.**

Spojrz na mnie, Iozello. Nie rozumiem cię. I bezwątpienia sen mąci jeszcze...

**Iozella.**

Gdzie on jest?

**Merlin.**

Obudź się, Iozello.

**Iozella.**

Gdzie on jest? i co z nim uczyniłeś?

**Merlin.**

Ależ on jest tu, gdzie ja się znajduję, a jeśli oczy twoje w błąd cię wprowadzają —

**Iozella.**

Nie wiesz więc chyba, że ja go tu noszę, w tych oczach, które cię widzą i porównują to, czem on jest z tem, czem ty jesteś. Nie widziałeś go więc takim, jakim go mam w sercu, skoro go tak przedrzeźniasz... Ty—obok niego; ty w jego odzieży i pod jego postacią! Ach, to jak gdyby śmierć udawać chciała życie! Ależ gdyby tu was było 20,000 podobnych do niego, a on, sam jeden wśród was nie podobny już do tego, czem był wczoraj, to wówczas jeszcze obalając 20,000 widm poszłabym do niego, do jedyne go człowieka, któryby nie był snem pomiędzy snami. O! nie próbuj ukrywać się w cieniu, usuwasz się za późno, odgadłam cię już i wiem, kim jesteś. Znam uroki twoje i jakżebym się z nich śmiała, gdyby nie to, że lękam się, byś mu nie zadał cierpienia, przyjmując na siebie postać tę, tak mi drogą i tak do niepoznania zmienioną. Co mu uczyniłeś? Gdzie on jest?

(chwytając rękę Merlina).

Sama jestem i słaba, ale chcę! ale chcę! i będę wiedziała będę wiedziała.

**Merlin.**

Kocham cię nadto, Iozello, abym uczynił mu co złego, dopóki ty go kochasz. Nic mu zatem nie grozi. Nie przyszedłem tu po to, by korzystając z ciemności podejść serce twoje. Miałem cel inny. Posłuchaj mnie, Iozello. Nie rywał zawiedziony, nie kochanek nieszczęśliwy mówi dziś przezemnie, ale ojciec przewidujący i niespokojny. Wyznaję, że zanim nadzedł ten, co zdobył nad tobą taką moc, jakiej dotąd żaden mężczyzna nie posiadał nad żadną kobietą, błysnęła mi przez chwilę nadzieja szczęścia, za którym próżno już gonić na schyłku lat. Dziś jednak wyrzekam się ze smutkiem, ale w dobrej wierze. Wiem, jak bardzo kochasz bezmyślną istotę, którą los postawił na twojej drodze. I nie chciej wątpić. Mówię ci o nim w tej chwili bez nienawiści i bez zazdrości, nie bez przerażenia jednak, gdy pomyślę, jak żałosne dni gotuje ci on w przyszłości. I pragnę dziś jedynie odwrócić od ciebie nieszczęsną miłość, co ci gotuje wszystkie ły i wszystkie rozczarowania. Nie spodziewam się już nic dla

siebie. Nie żądam, żebyś mnie kochała, dowiodłaś mi dziś aż nadto, jak dalece jest to niepodobieństwem. Pragnę tylko po prostu, abyś go kochać przestała; o to jedynie błagam dobroci losu, a los dzisiejszej nocy wysłucha błagania mego.

**Iozella.**

Jak to!

**Merlin.**

Posłuchaj mnie, Iozello! Czeką cię smutna i ciężka próba, i pragnąłbym ci jej oszczędzić, ale wiesz lepiej odemnie, że są na świecie zbawienne cierpienia, których unikać nie należy. Niekiedy dość jednego gestu, by zburzyć cały świat w sobie zamknięty. Jeden ruch tej główki, pochylającej się dziś jeszcze bez niepokoju, jedno spojrzenie tych oczu, aż nazbyt ufnych i niewinnych, obalić może w oczach moich rzecz najpiękniejszą, jaką kiedykolwiek miłość stworzyła w sercu kobiety. A jednak to się stać musi, dobrem jest i sprawiedliwym, aby się ta miłość rozplynęła dziś raczej we łzach, które przyszłość osuszy, niżby się miała kiedyś rozsypać w gruzy, wśród mąk i boleści, których już nic uleczyć nie zdoła.

**Iozella.**

Co chcesz przez to powiedzieć?

**Merlin.**

Że w tej samej chwili, gdy wszystko, co w sercu twojem jest czystem, szczerem i gorącym; gdy wszystkie przezroczyście cnoty duszy twojej, cała prawość, wierność i niewinność twojej krwi dziewiczej, wrywa się ku temu, którego wybrałaś, aby zeń uczynić najczystsze i najszczęśliwszego z ludzi,—on o dwa kroki stąd pod zasłoną z liści, którą uważa za nieprzeniknioną, zdradza cię w objęciach tej samej kobiety, z którą już wczoraj poniewierał cudowny dar twej miłości.

**Iozella.**

Nie.

**Merlin.**

Dlaczego mówisz „nie“, skoro nie spojrziałaś nawet w tamtą stronę?

**Iozella.**

Bo on jest mną.



**Merlin.**

Nie żądam, żebyś wierzyła na ślepo słowom moim, ale dość ci będzie odwrócić głowę.

**Iozella.**

Nie.

**Merlin.**

Czy słyszysz szepty zmieszanych ich głosów, i echa wzajemnych pocałunków?

**Iozella.**

Nie.

**Merlin.**

Nie podnoś naprózno głosu w nadziei, że uda ci się przerwać zbrodnicze ich pieśczoły, oni cię nie usłyszą, wsłuchani w odgłosy ust swoich. Odwróć tylko głowę, Iozello, zaklinam cię. Tu chodzi o życie twoje, o szczęście, do którego masz prawo... Nie odpychaj prawdy, co sama bieży na twoje spotkanie, aby ocalić cię, jeśli będziesz miała odwagę dać jej przystęp do siebie; prawda ta dziś odrzucona powróci raz jeszcze w przyszłości, aby ci łyż wycisnąć. Popatrz tylko, popatrz! Nie potrzebujesz nawet odwracać głowy, szczęśliwa gwiazda twoja niczem się znużyć nie daje. Nie zamykaj przed nią oczu, z których ci zdejmuje zasłonę. Patrz, oto cienie ich rąk wydłużone w blasku miesiąca pełzają po zielonych arkadach, sięgając niemal stóp twoich. Podnieś tylko powieki. Spójrz. Oto zdradliwe cienie wyzywają cię zuchwale. I dobiegają niemal ust twoich.

**Iozella.**

Nie.

(chwila milczenia).

**Merlin.**

Rozumiem cię, Iozello. Nie chcesz w mojej obecności zaprzecić się szczątków swego uczucia. Podobne ofiary domagają się samotności i milczenia. Zostawiam cię sam na sam z przeznaczeniem twojem i obowiązkiem. Prawda stoi przed tobą, i hańbą było by uciekać przed nią. Po-

trafisz stawić jej czoło, gdy cię tu samą zostawię. Podziwiam cię, Iozello. Życie twoje i szczęście domagają się od ciebie męztwa i zależne są od jednego twego spojrzenia.

(Merlin wychodzi. Iozella siedzi długo na ławce nieruchoma patrząc przed siebie szeroko otwartymi oczyma, potem prostuje się sztywna i odchodzi zwolna, nie patrząc we wskazanym przez Merlina kierunku).

(dok. n.)

*Maurycy Maeterlinck.*

Przekład B.....é.



## KRYTYKA.

NIEWYDANE DOTYCHCZAS PAMIĄTKI PO CHOPINIE zebrane i wydane przez Mieczysława Karłowicza.

Listy prywatne znakomitych ludzi niewąją dla społeczeństwa znaczenie z wielu względów. Albo zaznajamiają z poglądami autora na różne kwestye artystyczne, naukowe lub społeczne, których trudno byłoby inaczej — z różnych powodów — wydobyć od niego osobiście, albo są same w sobie cennymi dziełami sztuki (np. listy Słowackiego), albo wreszcie przyczyniają się jedynie do rozświetlenia tajemnic charakteru danego człowieka.

Listy Chopina mają dla nas wartość głównie pod ostatnim względem — ale i to nie tak wielką, jakby można się spodziewać. Jedną z głównych cech tej duszy, obdarzonej niesłychaną czułością \*) i anielską dobrocią była *skrytość*, która nader silnie uja-

\*) Wyraz, którego rzeczywiste znaczenie zbanalizowało się przez złe jego używanie. Czują = niemieckiemu „zart“.

wniła się nawet w listach, pisanych do osób najbliższych. Wszystkie bóle, tęsknoty i marzenia Chopin wyśpiewał sztuce. Ona była jedyną spowiedniczką na świecie. O swoich najcięższych przeżyciach pisał albo w tonie w półżartobliwym, czego dowodem jest taki drobny fakt, jak napis na listach od narzeczonej, Maryi Wodzińskiej i jej rodziny: „Moja bieda“, — albo też napomykał zdaleka, że miał jakieś mało znaczące przykrości — ale to przejdzie — szybko przejdzie...

Listy, nieznanne dotychczas, zebrane przez p. M. Karłowicza mają dla biografów Chopina znaczenie pierwszorzędne. Stamtąd dopiero dowiadujemy się po raz pierwszy niektórych szczegółów rozstania się z p. Sand, tam widzimy w listach Chopina rzadki fakt — że pisze o niej z nadzwyczajną — jak na niego — goryczą. Jest to jedyna struna w duszy tego anielskiego człowieka, która wydała tony ostre i twarde.

Rozstanie się z p. Sand, które niewątpliwie ostatecznie podkopało zdrowie wielkiego muzyka, odbyło się, jak pisze Chopin, „bez żadnych bataliów i scen“, a powodem tej tragedji była, jak się domyśla

p. Karłowicz, poprostu okoliczność, że pani Sand nie chciała mieć obok siebie człowieka, którego zdrowie coraz bardziej szwankowało, i kto wie, czy nie umyślnie w celu zerwania z nim napisała powieść, w której podstawiła stosunek kobiety, Lukrecyi Floriani, do chorego człowieka, księcia. Chopin jednak nigdzie nie czyni najłżejszej wzmianki o tem, aby ta powieść zrobiła na nim z jakich szczególnych względów większe wrażenie.

Bezpośrednim powodem zerwania była różnica zdań co do całego trybu życia pani Sand, a szczególnie co do postępowania z córką i wychowanką, ubogą kuzynką.

„Dziwne stworzenie przy całym rozumie!“ pisze Chopin o pani Sand w liście do siostry Ludwiki. „Jakiś szalony napadł: bruździ w życiu swoim, bruździ w życiu córki, z synem także nie dobrze się skończy, to przepowiadam i podpiszę. Chciałaby dla własnej ekskuzy coś znaleźć do tych, co jej dobrze życzą, którzy jej wierzyli, którzy jej nigdy żadnego gburstwa nie zrobili, a których nie może koło siebie widzieć, *bo są zwierciadłem sumienia*. To też mi ani słowa więcej nie pisała, to też tej zimy do Paryża nie przyjedzie, to też słowa o mnie nie mówiła córee. Nie żałuję, że pomógł jej osiem lat znieść, najdelikatniejszych w jej życiu, wtenczas, kiedy córka rosła, a syn się przy matce chował; nie żałuję wszystkiego, com zgryzł, ale żałuję, że córkę, tę dobrze przepielęgnowaną roślinę, uchowaną od tyłu wichrów, w ręku macierzyńskim złamała przez nieroztropność i lekkość, która może uchodzić kobiecie 20-letniej, ale nie 40-letniej. Co było a nie jest, nie pisze się w rejestr. Pani S. nie może mieć dla mnie tylko dobre wspomnienie w duszycy, jak się kiedyś obejrzy za sobą. Tymczasem jest w najdziwniejszym paroksyzmie

matki, *grającej rolę* lepszej matki i sprawiedliwszej, jak jest w istocie sama“.

W innem miejscu znów Chopin pisze o skandalu, jaki wywołał ojciec wychowanki pani Sand, Augustyny, który ogłosił publicznie, że pani S. mu córkę jedynaczkę zdemoralizowała, że z niej zrobiła metresę dla syna, i „mimo pozwolenia rodziców za byle kogo wydała“. „Jest to niegodziwość ze strony ojca — pisze Chopin — ale *prawda*“.

Przytoczone tu ustępy z listów Chopina dostatecznie charakteryzują tę obłudną kobietę miłującą — w powieściach — przeczystość i tkliwość i przedstawiającą się za taką w swoich romansach autobiograficznych. W listach własnych widzimy ją taką samą. Np. w liście do p. Jędrzejewiczowej znajduje się frazes: „można być zapomnianą i opuszczoną przez dzieci swoje, nie przestając ich kochać“. Po tem, co było przytoczone powyżej i wobec faktu, że pani S. z córą swoją Solange Clésinger miała najokropniejsze sceny, gdy ta *ośmieliła się* po swoim zamażpójściu wrócić do rodzicielskiego domu, słowa z listu tej kobiety, zawsze i wszędzie uważającej się za męczennicę, brzmią wprost niesmacznie. Kochanie córki wyraziło się w ten sposób, że w pokoju jej urządziła przedstawienia dramatyczne i wszelki jej ślad starannie zatarła. W listach pani Clésinger do Chopina boleść i oburzenie dziewiętnasto-letniej kobiety na matkę nie mają granic. Widać z tych listów, że Chopin szczerze przywiązał się do wszystkich i do wszystkiego, co otaczało kochaną przez niego kobietę, a *krzywda*, którą pani S. wyrządziła córce, przebrała miarę goryczy i bólu, jakiego sam od niej doznawał. Do śmierci nie widział już pani Sand.

Oprócz wyświetlenia całej tej tragedii w życiu Chopina, w pamiętnikach, zebranych przez p. Karłowicza znajduje się mnóstwo

stwo ciekawych listów od różnych znakomości do Chopina, mnóstwo drobnych dokumentów, które szczególnie dla biografa naszego muzyka są nieocenione, są też listy rodziny Chopina do niego, gdzie odnaleźć można mnóstwo ciekawych szczegółów do charakterystyki otoczenia, w jakim wzrastał ten potężny geniusz muzyczny.

Ciekawym dokumentem jest arkusz, zapisany ręką jednej z sióstr Chopina. Arkusz ten obejmuje wykaz „*niewydanych kompozycji Chopin'a*“.

Niektóre z nich później ukazały się w druku, ale gdzie się podziła reszta tych utworów — nie wiadomo. P. Karłowicz nie stawia pod tym względem żadnych hipotez.

Wszystkie te „Pamiętki po Chopinie“ spoczywały dotychczas w rękach jego rodziny, strzegącej tych dokumentów z niezmiernym pietyzmem. Dostały się one w ręce dobre, jak najlepsze. Pan Karłowicz z czcią prawdziwą, z wielką umiejętnością i nakładem trudu opracował je, przetłumaczył niektóre listy pisane po francuzku i opatrzył cennymi uwagami i objaśnieniami

JAN KLECZYŃSKI.



EUGENIUSZ ONIEGIN. — Przekład L. Belmonta.

W przedmowie do swojego przekładu Oniegina p. Belmont poruszył kwestyę trudności, jakie czekają każdego przy tłumaczeniu dzieł literatur obcych na język ojczysty, Trudności te są istotnie olbrzymie, można nawet śmiało powiedzieć: niepokonalne — są one jednak natury ogólniejszej, niż to przypuszczał p. B., uważając przekład Oniegina za szczególnie trudny, ponie-

waż ów poemat Puszkina to „arcydzieło formy“.

Sądzę, że kto tylko chce nałamać język, w którym tłumaczy, do rymu, rytmu, stylu i specjalnych zwrotów, niezgodnych z jego duchem, a właściwych językowi oryginału, ten z góry powinien oczekiwać, że przekład jego będzie obfitował w sztuczne i dziwaczne, nigdy nieużywane zdania. Twórczość tłumacza będzie wtedy zawsze skrępowaną i da w rezultacie tylko cień przekładanego dzieła.

Jednakże jest to dola prawie wszystkich przekładów. Chcąc być ścisłym i wiernym tłumaczem — pod każdym wzglę em — niepodobna nie obniżyć polotu oryginału. Wszak tak świetne przekłady jak Miriama „Okręt pijany“ (Rimbauda), Langego „Dzwony“ (Poe), Porębowicza Don Juan (Byron) — to w swoim rodzaju arcydzieła — a jednak...

Ideałem pod tym względem byłby przekład, któryby zachował wszystkie właściwości oryginału, w formie *zasadniczo* mu pokrewnej, a jednocześnie wysnutej z ducha języka, w którym dokonywanem jest tłumaczenie.

Jednakże takie *przetworzenie* dzieła geniuszu z jednego języka na drugi jest rzeczą niesłychanie trudną, zapewne nawet wprost niedostępną dla człowieka, który, jak autor oryginału, nie jest geniuszem. Arcywzór podobnego przedsięwzięcia posiada, o ile mi się zdaje, tylko literatura polska. Jest to „Księżę Niezłomny“ Calderona w spolszczeniu Słowackiego. Powszechnie wiadomo, że oryginał polski nie tylko że dorównywa hiszpańskiemu, ale jest odeń jeszcze piękniejszym, choć jest to tłumaczenie *dostowne*. Nie w tem więc leży trudność przekładu Oniegina, że jest to, jak mówi p. Belmont, jakieś specjalne „arcydzieło formy“, ale w tem, że jest to *wogóle* arcydzieło, twór

ogromnego, samodzielnego talentu, pisany w języku, którego duch pomimo zewnętrznych podobieństw, jest niezmiernie mało zbliżonym do polskiego. „Arcydzieło formy” jest to nieszczęśliwe wyrażenie, niestety bardzo rozpowszechnione wśród naszych krytyków – wyrażenie nie oznaczające nic. „Forma” nie jest to rzecz, którąby można oddzielić od poematu, obrazu czy symfonii. Obraz, nasunięty przez wyobraźnię do zilustrowania danego wrażenia, rym, rytm, zwroty stylistyczne, sposób malowania, czy też prowadzenia melodyi, melodia sama, a nawet cały poemat obraz malarski, czy też dzieło muzyczne – wszystko to jest *formą*, która ujmując krystalizujące się w duszy artysty majaki wyobrażeń w nową całość, w nowe dzieło sztuki. „Forma” sama dla siebie istnieć nie może, więc nie może też być specjalnego „arcydzieła formy”. Jeśli utwór nazywamy arcydziełem, to mówimy tem samem o formie, w jakiej się pojawił i która jest w sztuce wszystkim – bo dziełem samem.

Wyrazem również bardzo sponiewieranym w literaturze naszej jest *technika*. Urobiło się pojęcie tego wyrazu mniej więcej takie, jakie stosować by można do fabryki, w której istnieje wyższy lub mniejszy poziom techniczny. Tymczasem technika tworu artystycznego jest czemś zupełnie odrębnem. Jest to tajemnica każdego wielkiego talentu. Jest to droga, po której urabia się *forma*. Każdy wielki artysta ma swoją własną technikę, ściślej wynikającą z jego właściwości psychicznych i fizycznych. Dopóki ktoś nie zaznaczy samodzielności w tym kierunku, nie można go nazywać artystą. Technika jest *dobrą* wtedy, gdy jest w stanie ukazać światu nową formę. Jeżeli się utwór jaki nazywa *arcydziełem*, to już z góry wiadomo, że technika była tam dostateczną, aby światnie uwydatnić to, o co autorowi chodziło.

I znowu więc nie można mówić o „arcydziele techniki”, bo pojęcie „arcydzieła” obejmuje w sobie wszystkie warunki, sprzyjające ukazaniu się na świat jako nowej całości artystycznej – nowej formy. Fortepianista, który nie umie grać, albo malarz nie mający pojęcia o rysunku – to absurdy logiczne.

Z tego względu mówić o jakichś nadzwyczajnościach w technice utworu sztuki jest to rzecz zupełnie zbyteczna, bo każde arcydzieło staje się niem właśnie przez technikę, przez którą geniusz, w sposób sobie tylko właściwy, stwarza nową *formę*.

Wracając do przedmowy do Oniegina p. Belmonta, muszę zauważyć, że krytyka tego ciekawego poematu rosyjskiego, opierająca się na tanich zestawieniach Oniegina, tego petersburskiego próżniaka o melancholijnej duszy, z Płoszowskim i – – – Hamletem jest niezmiernie powierzchowną. Ogólne zaś poglądy literackie p. B. charakteryzuje epitet „potworny”, którego autor użył względem innego, znacznie ciekawszego bohatera literatury rosyjskiej, Pieczoryna z „Bohatera naszych czasów”, posądzając jak najniesłuszniej nieśmiertelną powieść Lermontowa o nieszczerść i bajronizm.

Co się tyczy samego przekładu, to należy oddać p. B. sprawiedliwość, że jest to istotnie *pierwszy* przekład polski, w którym znać usiłowania artystyczne. Nie mogąc dać takiego przekładu *twórczego*, o jakim wspominałem, dobrze zrobił p. B., starając się przedewszystkiem o ściśłość, i miał nielada trudności do zwyciężenia. Niezmierna swoboda i potoczystość wiersza Puszkina, kapryśna zmienność rytmu, prostota i bogactwo języka, jego wdzięk, dowcip, lekkość, a w końcu przeważająca ilość rymów męzkich (na 5,300 wierszy poematu jest ich 8 na 6 w każdej zwrotce) – wszystko to wobec ubóstwa rymów męzkich w języku

polskim czyniło wierne tłumaczenie niesłychanie niewdzięcznym zadaniem. Jeżeli pomimo to znajdują się w pracy p. B. od czasu do czasu miejsca prawdziwie piękne a przytem dosłownie przetłómaczone — jest to i tak nielada tryumf. Jednakże znaczna większość zwrotek, właśnie wskutek dokładnie zachowywanych rymów męzkich, nuży ucho polskie, a przytem przypomina — szczególnie przy krótszych wierszach — polskie teksty niektórych oper — jak wiadomo, że względów muzycznych nader często rymy męskie są konieczne. Przekład Oniegina p. B. może być dowodem, jak niebezpiecznie nadużywać w języku polskim rymów męzkich. Ustawicznie spotykamy tam zdania naciągane, powykęcane, tyle tylko, że logicznie możliwe — a to wszystko dlatego, aby zadość uczynić powierzchownej wierności przekładu — i nie opuścić ani jednego rymu męskiego. Czy nie za drogo okupione to zewnętrzne podobieństwo?

JAN KLECZYŃSKI.



JÓZEF RUFFER. Posłanie do dusz.

Powiedział ktoś, że kto w literaturze ma swe własne konie, ten omnibusem nie jeździ. Zdaje się, że autor „Posłania do dusz“ często jeździ omnibusem — omnibusem z najświeższych i najmodniejszych warsztatów, aleć zawsze nie własnym pojazdem. Kilka przytoczeń: „Olbrzymi, nagi, piękny — na hałnym stoku leżą“ — albo: „olbrzymi nagi, piękne, idziemy zwolna przez dolinę co tryumfowi memu pod stopy zioła rzuca młode“ — albo: „olbrzymi, nagi siedzę w posępny zmrok na wierzchu skały, zaryłem stopy w ziemię — albo:

Zakwitły w sadzie białe, zakwitły różane  
[jabłonie,  
Białe puszyste kwiaty i syplkie różane  
[kwiaty  
Ku słońcu się otwierają: *jabłoni sen bogaty*  
I woń przez sad się przelewa i *sad w nadziejach tonie...*

...Kwitnące jabłonie, soczyste się budzą  
[z nas Moce  
Wyniosłej dumy i wstają ze smutków pomrocnej głębiny:  
Jabłonie! hej serca do góry! w *jesieni z nas będą owoce!*

— albo: „Słońce — nasz dobry kapłan łąki nam zieleni itd.“ — albo: „ongi choć nie pasiecznik — miałem swoje pszczoły“ itd.

Wiem, że mówiąc o dziełach twórcy, lepiej jest podkreślać to, co jest jego — aniżeli to, co jest cudze, ale umyślnie przytoczyłem te kilka wierszy, ażeby wykazać, jak w sezonie ogólnego „rozstaffienia“ nie mogą oprzeć mu się nawet najtęższe siły. Boć przecież Ruffera stać na to, ażeby mówił sam od siebie. Pamiętam jego płomienne, fanatyczne hymny do słońca, pamiętam także jego „Psa“, któremu rozszalała masa wód wpadła w legowisko, zatopiła mu budę, a jego samego porwała na obszar żywiołowego „Morza mocy“ i ten przepysznie dziłki okrzyk: „mnie stanie tchu i łap mi stanie i mój jest niewiadomy brzeg!“ W tomie niniejszym nie wiele rzeczy dorównywa przytoczonym wierszom.

Najwyżej postawiłbym cykl „Morze“, piękną symfonię szeroko rozlewnych fal tęsknoty za objawieniem. Ruffer jest dużym mocarzem słowa: niektóre z powiedzeń jego mają w sobie moc i pęd ciśniętego oszczepu, ale brak jest wysłowieniu jego tego nieokreślonego „czegoś“, które nadaje organiz-

mowi poetyckiemu cechę wiekuistości: wiele z tych słów można by wyjąć, jak szkiełko z kalejdoskopu, i zastąpić przez inne — a nie uczulibyśmy ich niezbędności na tem właściwie miejscu, nie mielibyśmy poczucia krzywdy ani popełnionego świętokradztwa — jest tam raczej pewna przeciągnięta koturnowa-uroczystość, aniżeli głęboka rzewność wezbranej duszy twórczej. Wyjątek stanowią poezye z „Księgi miłości“. („Rondel o wargach i wiśniach“, „Miła marzy, idąca ku mnie“, „Obietnica ust“, „Pozdrowienie miłej“, „Na pocałunki miłej“, „Miła idzie przez ogród różany“, „O przedziwnym kwiecie“). — Cudne, przymglone wizerunki minionych chwil, okwitłych szczęściem i miłością: bije stamtąd war i płomień „pieśni nad pieśniami“.

WŁ. ST.



H. ORLICZ-GARLIKOWSKA. — „SZABLON“.— Powieść.— 1903.

W „Szablonie“ autorka zamierzała wystąpić przeciw rozmaitym narzuconym przez zwyczaj więzom, tamującym prawidłowy rozwój życia. Zadania tego od czasów niepamiętnych podejmowali się i podejmują geniusze, talenty większe i mniejsze i cały niemal ogół piszących.

Walał swymi oskardami duchy lepsze w mur wsteczniactwa i wierzeń tępych. Ale jednym uderzeniem czyni wyłom, gdy innych nawet rysu nie wydrapie na chińskim murze, oddzielającym zazdrośnie zaskorupiałe w cuchnącej pleśni duszyczki, od duchów czystych i szlachetnych.

Pani Orlicz-Garlikowska posiada właściwą kobietom zastraszającą łatwość i sprawność

pisarską i płodność króliczą, bez siły przykuwającej uwagę, bez tchnienia, zniewalającego nas oddychać tchnieniem twórcy. Nie doświadczamy tego uczucia, że litery czarne druku, odbijają się w mózgach naszych i sercach płomienistymi zgłoskami. Powieść Garlikowskiej to tylko blada kalkomania innych twórców, innych myśli, innych czuć wielkich. Pod jej piórem one zmalady dziecinnie. Nie wystarcza już w utworze artystycznym kilka ładnie brzmiących zdań, parę porównań udatnych i kilka figur niezłe podpatrzonych, gdy zalewa je powódź sytuacji i słów „szablonowych“ — w powieści borykającej się z „szablonem“.

Pani Garlikowska poza przywoitą mierzonością literacką, poza koło pokrewne pań Grot-Bęczkowskiej, Łopuszańskiej, Szebekówny, Witówny itd., „stojących przed przedsięwzięciem wielkiej sztuki“ — nie wychyliła się. Nosi ten sam mundur kadeta literackiego, co i one, ten sam wytrwały jak dotąd apetyt do zwyczajów literackich, tę samą nieporadność artystyczną.

„Lorce“, bohaterce powieści, wydanej nieszczęśliwie za mąż, współczujemy serdecznie, jak i autorce pracowitej o najlepszych postępowych tendencyach, ale hołdu „artystce“ oddać nam nie wolno. Pani Garlikowska brzydzi się kłamstwem, my też nie okłamujemy jej oceną obłudną.

Przytoczeniem szczegółów treści i rozbiorem psychologii osób działających w „Szablonie“ żyłować jego autorki nie będziemy, bo naigrwanie się nad znużoną pracą, z dobrą wiarą pisaną, nie było naszym zamiarem.

TRISTIS.





PROROCY HEBRAJSKY WOBEC KRYTYKI I DZIEJÓW. — (Autoreferat).

W szeregu przeróżnych wypadków, z których składa się życie dziejowe każdego narodu, wśród rozmaitych urzędzeń społecznych, w których to życie rozwija się i płynie, pewne wypadki powtarzać się mogą we wszystkich epokach i czasach, pewne urzędzenia wszystkim w ogóle narodom są wspólne. Po za tymi jednakże powtarzającymi się wypadkami natrafiamy częstokroć na zupełnie wyjątkowe. Wśród urzędzeń wspólnych spotykamy instytucje całkowicie oryginalne. Ilość takich wypadków, doniosłość i trwałość takich instytucyj stanowi właśnie o znaczeniu historii pojedynczego narodu w Dziejach Powszechnych.

Powtarzające się wypadki, wspólne urzędzenia społeczne, dostarczają narodowi ludzi, którzy po utartej przeszłości prowadzą go drogą. Wyjątkowe wypadki, oryginalne urzędzenia, wytwarzają, i na pole czynów, zwłaszcza w chwili wewnętrznych przewrotów, w epoce ogólnego przełomu dziejowego, powołują takich, którzy odgadłszy położenie ogólne, pojawiwszy charakter narodu i uzdolnienie, zwracają go na nowe drogi, wskazują mu nowe cele, odsłaniają przyszłość całą inną, niż ta, w którą dotychczas wierzył.

Takich ludzi nie znajdujemy zgoła ani w dziejach Egiptu, ani w dziejach Babilonu i Asyrii; znajdujemy za to w Grecyi i Rzymie.

Gdy z kolei zwrócimy się do przeszłości starożytnych Hebreów, gdy kierowani powyższemi uwagami rozpatrzmy kroniki tego narodu, poznamy jego literaturę, w dziejach politycznych uderzą nas czyny, w zażytkach piśmiennictwa zdumią utwory kilkunastu mężów.

Nie noszą oni żadnego oficjalnego ty-

tułu, a jednakże kierują polityką zewnętrzną państwa. Nie mają żadnego prawnego mandatu, a jednakże występują zawsze w charakterze trybunów ludu wobec monarchów, kapłanów, możnych. Nie będąc kapłanami, wytwarzają i pielęgnują religię narodową. Nie będąc poetami, zostawiają w spuściznie narodowi szczytne i oryginalne arcydzieła pod względem formy i treści.

Są to prorocy.

Niezwykła ich rola w dziejach Żydów, niezatarty ich wpływ na przyszłość narodu swego, przy wyjątkowym znaczeniu wśród współczesnych sobie pokoleń, każą w nich uznać prawdziwych kierowników i rzeczywistych przedstawicieli jego. W osobach proroków poznajemy społeczeństwo. Ich nauka otwiera nam dzieje narodu.

Postacie atoli żywe proroków otacza mgła tajemnicza; oblicza ich ludzkie pokrywa maska dziwaczna. Kiedy bowiem nazwa, pod którą występują, łączy ich osoby ze wszystkimi zaklinaczami i wróżbitami ludów pierwotnych, nauka przez nich głoszona staje się punktem wyjścia i podstawą judaizmu a następnie chrystyanizmu. A nadto utwory ich z kilku wieków zebrane w jedną całość bez uwzględnienia chronologii, pomieszane razem bez zatrzymania imion autorów rzeczywistych, utworzyły chaos, dający się uporządkować tylko za pomocą wszystkich zasobów krytyki naukowej.

Postawienie więc proroków wobec dziejów, a przechowanych do naszych czasów ich utworów — wobec krytyki, mogło się stać rzeczą pożądaną. Krytyka taka prowadziła do możliwości oświecenia dziejowego osób światłem rzeczywistym.

Owoce krytyki tekstu były znaczne. Tak naprzykład, między innymi udowodniono, że tak zwana *Księga Zacharyasza* zawiera trzy odrębne zbiory przemówień proroków, pochodzących z trzech odrębnych epok hi-

storycznych, objętych dwuwiekowym co najmniej przeciągiem czasu. Autorowi żyjącemu w drugiej połowie VI wieku, zostały przypisane dwa zbiory inne, pochodzące z czasów o wiek i o dwa wcześniejszych, a należące do dwóch, czy też do większej ilości autorów, nieznanych z imienia, bądź też imienników późniejszego.

Również *Księga Izajasza* rozpada się pod względem formy na dwie różne części Pierwsza, złożona z 39 rozdziałów, zawiera krótkie ustępy bez żadnego planu z sobą połączone. Druga, mająca 27 rozdziałów, przedstawia artystyczną całość. Dalej, w te *Księdze* są połączone z sobą utwory, pochodzące z trzech różnych epok historycznych z przeciągu trzech-wiekowego czasu. Przy tem zaś, pomimo nadpisu *Księga Izajasza* i pomimo wstępnego wersetu, wskazującego wiek, z którego mają pochodzić przemówienia Izajasza — z czasów wskazanych w wersecie — Izajasza autentycznych, na ogólną cyfrę 66 rozdziałów jest tylko 27, co ze czterema rozdziałami, zawierającymi ustępy ze współczesnej temu prorokowi kroniki, stanowi mniej niż połowę całego zbioru, gdyż 31 rozdziałów. Na czasy dawniejsze o jedno stulecie — przypada dwa rozdziały. Na czasy późniejsze o dwa stulecia — 33 rozdziały.

Do otrzymania rezultatów tak dodatnich krytyki *Ksiąg Proroków* wielce się przyczynił postęp wszystkich nauk w przeszłym stuleciu. Odkrycie języka asyryjskiego, starszego od hebrajskiego, szersze i głębsze podstawy dało lingwistyce semickiej. Lingwistyka przez porównanie znaczeń pojedynczych wyrazów w językach, stanowiących jedną rodzinę, dochodzi do wykrycia pierwotnego znaczenia danego pierwiastku. Pierwotne znaczenie wyrazu stanowi o rzeczywistości jego znaczeniu w każdym języku. Zastosowanie do krytyki tekstu proroków tego pro-

cesu pozwoliło nie jeden wyraz, ciemny lub fałszywie dotychczas tłumaczony, należycie zrozumieć, nie jeden ustęp z powodu tego zagmatwany, należycie wyjaśnić.

Odczytanie pomników historycznych asyryjskich i babilońskich, odsłaniając dzieje autentyczne tych dwóch państw, do rzeczywistych rozmiarów sprowadza znaczenie w starożytności narodu żydowskiego, oraz wykazuje w dziejach jego dobę mityczną. Stanowcze odłączenie doby mitycznej od historycznej przyczynia się znacznie do wyjaśnienia samych dziejów.

Odszukanie pomników starożytniejszego niż hebrajskie piśmiennictwa, o parę tysięcy lat cofając w przeszłość dzieje kultury, pozwala dotrzeć do najwcześniejszych pojęć religijnych i odtworzyć pierwotną dobę cywilizacji. W niej właśnie spotykamy osobistości, odpowiadające w dziejach żydowskim prorokom.

Ludzie pierwotni wierzyli, że wszystko, co żyje, żyje wskutek tego tylko, że duchy w niem przebywają. Więc duchy są przyczyną, że jedne zjawiska są szkodliwe dla człowieka, inne dobroczynne, że ten przedmiot go kaleczy, tamten jest mu pożytecznym, że jedno zwierzę go rani i pożera, inne zaś mu jest pomocą w pracy, obroną w wypoczynku. Jaka mogła być przyczyna choroby dla człowieka pierwotnego, jeśli nie wstąpienie w niego szkodzącego mu ducha? Jaka przyczyna śmierci, jeśli nie pokonanie zwykle przebywającego w człowieku ducha przez mocniejszego a złośliwego przybysza? Więc przedmioty, co człowieka otaczają, zjawiska, co go przerażają lub cieszą, zwierzęta, które również jak człowiek lęgną się na ziemi, same przez się nie są złe ani dobre, nie są szkodliwe ani pożyteczne, lecz duchy, które wszędzie przebywają i rządzą wszystkim, co tylko istnieje.

I pozostałby człowiek pierwotny we wła-

snych swych oczach igraszką swawoli lub kaprysów owych duchów złych i dobrych, gdyby nie odkrył głębiej ich istoty, charakteru, skłonności, upodobań. Odkrył zaś to wszystko, poznawając dokładniej siebie samego.

Człowiek daje się zmiękczyć prośbami, przestraszyć pogroźkami, daje się nakłonić perswazyom, powodować stanowczemu wezwaniu, przytem dary wzbudzają w nim zwykle życzliwość dla obdarowującego; a gniew jego topnieje na dźwięki pochwał, zaciętość rozwiewa się przy okrzykach uwielbienia. Prośba pokorna i złożona z darów ofiara, energiczne zaklęcie i pochlebne słowa najeżona przemowa miały wkrótce stanowić oręż człowieka, bezbronnego wobec duchów złych i dobrych.

Dalsze wszakże i częstsze praktyki wykazały, że nie zawsze zaklęcia i ofiary doprowadzają do pożądanego celu. Gdzież miał człowiek pierwotny szukać wyjaśnienia tego zawodu? Wszak nie w istocie samych duchów. Raz je w wyobraźni stworzywszy, już w nie wierzył i je czcił; raz je chociaż tylko w myśli powołałszy do życia, już ich się obawiał, już je uwielbiał. Pozostawało mu tylko szukać przyczyn niepowodzenia, doznanego w sposobie złożenia ofiary lub wypowiedzenia zaklęcia. I znalazł je tam. Zawód spotykany przypisał niedokładności praktyki, nieumiejętnemu wzięciu się do rzeczy. Dokładność i umiejętność miały wszystkiemu zaradzić. Umiejętność polegała na przenikliwości w wyszukiwaniu skutecznych sposobów; dokładność zależała od ścisłości w wykonaniu znalezionych. Powstawały więc przepisy specjalne dla każdej potrzeby, szczegółowe co do samych czynności, drobiazgowo co do sposobu zachowania się przy nich wykonawcy i otaczającego go grona.

Ilość takich przepisów wzrastała w mia-

rę wprowadzania nowych praktyk, koniecznych dla zaradzenia wynurzającym się z biegiem czasu rozmaitym potrzebom. Komplikowanie się praktyk wymagało coraz dokładniejszego obeznania się z przepisami. Nakoniec, skuteczne oddziaływanie na duchy, wobec nagromadzenia się znacznego szczegółów rozmaitych i drobiazgów przy praktyce, stało się nie dla każdego dostępnem. Ludzie, zaprzątnięci czynnościami zwykłemi, już nie zdołali wykonywać z powodzeniem przepisów. Konieczność wytworzyła z oddziaływania na duchy odrębne zajęcie, nie dające się wraz ze wszystkiemi innemi wszystkim, jak inne, praktykować.

W procesie podziału pracy najwcześniej się wyspecjalizowało oddziaływanie na duchy, zarówno dla swej ważności w życiu, jako też i dla trudności w wykonywaniu. Za czem wnet wśród równych sobie i niczem się dotąd niewyróżniających pomiędzy sobą ludzi pierwotnych wyróżnił się i odosobnił ten, który się specjalnie owemu zajęciu poświęcił. Praktykowanie zaklęć wytworzyło *zaklinacza*.

Przypuszczony raz związek pewnych ludzi z duchami coraz szersze z czasem otwierał pole dla ich działalności. Bardziej ulubieni przez duchy i biegli w swej sztuce wskutek nauki, już bez zwykłych zaklęć obchodzić się w swych praktykach mogli.

Jeżeli człowiek za pomocą zaklinacza mógł nagiąć wolę duchów, zmienić ich postanowienie, mógł więc również zapragnąć czegoś się o swojej przyszłości dowiedzieć od owych duchów. Zaklinacze stawali się *wróżbitami*. Dla znających przyszłość nie było trudnego dojrzeć w terażniejszości, co dla innych wszystkich było zakrytem. Zaklinacze stawali się wszystko-*widzącymi*. Nakoniec oni, do niedawna słudzy duchów, następnie wybrani przez nich, ulubieńcy ich, zapomocą swych praktyk zgłębiwszy

tajemnice wszelkie, potrafili nad panami swymi, duchami, zapanować, ovladnąć nimi, ich potęgą dla własnych posługiwać się celów. Zaklinacze stali się *czudotwórcami, czarodziejami*.

Gdy z postępowaniem rozwoju kultury i władzy umysłowej w człowieku z osobnych duchów, przez odbicie się w ich stosunkach biegu spraw ludzkich, powstawali różni bogowie, dawniejsi ulubieńcy duchów stali się ulubieńcami bogów. Ta okoliczność jeszcze bardziej ich podniosła, jeszcze bardziej ich wyróżniła, jeszcze większą otoczyła powagą, okryła urokiem i tajemniczością.

Nie mniejszą też w każdym razie w dziejach narodu żydowskiego jak w dziejach innych narodów znajdujemy ilość czarodziejów. Lecz, co jest zupełnie oryginalnym, co stanowi jedyny i wyjątkowy wypadek w kulturze ludzkiej, to uszlachetnianie się ich ciągle wśród Żydów. Nigdzie w łonie samych widzających i czarodziejów nie dokonał się równie ważny przewrót, jak wśród widzających i czarodziejów żydowskich; nigdzie tak się nie umoralnili i do typu zwykłego człowieka, zdolnościami tylko i charakterem przodującego innym, nie zbliżyli. I gdy wśród innych narodów upadali pomału, nikczemnieli, aż doszli do roli guślarzy ulicznych, wśród Żydów wyrosli na mędzów stanu, poetów i mędrców narodowych.

Ostatnie ogniwa w ich uszlachetnianiu się przedstawiają prorocy, których nauka w redakcyi piśmiennej doszła do nas.

Uszlachetniając swego boga, podnosząc moralne znaczenie jego, nowi ci prorocy uszlachetniali się sami, sami sięgali wyżyn moralności społecznej. Odrzucili sztuki czarodziejские, gdyż jako czar działała ich nauka. Nie wychodzili ze szkół proroków, gdyż ich kształciła nie tradycja i rutyna, oparta na praktykach starożytnych,

lecz swobodny pogląd na życie i bieg spraw ludzkich. Zatrzymać jednakże nazwę musieli, gdyż ta utartą była w narodzie, dodawała przewagi ich radom, zapewniała głos na zebraniach. Zatrzymali również i formę zewnętrzną w nauczaniu, gdyż jak dawniejsi występowali w imię Jehowy, jak dawniejsi przemawiali jego słowami.

Uporządkowanie krytyczne *Ksiąg Proroków* pozwala na rozmieszczenie samych proroków w kilkunastu letnim okresie ich występowania w dziejach narodu żydowskiego podług dat chronologicznych. Daty chronologiczne pozwalają ułożyć następujący szereg proroków: Amos, Ozeasz, Zacharyasz I, Izajasz I, Micheasz, Nahum, Sofoniasz, Abakuk, Zacharyasz II, Jeremiasz, Ezechiel, Izajasz II, Zacharyasz III, Aggeusz, Malachiasz; a nadto, każdemu wystąpieniu każdego proroka nakreślić tło dziejowe, wystąpienie to ująć, niby w ramy, w wypadki dziejowe, które spowodowało to wystąpienie.

I. RADLIŃSKI.



JAN WILHELM DRAPER: *DZIEJE STOSUNKU WIARY DO ROZUMU*. — Przekład Jana Karłowicza. — Nakład Drukarńi Narodowej w Krakowie, 1903.

Z antykarskiego pyłu wydobyli wydawcy dzieło J. W. Drapera, na którem, pomimo klerikalnego ostracyzmu, wychowało się młode pokolenie pozytywistów i które do ostatnich czasów posiada pilnych czytelników. W dwunastu rozdziałach dobitnie i jędrnie scharakteryzował Draper wieczną rozbieżność, zachodzącą między dążeniami wyjaśnienia tajemnic bytu za pomocą pra-

cy umysłu a gotowych formuł nadprzyrodzonego objawienia.

W czasach rozpanoszonej reakcji hypokryzycznej i grasowania ról, niw i kronik rodzinnych dziękować należy za przypomnienie społeczeństwu dzieła, walczącego o wolność i nietykalność myśli.

Polemiczny charakter nie osłabia bynajmniej, wobec ogólnej metody badań, naukowego znaczenia dociekań; przekład czysty i poprawny, przedruk dokonany bez zmiany z drugiego wydania.

B. BRESZEL.



FRANCIS JAMMES: LE TRIOMPHE  
DE LA VIE.

Między licznymi maskami Vallotona jest twarz pogodna, okolona czarnym zarostem, człowieka młodego jeszcze, która dziwny wywiera urok. To twarz Francisca Jammes'a, jednego z najlepszych poetów francuzkich, a jedyne go dziś może na świecie poety idylicznego. Tak jest, idylicznego. W dziełach jego nie odurza nas duszna atmosfera buduarowa, przesycona wytwornymi perfumami, nie mrozi swą czystością powietrze samotnych szczytów, nie bije od nich ostry zapach potu i krwi wydziedziczonych, lecz ukojeniem splywa na nerwy ciepły aromat świeżo skoszonego siana. Możliwym jest ten nastrój dzięki temu, że Jammes życie całe spędził w ustroniu, u stóp gór pirenejskich, obcując najwięcej z wiecznie jednakową naturą, zdala od zgiełku tego Paryża, który dla poety jest również, jeśli nie bardziej, mitycznym, jak owe czarodziejskie

skamieniałe Chiny, do których uciekł znużony hypokryzyczną i kameleonową twarzą miasta europejskiego, druż Claudel. I wielu rzeczy nauczyła przyroda Jammes'a. Nauczyła go ona pojmować, że przeszłość nie powinna być wampirem, wysysającym z nas krew, że najstraszniejsze bóle przemijają, największe rany się goją, że na grobach rosną kwiaty, i że to jest dobrem. Na wiosnę szum drzew mówił mu, że nie myślą one o liściach, co zgniły ostatnią jesienią, użyźniając grunt, że nie skarżą się one na to, że zieleń ich świeża także z czasem zczzerwienieje, lecz że cieszą się swą terazniejszą mocą i pięknnością; w ciche letnie noce, gdy głosy ludzkie nie zagłuszają śpiewu przyrody, Jammes słyszał hymn na cześć miłości unieśmiertelniającej życie; jesienią liście spadające uczyły go umierać w piękności bez skargi; a płatki śniegu zimą gwarzyły, że całun, którym ziemię okrywają, to jeno kołdra ciepła, dająca kiełkować w głębi nowemu życiu, nowemu pięknu.

To wsłuchiwanie się w głosy przyrody dało Jammes'owi pogodę ducha. I wiele jeszcze nauczyła go natura. Nauczyła go przechodzić koło błota i krwi, koło nędzy i podłości, koło głupoty i kłamstwa, nie z oburzeniem, nie z pogardą, lecz z cichą litością i przebaczeniem. I nauczyła go ona kochać wszystko, co jest jej blizkiem, więc nie tylko rośliny i zwierzęta, lecz i ludzi prostych i szczerych, a także wielkie, dumne serca artystów. Dlatego to „Jan de Noarrim“ kończy się jesienią późną natury, lecz nową wiosną w sercu, przeczącą pozornej śmierci, która się zbliża w ten czas; dlatego „Egzystencye“, w których autor zebrał cały brud małomiasteczkowego życia, kończą się przebaczeniem — zapomnieniem. Połączył te dwie rzeczy w jednym tomie i dał im tytuł dumny a piękny: „Tryumf życia“.

Cóż więcej powiedzieć? Że forma choć prosta, a czasem nawet zaniedbana, ma tajemniczy urok, że obrazy przyrody i porównania są świeże i oryginalne, że nic niema w Jammes'ie z tej sztucznej naiwności, która tak często psuje nastrój poezyj Elskamp'a, lecz że przeciwnie czuć w nim niezmiernie kulturalnego artystę, który z pełną świadomością szukał i znalazł prostsze, czystsze formy życia i sztu-

ki, nic nie tracąc ze swej wrażliwości i subtelności. Ach, chciałbym, zamiast tych wszystkich słów dać wszystkim znużonym, wszystkim ze stygmatem bólów własnych i cudzych, przeżytych i przemyślanych, na czołe, wszystkim wreszcie szczerze miłującym sztukę, ten tom do ręki i rzec im: „Czytajcie, oto dobra książka i wielki poeta“.

AGNI.



## MISCELLANEA.

### A WINTER'S TALE (BAJKA ZIMOWA).

W cichym pokoju redakcyjnym pan Zabiąła ukończył dopiero co zwykłą swą kronikę polityki wszechświatowej, podpisał się, jak zwykle, literami I. Z., ponieważ na imię mu było Ignacy, złożył dzienniki berlińskie wraz z jednym londyńskim, które, jak zwykle, dostarczyły mu pozycyi konkretnej, *positive values*, jak mawiał, dla własnych wniosków, przepowiedni, przestróg a także krytyki, albowiem miał umysł skłonny do uogólnień i dydaktyki, — i spojrzął przez okno na niebo. Początek grudnia był pogodny, niebardzo mroźny, lazurowy i złocisty. Pan Zabiąła włożył na siebie obszerne niedźwiedzie o ciemnogrnatowym matowym wierzchu, nałożył cylinder, wciągnął na ręce wataniane rękawiczki, gdyż lubił w odzieży swojej pewien komfort — wyraz ten wymawiał z angielska „kamfot“ — i wolno wyszedł na ulicę. Stąpał nie spiesząc się, trotuarem suchym — śnieg jeszcze uie spadł tej zimy. Powietrze spokojne, świeże, podniecało lekkim mrozem skórę. Słońce kąpało ulicę w nieważkim, przenikliwym i migającym blasku i muskało ledwie wyczuwalnem złudzeniem ciepła. Pan Zabiąła spoglądał, nie podnosząc głowy, powyżej krążącego tłumu ulicznego na łamaną linię dachów, mrużył oczy od promieni słonecznych, chwytając źrenicą wpadające doń iskierki złote, i doznawał w całym ciele nieokreślonej przyjemności, niby błogości fizycznej, niby lekkości duchowej, którą w umyśle określał jako *well being*. Nad nim wisiała przezrocza bez skazy gaza niebieska atmosfery, i gdyby nie lekcewałby niektórych poetów, zwłaszcza francuz-ostatniej doby, odnalazłby niechybnie w pamięci słowa Mallarmé'go: „pogodna ironia wiekuistego lazuru“. W sobie czuł spokój krzepki, równowagę uczuć i władz umysłowych, panowanie nad niemi, rozumienie wielkich i widocznych wydarzeń świata w związku z nikłemi sprawami życia powszedniego.

Nigdy też może mniej nie żałował, że trwał w starokawalerstwie, a raczej nigdy może nie był więcej z tego zadowolony. I w tem ukontentowaniu widział sprawdzenie

sprawdzenie swego planu i uznał trafność rzutu swej ręki w osiągnięciu przewidywanego celu. Ujrzał jasno, że w obecnym swym nastroju, nabrzmiałym zdrowiem i spokojem, tkwiło potwierdzenie indukcyjne jego apriorycznych założeń co do małżeństwa, — wprowadzie tylko a contrario. Nie posiadał dowodu, wprost bezpośredniego, z własnego życia zaczerpniętego, o ujemnych skutkach pożycia małżeńskiego; wniosował jeno ze stanowiska negacyi, z dodatnich skutków braku tego pożycia, o cierpieniu, z niego wynikającym. To rozmyślanie sprawiło mu nieprzyjemność — policzył — czworaką. Naprzód, powinszował sobie, że praktycznie, na sobie, nie doświadczył prawdziwości twierdzenia o małżeństwie, jako źródle niedoli, i że w ten sposób uniknął udręczeń, któreby mu uszczupliły sił fizycznych i osłabiły polot ducha. Powtóre, umysł jego doznawał satysfakcyi w odkryciu, za pomocą metody przeczenia, nowego dowodu na korzyść tezy teoretycznej. Potrzebie, sama logiczna konstrukcja rozumowania, tak przejrzysta i dobrze powiązana, z połyskami pozornego paradoksu, sprowadzała swym widokiem zadowolenie estetyczne. Poczwarte wreszcie, i to było najsilniejsze, przejrzał teraz nawskroś całą doniosłość pobudek moralnych, które w nateżeniu, wszystko dominującym, odniosły w nim zwycięstwo nad pożądaniem hymenu. W ciepłych promieniach etyki i w szyku tryumfalnym przesunęły mu się przed oczami racye jego starokawalerstwa.

Wolno idąc, pan Zabiąła z Niecałej wszedł do Saskiego Ogrodu. Sztuczny pejzaż miejski przerwał na chwilę dotychczasowy tok jego myśli i wywołał zestawienia historyczne, w których się zazwyczaj lubował. Staw już stężał pod sinozieloną szybą lodu, a nagie, ciemne, powykręcane drzewa sterczały dokoła wśród wyjałowionych, zczerniałych trawników i rdzawych, stwardniałych alei. W ogrodzie panowała względna cisza, a turkot i hałas ruchu ulicznego wydawały się dalekim i głuchym szumem. Tylko na gałęziach wysoko, wrzaskliwie darły się wróble. Natura niby zamiera — myślał pan Zabiąła — tymczasem przewidująco zbiera się w sobie. Letnie upały pędzą jej życie wciąż naprzód, cała jej moc rozrasta się bujnie, wszystko pnie się ku górze i rozpięra się wszczere; soki fermentują i naprężają włókna drzew i mięśnie istot żyjących, — i natura dochodzi do kresu, poza którym rozpoczyna się nadmiar siły, zuchwałość wzrosła, szaleństwo rozkwitu. Jest jakaś harmonica immanentna w przyrodzie, która wzbrania rozpraszać się tej orgii gorąca, wybujałości porywów roślin i zwierząt, chaosowi bezmiernego i ustawicznego rodzenia się, pomieszaniu nieskończenie olbrzymiejących kształtów i nateżeniu barw. Cudownie wprowadza ona umiarkowanie, porządek i wstrzemięźliwość. Mroźne oddechy zimy są upomnieniem rozsądku, nakazem wstrzymania się w biegu, poważną porą ochłonięcia, rozwagi i obrachunku, — nie obumierania właśnie, a wypoczynku i zaprowadzenia ładu. Pan Zabiąła spostrzegł, że to jest ideałem prawdziwie moralnego istnienia.

Te uwagi nad przyrodą były tylko symbolem i stosowały się raczej do dziejów ludzkich. Nowoczesne Niemcy np. doszły do wielkiej potęgi dlatego, że głęboko rozumiały doniosłość porządku i powolności i w karby żelazne wzięły niepohamowane zapędy upalne; gdy Francya, przeciwnie, osłabła, ponieważ z dolnych warstw wznosiła się tam ciągle nadmierna wegetacya przeróżnych pierwiastków chaotycznie i obłudnie, pięła się w górę ciągle, bez końca, — bez dobroczynnego wypoczynku tchnień zimowych.

To spostrzeżenie z fizyki dziejowej przerwało poprzedni wątek racyj moralnych



w sprawie małżeństwa — tylko pozornie. Myślenie pana Zabiały szło zawsze równym, metodycznym krokiem i pogardało koźlimi skokami wybryku po urwiskach wyobraźni. W tym też wypadku oba wątki wysnuwały się z jednego węzła poglądów na układ życia, rozumnej moralności najbardziej godny.

Te poglądy zasadnicze tryskały snopem iskier w rozstrzygnięciu konkretnej kwestyi małżeńskiej, z którą spotkał się oko w oko i, dodać zaraz wypadła, ostatecznie przed niespełną dziewięć laty. Gdy pan Zabiałą skupiał w tej chwili uwagę, ujrzał w pamięci wynurzającą się z gęstych już mgieł przeszłości — postać panny Justyny. I z wyżytn przedmiotowości prawie zupełnej, okiem wytrawnym, ogarniającem rozległe i ukryte powiązania zjawisk i dostrzegającym plan i zależność funkcjonalną postępów, patrzył na dawny swój stosunek do panny Justyny.

Podobała mu się. Była przystojną szatynką o włosach gęstych, gładko zaczesanych, i jasnych piwnych oczach. Uroda jej była niewątpliwie w jego pojęciu czynnikiem ważnym dla przyjemnego współżycia codziennego, dla chętnego ciągłego obcowania. Przypominał sobie tę twarz o czystej cerze, przesłaniającej obfite krążenie krwi, i rozwinięte kształty ciała, co było zapowiedzią, że organizm zdolny był spełniać bez trudu przeznaczenie kobiety. Przypominał sobie wyraźnie jej cokolwiek noprzód pochyloną głowę, kiedy chodziła, i wdzięk tego ruchu, lecz już nie mógł sobie wytlómaczyć celowego jego znaczenia. Sądził, że była łagodną i miał dowody, że była wykształconą. Tak, była łagodną i wykształconą, ale nie była łagodnie wykształconą. I w tym subtelnym, skoncentrowanym zarzucie mieściła się cała odpowiedź na wynikłą dla niego kwestyę.

Albowiem, zamiast w łagodność się odziewać, niby w płaszcz aksamitny o miękkich tonach, a wykształceniem ozdabiać, niby misternymi kosztownościami, miał właśnie przystrajać najwięcej swą kobiecość, — panna Justyna niweczyła oba dary przyrodzone: wyrabiała w sobie fanatyzm, który kaził słodycz charakteru, oraz kańcistość sądów i przekonań, które mąciły harmonię umysłu. Była mianowicie rzeczniczką ematycypacji kobiecej. Oskarżała mężczyzn o odwieczne upośledzanie niewiast, o wytwarzanie z nich istot bezwartościowych w życiu publicznem a uciemionych w życiu domowem, o obezwładnienie ich w pracy dla społeczeństwa i w społeczeństwie a sprowadzenie ich w rodzinie do stanu zwierzęcia domowego, o znieprawianie wreszcie przez czynienie z nich zabawy dla mężczyzn.

Pan Zabiałą z wielką niechęcią wysłuchiwał takich twierdzeń. Już nie mówiąc o zupełnie fałszywym świetle, w którym występowała w ten sposób prawdziwa rola kobiety, nie mówiąc już o zaślepieniu oczywistem, które zapoznawało względnie szczęśliwy stan ogromnej większości kobiet, takie wyposażenie, takie *frame of mind*, polegające na ciągłej niechęci, urazach, zarzutach i oskarżeniach, uniemożliwiało wszelką myśl o przyszłym wzajemnym zaufaniu, o stosunku życzliwym i spokojnie *affectionate*. W dodatku, wszystko to nie stanowiło tylko objekcyj teoretycznych, lecz prowadziło za sobą postulaty natychmiastowe.

Winiła każdego mężczyznę w szczególności i przypisywała jego osobistej złej woli rzekomo okropne położenie kobiet. Godziła płomiennem oskarżeniem w braci, ojców, mężów, synów — o ciemnienie siostr, matek, żon, córek. Piorunowała na nich, że ho-

dowali wolne ptaki na drób gospodarski. Pan Zabiąła widział jasno w tych wszystkich zwrotach ukryty błąd: jakoby upośledzenie i poddaństwo kobiet, w istocie urojone przez Stuarta Milla, miało istnieć dlatego, że każdy mężczyzna tak daleko, jak jego ręka sięga, stwarza je i utrzymuje. Ponieważ pan Zabiąła w rozumowaniu lubił formę dyalektyczną, wpadł jednocześnie na odwrotny tamtemu i z nim się wiążący fałsz: jakoby obecny stan kobiet, sprowadzony przez złą wolę mężczyzn, mógł być przez dobrą ich wolę zmieniony. Pojmował przeto, dlaczego wywody panny Justyny były nie tylko krytyką, lecz i exhortacją.

Ale w obu wypadkach były to rafa, o które rozbijała się nawa projektów matrymonialnych. Owa krytyka i owe nawoływania, ogarniające cały ogół mężki, skierowane były w rozmowach, rzecz naturalna, do pana Zabiąły bezpośrednio i trafiały w jego osobę. Jeszcze w tej chwili, gdy rzeczywistość ich pozostała już tylko iluzyjną, bo była jeno wspomnieniem, doznawał wyraźnej i dojmującej przykrości. Nie holdował samoanalizie i nie uznawał pożytku z wsłuchiwania się w szmery swych wzruszeń, a jednak wyczuwał składowe ich pierwiastki: był dotknięty w swej prawości człowieka bezwzględnie moralnego, któremu przypisują postęпки hańbiące; był dotknięty przez zarzut cynizmu, wygodnie spożywającego owoce czynów notorycznie brutalnych; był zraniony w godności człowieka ucivilizowanego, któremu przypisują sposób życia barbarzyński; człowieka światłego, którego oskarżają o tłumienie rozwoju umysłowego; człowieka zasad humanitarnych, któremu rzucają obelgę podtrzymywania niewolnictwa; człowieka dobrze wychowanego, którego podejrzewają o chęć konkretną kupienia sobie w żonie niewolnika. Wreszcie, doznawał przykrości wyższej kategorii, mianowicie niezadowolenia ideowego, na widok niesprawiedliwości, popełnianej przez fałszywy pogląd i mylne wnioskowanie, przez jakieś *reasoning run wild*.

To sprowadziło myśl jego znowu do zimowego pejzażu, który w sposób dyskretny i układny roztaczał wokoło Saski ogród. Powrócił do poprzednich analogij, które mu nastroczyła pora grudniowa. Istotnie! w zaciętrzewieniu się panny Justyny znać było brak owych błogich w skutkach powiewów chłodniejszych. Oskarżenia i wezwania zdradzały się w temperaturze gorącej, niby wegetacja upalnego lata, właściwie nie lata, lecz jakiegoś podzwrotnikowego klimatu, niezmiernie żarem dyszącego. Bodaj krótkie tchnienie mroźne byłoby tu nieocenione. Toć oczywiście jest, że cała ta surowa krytyka mężczyzn i cała ta natarczywa a gwałtowna apelacja do moralności i całe to uporczywe i namiętne żądanie zmiany – wynika z nieporozumienia.

Przypuściwszy, że położenie to jest opłakanem – i dyalektycznemu umysłowi panna Zabiąły ukazała się w tej chwili radosna antyteza w postaci licznie uśmiechniętych kobiet – przypuściwszy to jednak, zajęcie przecież i stan kobiet muszą być i są takie, jakich wymaga samo życie obecne. Mężczyzna pracuje poza domem, kobieta musi być w domu; z tego kardynalnego założenia płynie wszystko, bo gdy sferą mężczyzny *muszą* być najrozmaitsze gałęzie pracy publicznej, kobieta *musi* pielęgnować ognisko domowe. A kiedy stan rzeczy społeczny się zmieni, a raczej, kiedy pocznie się zmieniać – tu pan Zabiąła podniósł oczy na rozchylone poza konarami drzew niebo, niby na majaczące daleko przeznaczenie ludzkie – wtedy stan kobiet będzie inny niż dzisiaj, będzie musiał się zmienić. W takich razach bieg dziejów posuwa się naturalnie, nieznanie, zrozumu-

miale dla wszystkich i spokojnie, na to nie trzeba reformatorskiej gorączki emancypacji. Dzisiaj płomień takich niewiast, ich *foolish pride*, jest zarówno błędem rozumowania jak i niesprawiedliwością względem mężczyzny.

I podobnie jak w mroźny dzień zimowy żwawy ruch ciała popędza krew w żyłach, rozgrzewa członki i ożywczo podnieca skórę, tak umysł pana Zabiąły, ogarnięty dotychczas chłodem refleksyi, uderzył naraz szybszem tempem i doznał subtelnej przyjemności wyzwalającego się ciepła. Wśród rozmyślań, naogół raczej smutnych, było to mgnienie zadowolenia. I ta jasna chwila przelotna dotknęła racyj, które brzmiały mu w duszy współczuciem.

Albowiem panna Justyna, na mężczyzn rozgoryczona i względem nich surowa i wymagająca, nie czułaby się w pożyciu z nim szczęśliwą. Jej poczucie rzekomej krzywdy, jej ideały emancypacyjne sprawiły, że w małżeństwie z nim czułaby się ofiarą typową. Życie jej byłoby w samym zawiązku zatrute, wszelkie nadzieje podcięte, radość zgaszona, ufność złamana. Wprawdzie stałoby się to za sprawą błędu i rozgorączkowanej imaginacyi, ale — stałoby się. A on, pan Zabiąły, jako człowiek, uznający się za normalnego, daleki był od zamiaru związania się z istotą na to, aby los jej uczynić pasmem niedoli. Wzdrygały się przeciw takiej perspektywie i jego zasady i jego natura, i, wreszcie, pewne przeczucie, uróżowione zlekka lubością, że pożycie z nim nie musi koniecznie być nieszczęściem.

I w innej, acz pokrewnej kwestyi, panna Justyna wyznawała doktrynerstwo niepomahowane. Pod tym względem również rozłam w poglądach obojga był głęboki i stanowczy, i tak pożądane zawsze *moral and mental affinities* niemożliwe.

Ona chciała, aby w dbałości o dziecko mieć na względzie tylko jego zdrowie, rozwój ciała, ćwiczenie mięśni i zmysłów, zaś charakter i władze umysłowe budzić jedynie i pozostawiać własnym drogom. To już poniekąd drażniło i oburzało. A więc nie trzeba dziecka przygotowywać do stosunków ludzkich, do otoczenia, w którym żyć będzie? Nie trzeba wpajać mu tych wszystkich nauk, które są nieodzowne dla każdego członka społeczeństwa? Czyż nie jest jasnem, że potrzeba tu tresury, wyszkolenia, systematycznego naginania uczuć i myśli w kierunku pożądanym? Czyż nie należy od najmłodszych lat ulepić człowieka takim, jakim być musi według modły wymaganej, aby mógł w przyszłości zająć stanowisko, odpowiadające jego pochodzeniu? Trzeba bowiem pozostawać w swem otoczeniu i trwać na posterunku, który los wyznacza. Jest to wskazane i z punktu widzenia przezorności indywidualnej i z wyniosłości rozumu szerszego, poniekąd dziejowego, który w historii narodów podobną prawdę ujawnia. Tak — myślał pan Zabiąły — tylko nie wychodzić ze swego kręgu, ze swej komórki społecznej, ze swej najbliższej sfery, tradycyi, pochodzenia!

Tu znowu powrócił do porównania życia z porami roku i trafność tej analogii, jej *juste juxtaposition*, odnalazł jeszcze w dobroczynnym konserwatyzmie zimy. Ona właśnie pogrąża przyrodę w ciszy i uspokojeniu i każe wszystkim tworom ziemi, krzewom, drzewom i ziarnu wytrwać w cierpliwości i skupieniu, tkwić w tem samym miejscu gleby — aż do czasu, kiedy rozkwit wiosenny każe szukać nowych dróg, rzuca pędy,

roztaeza liście i gałęzie w przestworzu, puszcza dalej i szerzej korzenie i wreszcie posyła na wsze strony z wiatrem nasiona.

Pan Zabiąła wdzięcznem okiem ostatni raz spojrział na stężałą w zimnie naturę Ogrodu, — wdzięcznem za naukę poważną i głęboką, jaką dawała tym, którzy patrzeć umieją, i — wyszedł na Królewską wprost kościoła ewangelickiego, podążając do cukierni na czarną kawę i gazety francuzkie, których redakcyja nie otrzymywała. Chciał właśnie przejść przez ulicę, ale, jak gdyby wzrokiem odprowadzając niktący korowód refleksyj, obejrzał się jeszcze na czarny, nieruchomy gąszcz ogrodu, drzemiący w czystem, turkusowo-złotem powietrzu, i dostrzegł tuż przy murze, koło sztachet, małego, nędznego chłopczyne, brudnego i obdartego. Dzieciak wtulił głowę w łachman kołnierza, zgrabiła, czerwone ręce pchał pod samą brodą w wyszarpane rękawy, pociągał nosem i — szlochał. Nabrzmiąła od płaczu i zimna twarz, umorusana w arabski przez płynące łzy, raz po raz zadzierała się do góry od krótkiej i gwałtownej czkawki, która nagle w dół ściągała kąty rozszerzonych ust i wyprężała w skurczu ptasią szyję. Pan Zabiąła począł wypytywać malca o przyczynę płaczu, kilkakrotnie, w rozmaitych formach stylu, odgadując takie lub inne powody, lecz słyszał wciąż tylko kurczowe łapanie tchu, dławionego czkawką.

— Może głodny jesteś? Co?

Po przez drgawki oddechu usłyszał:

— A bo nie?

Pan Zabiąła się zawahał. Sięgnął ręką do kieszeni, ale w tejże samej chwili ręka, znieruchomiona od natłoku znieścacka walących się zasad i względów, ostrzegających przed nierozwagą, nie zdążywszy odpiąć guzików futra, zaniechała rozpoczętego gestu. Znowu jednak cofnęła się ku kieszeni, aż pan Zabiąła, dbały zawsze o konsekwencye wszelkiego raz uczynionego ruchu, ściągnął rękawiczkę, odwinął palto, wyjął z portmonełki dwadzieścia kopiejek i ofiarował je chłopcu. Biorąc pieniądze, malec na chwilę przestał łkać. Pan Zabiąła dalej pytał:

— Kto ciebie tu zostawił? Matka?

— A może nie matka? Ucił! — powieda — poszed precz!

— Dlaczego zostawiła? Nie chciałaś słuchać?

— A tak, słuchać! Powieda — kiej głodnyś, a to proś — poszed precz na ulicę — proś, to ci dadzo-o-o!

Zawył od świeżego przypływu żalu.

— No, przecież teraz już masz za co kupić sobie jedzenia, czegoś więc dalej beczysz?

— Bo mi się jeść chce.

— To kup sobie kiełbasy i bułek. Jakiś ty niemądry. Idź, o, tam, do sklepu i kup sobie...

— Tak, kup! A matka mnie ubije!

— Dlaczego ma cię bić?

— A co? nie?

— Rozumie się, że nie. Dlaczegożby miała bić?

— A juści, dlaczego! Powieda: a nie przynieś do dumu piniendzy, to ci dam!

Pan Zabiąła i temu zaradził; wyjął złotówkę, kazał chłopcu zanieść ją do domu, a za poprzednio podarowaną monetę kupić zaraz jedzenia.

— No, już nie płacz i ruszaj!

Chłopak, mocno pociągnawszy nosem, zwolna poszedł, szurgając po trotuarze wielkimi, dziurawymi butami.

Pan Zabiąła czuł dobrze popełnioną nieostrożność. Wiedział, że jałmużną utwierdził matkę w przyuczaniu dziecka do żebrania. a chłopakowi pokazał, jaki sposób jest skuteczny w wyłudzeniu groszy od przechodniów. Wiedział, że wogóle filantropia uliczna jest nieprzyjaciółką wszelkiej poprawy bytu nędzarzy, i zresztą rzeczywiście wahał się z początku, gdy sięgał do kieszeni. Jeśli jednak ten czyn naganny popełnił, to rozumiał, że w danej chwili był on złem najmniejszym. Przemknął mu bowiem przez głowę zamiar zajęcia się losem dziecka, — zamiar, którego urzeczywistnienie — przeczuwał — byłoby już złem bezwzględem. Teraz, kiedy znowu szedł ulicą, a niedźwiedzie futro pobłyskiwało w słońcu pięknym włosom, uzasadniał sobie ten pogląd z jasną świadomością. Jak zwykle u niego, racje nie występowały w nieładzie improwizacyjnym, lecz nizały się równo na nic poprzednich wniosków. Ukazywały się one w czystych szatach dbałości o dobro bliźniego i wymownymi usty broniły dostrzeżonej intuicyjnie prawdy.

Nikt nie ma prawa — myślał pan Zabiąła — odbierać dziecka rodzicom. Nie ma go nawet wtenczas, kiedy posiada ich zgodę. Trzeba pozostawić im możliwość wykonywania obowiązku względem potomstwa. Dziecko, wyrwane ze swego przyrodzonego otoczenia, byłoby dla niego stracone; tymczasem nie na dezercyi z placówki życia, przez los wskazanej, polega najgłębszy sens czynów ludzkich, lecz na wytrwaniu, na pracy tam, gdzie kto się urodził. W taki właśnie sposób najuboższe sfery wznieść się mogą o własnej, z wewnątrz ich pracy sile, o własnych trudach, a nie przez zbiegostwo. I cóżby się stało, gdyby dzieciaka wyrwać z jego naturalnego otoczenia? Tu pan Zabiąła, odwróciwszy medal kwestyi, znalazł potwierdzenie swej tezy. Rodzice zostaliby od razu zdemoralizowani; pozbawieni ciężaru odpowiedzialności za przyszłość chłopca, staraliby się, przeciwnie, całe brzemień życia na niego zwalić i jego wyzyskiwać. Wreszcie pan Zabiąła nie mógł przecież zupełnie pominąć hipotezy, że chłopiec, pozostając we własnej sferze, być może, zdołałby zostać pożytecznym rzemieślnikiem, gdy przeniesiony w sztuczną dla niego atmosferę, kto wie, czy nie powiększyłby tylko zastępu inteligentnego proletaryatu.

Pan Zabiąła szedł zwolna ulicą, a w głowie błąkały mu się cienie postaci panny Justyny i małego obdartusa, i począł dumać o dziwnych zrządzeniach losu, który każe ludziom ustawicznie się wymijać, niby okrętom, snującym się w nocy na morzu, owym *ships that pass in the night* z tytułu słynnej angielskiej powieści, którą niedawno czytał.

A z nad ścieśnionych szeregów domów błady błękit nieba spoglądał ciągle z zimnym uśmiechem i przypominał nieznanemu panu Zabiąle słowa Malarmé'go: „pogodna ironia wiekuistej lazuru“.

WOJCIECH WARA.

## Kronika Sztuki.

## ŻYCIE DRAMATU (Kroniki).

Na początku dramatu — był taniec i śpiew. 15 lipca 1903 Paryż, Komedia Francuzka. Molière: „L'École des femmes“ i Scribe: „Bataille de dames“.

We wilię wyjazdu z Paryża należy złożyć pożegnalną wizytę babci Komedyi, w jej à l'américaine odnowionym pałacu Moliera. Ah, moje dziecko, Corneille, Racine, Molière! Zapomina Babcia o Scribem. Ah, moje dziecko Scribe, Mariveaux. I Mariveaux!

— Jutro jadę do Warszawy, proszę babci.

— Dobrze robisz, moje dziecko, ah, Molière, Scribe, Mariveaux!

— Jak zdrowie drogiej babci?

— Dziękuję ci mój chłopcze, nieźle, nieźle, tylko apetytu nie mam i Claretie na starość dostał modernistycznego zajączka. Ktoś mu napłócił, że mu dam dymisyę, jeżeli nie będzie u mnie lepiej niż u Antoina. Mój Boże, co za śmieszny dzieciak — czyż mnie idzie o kasę! — uwierzył, imituje Antoina. Przekładam, proszę: głupia plotka, masz całe moje zaufanie, mój dobry Claretie. Wiesz, co mi odpowiedział: Madame, il faut faire quelque chose pour ces jeunes! Nadał się i strzepnął czupryną.

— No to wystawiaj Sheridana, Szekspira, Sofoklesa, mój dobry Claretie!

— Nie, nie, to już stare, to już wszystko stare!

— Rozumiesz mnie moje dziecko: sprowadza mi Donnaya, Rostanda, i — cóż ty na to — Mirbeau, Mir-beau!

— Ah, par xemple, ca c'est un peu fort, Mirbeau!

— Takie czasy, mój chłopcze, takie czasy! Jedziesz do Warszawy — mój synu, nie zapominaj, qu'il faut faire quelque chose pour ces vieux! Takie czasy, mój synu! Lavedana wprowadził, Brioux upuścił mi na dywan maselnickę, oh, ten Claretie, ten Claretie! Jeszcze rok, tu verras, il va jouer

du Maeterlinck, ah, mon Dieu, mon Dieu — ce Claretie! C'est un très bon garçon, ça oui, mais il devient bête, bête!

— Mais non, grande-maman il n'est pas si mal que ça. Il ne donne pas du de l'Isle-Adam...

— Comment?! Mr. Villiers de l'Isle Adam chez moi?! Ah non, mon petit, tu sais! S'il ose seulement!

Claretie! Claretie! viens donc! vite!

— Me voici, madame.

— On dit, que tu veux m'emmener Mr. Villiers de l'Isle-Adam? Est-ce vrai?!

— Quelle idée, madame! Je ne l'oserais jamais. Et puis, si vous me permettez de le dire, je le déteste comme vous, madame.

— A la bonheur! C'est bien, mon fils, c'est très bien, très bien! Je suis contente de toi, mon bon Claretie. Pourtant, tu me dis, qu'il faut faire quelque chose pour ces jeunes, eh bien, je te permets de monter même du Wilde.

— Si vous en désirez, madame.

— Si j'en désire, ah, mon bon Claretie, si j'en désire! C'est toi, qui veux faire du Antoine.

— Mais non, Madame!

— C'est toi, qui veux faire „quelque chose pour ces jeunes“.

— Oui, Madame, et vous n'en êtes pas mécontente si j'ose...

— Tu oses trop, mon bon Claretie, mais qu'est-ce qu'on peut faire avec toi, je suis ton esclave! Je suis à ta merci!

— Madame daigne plaisanter.

— Ah, ah! Je me plains pas, mon pauvre Claretie. Mais je te répète encore: *je ne veux pas* voir chez moi Mr. Villiers de l'Isle-Adam!

— Oui, madame.

— Et maintenant, je vous présente mon petit fils.

— Monsieur!

— Monsieur!

— Il part demain à Varsovie, fais lui voir quelque chose; qu'il n'oublie pas complètement ma pauvre vieille maison...

— Oh, grand maman! Notre grand, magnifique, splendide palais! Il n'y a pas d'art hors de votre maison!

— Tais-toi petit flatteur! Je te connais bien, pas? T'es aussi de ces jeunes, qui s'en fichent de tout ce qui est sérieux!

— Et qui adore, qui aime follement tout ce qui est beau, et grand, et noble comme vous, grand maman chérie!

— Viens, que je l'embrasse! Il a du talent, ce petit, n'est-ce pas, Claretie? Pars alors et reviens—moi, je t'aime, moi aussi, mon petit; t'es un peu fou, comme pour moi, mais...

— C'est la jeunesse, c'est la jeunesse!

— N'est ce pas, mon bon Claretie! T'es jeune, toi aussi, hein?

— Eh, eh, madame, eh, eh!

— Et dis donc, qu'est-ce que nous avons ce soir?

— Nous-avons du Scribe et du Molière, madame.

— C'est bien. Vas les voir. Vas y. Tu vas voir qu'il est fou, Molière, oh, qu'il est fou! Il est jeune; il est toujours jeune, toujours beau, comme Claretie, eh, eh, eh! Il faut-être jeune, tout est jeune aujourd'hui, que veux-tu, c'est la vie! Embrasse ta maman à Cracovie et au revoir, mon cher petit! Vas voir du Molière. Et raconte à Varsovie, qu'il est jeune, Molière, et la maison, nous avons des téléphones, des ascenseurs, des jeunes, tout est jeune maintenant, c'est la vie, quels temps, mon Dieu, quels temps! A demain, mon bon Claretie!\*)

d. n.)

J. A. KISIELEWSKI.

KANCELARYA AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI przesyła nam następujące Sprawozdanie.

Dnia 7 listopada 1903 r. odbyło się pierwsze po wakacjach posiedzenie Komisji do badania historii sztuki w Polsce pod przewodnictwem prof. M. Sokołowskiego.

P. Cercha przedłożył najprzód komunikat: „O najstarszych pomnikach katedry wrocławskiej“. Są nimi grobowcowe płyty z wapienia kanoników wrocławskich: Krystyna z Bolantowa († 1400) oraz Piotra Kuczborskiego herbu Ogończyk († 1512 r.). Płyta pierwsza, przecięta na trzy części i użyta na próg do jednej z kaplic katedry, wyobraża rytą postać z rękami do modlitwy złożonemi, ubraną w beret i popielicową almucyę. U stóp jej herb Rawicz. Wzdłuż czterech boków płyty biegnący, gotycki, minuskułowy napis mówi nam o nazwisku, godności i dacie śmierci zmarłego. Z płyty drugiej, przeciętej również na trzy części, (nieznanej Starowolskiemu ani Niesieckiemu), zachowały się tylko dwie, osadzone dzisiaj w ścianie muru otaczającego seminarjum duchowne. Środek grabsztynu tego zajmował prawdopodobnie herb ryty, jak tego, domyślać się każą widoczne dziś jeszcze zdaniem referenta ślady konturów tarczy herbowej. W katedrze zachowały się prócz tego trzy fragmenta niedających się bliżej oznaczyć grobowców, w wspomnianym murze zaś umieszczono nadto — dzięki zapobiegliwości X. prałata Chodyńskiego — tablicę z czarnego marmuru, wyobrażającą „drogę jerozolimską“, którą ś. p. Wład. Łuszczkiewicz uważał już za zaginioną.

Sekretarz przedłożył następnie dwa komunikaty nadesłane Komisji.

\*) Ciąg dalszy, obejmujący czas od lipca do grudnia (w Warszawie), odkładamy do nast. zeszytu.



W jednym omawia p. Józef Zieliński z Łążyna srebrny lawaterz, przechowywany w skarbcu kościoła parafialnego rz. kat. w Nieszawie nad Wisłą. Piękny ten zabytek sztuki złotniczej, odznaczającej się bogatą kompozycją i — o ile z fotografii przez p. Zielińskiego dołączonych sądzić wolno — szlachetnością i subtelnością wykonania, przypisuje autor nadwornemu złotnikowi Zygmunta Augusta, Janowi Jakóbowi Caraglio.

W drugim komunikacie podał p. Maryan Wawrzeniecki z Warszawy illustrowany rysunkowymi planami opis romańskiego kościoła w Głbłach.

P. Chmiel przedstawił wreszcie udzielone mu przez p. Dr. Artura Benisa trzy odpisy aktów, zaczerpniętych z Metryki koronnej a obejmujących serwitorki artystów.

Pierwszy z nich, z r. 1570 wydany jest dla Gabryela Domaratha, drugi z roku 1663 dla Jana Alexandrowicza, malarza lwowskiego, trzeci z r. 1677 dla Jana Flügel, malarza gdańskiego.

Osoba Gabryela Domaratha była dotychczas nieznaną. W r. 1570 król Zygmunt August przyjmuje tego rzeźbiarza rytownika drogich kamieni w poczet królewskich artystów i wydaje mu serwitorki i przywileje, jakich używali nadworni artyści i rzemieślnicy. Przywilej zaznacza, że Domarath posiada: „industriam et in sculpendis perpoliendisque unionibus et lapidibus praetiosis in arteque sculptoria non vulgarem peritiam a dalej, że sztukę rytowniczą wykonywać może wszędzie i to tak w materyale zwykłym jak i w kamieniach szlachetnych, wyrzynać gemmy i t. d. oprawiać w złoto i srebro, jak również wyrabiać i naprawiać wszelkie naczynia i ozdoby złote i srebrne. Jest więc Domarath rzeźbiarzem-rytownikiem a zarazem złotnikiem.

Drugi chronologicznie przywilej z r. 1663 dla malarza Jana Alexandrowicza, znany jest w krótkim streszczeniu polskim podaniem przez Rastawieckiego w „Słowniku malarzów“ p. T. III. str. 108—9. Rastawiecki uważa tego Jana Alexandrowicza za malarza lwowskiego, nie podaje jednak żadnych na to dowodów. Nie ma również o nim wiadomości w materyałach archiwalnych do malarzy lwowskich, zebranych przez p. Władysława Łozińskiego z aktów archiwum lwowskiego („O lwowskich malarzach XVII w. w Spraw. Kom. hist. sztuki 5. V str. XLVII“). Ogłoszenie przeto przywileju serwitorki król., nadanego temuż artyście, może stanowić punkt wyjścia w poszukiwaniach archiwalnych i badaniach dotyczących Alexandrowicza

Trzeci wreszcie przywilej z r. 1677 dla Jana Flügel, malarza, wymienia, że Flügel był mieszczaninem i patrycyuszem gdańskim, oraz, że był „w sztuce swej malarskiej gruntownie wykształcony“. W Gdańsku też zapewne posiadał swoją pracownię.



MUZYKA „HISTORYCZNA“ — p. A. POLIŃSKI — MUZYKA SŁOWIAN I WIELKA MUZYKA NIEMIECKA. — GŁOS, ŚPIEW, J. NIEKRASZ, AINO ACKTÉ, FR. d'ANDRADE, M. BATTISTINI, BANDROWSKI, ZAWIŁOWSKI, ALMA, — ZYGFRED — MANFRED — FAUST — WIRTUOZI — J. ŚLIWIŃSKI — CZAJKOWSKI — NIKISCH I ORKIESTRA.

Przez estradę Filharmonii Warszawskiej od ostatniego sprawozdania przesunęło się w tym sezonie sporo muzyki i artystów. Muzyka wśród sztuk, tak jak matematyka wśród nauk, jest co do formy najbardziej wszechludzką, ma swój jeden język, którym przemawia do wszystkich. Inne sztuki są bardziej ograniczone, skrępowane, przykute do narodu, do miejsca, ta przez język, ta przez materyał; muzyka tych trudności nie ma, przenosi się łatwo; dla muzykalnego ucha, przy ogólnej kulturze, nie ma przeszłego czasu i przestrzeni, nie ma odrębności narodowych; polak rozumie doskonale piosnkę kastylską, ton starej szkockiej ballady, klasyczny hymn do Apollina, zawodzenia muły. Wszelkie podziały na czasy, szkoły, tu najmniej się udają, najmniej mają znaczenia, świadcząc, że muzyka, sztuka, nauka — wszystko, co dobre, jest właściwie jedna: że rozróżniać w niej można tylko utwory mniej lub więcej dobre, genialne, charakterystyczne. Nie może być żadnej „muzyki historycznej“ bo albo są to utwory celne i w takim razie są zawsze świeże i należą do terażniejszości, chociażby były napisane przed wiekami. Albo są to dzieła kiepskie — wtedy należą do historii, o ile ta uznaje za godne zajmowania się nimi.

Tymczasem Filharmonia urządziła w tym sezonie koncert, poświęcony dziełom muzyki historycznej polskiej, na programie którego figurowały utwory Moniuszki i Szopena jako dzieła muzyki historycznej. Stało się to pod patronatem pana A. Polińskiego, znanego długoletniego fabrykanta mydła na Warszawę i dziesięć gubernij królestwa; skutkiem tego powinien on wziąć na swoją wyłączną odpowiedzialność wszystko to, co na tym koncercie historycznej muzyki przeciwko sztuce popełniono.

Mówiąc nawiasem, biedna jest ta sztuka.

Bo jeżeli pan X lub Y ma np. tak „oryginalne“ „indywidualne“ etc. poglądy, pojęcia, sądy, jak: że rozpalone żelazo nie parzy, że skoncentrowany kwas siarczany można pić jak wodę, lub rycynowy olej jeść jako oliwę, to w krótkim czasie pada ofiarą swoich „oryginalnych“ poglądów i w następstwie wystrzega się ich jak ognia. Jeżeli zaś w sztuce ktoś przez lata całe wypisuje takie rzeczy, jak np. pp. Polińscy, Bandrowscy etc. to takiemu nic: może sobie mówić, pisać, że muzyka Wagnera to hałas, że Manet nie umiał malować, że Siemiradzki jest to mistrz nad mistrzami, że Poe był waryatem, że Chełmońskiego „koniki, błotka“ kwalifikują się do wyrzucenia z wystawy etc. — i nic. Sztuka na tem ogromnie traci — a im nic. Sztuka jest bezsilna, niema sposobu zemścić się tak, jak chemia, medycyna, na owych „poglądach“, „krytykach“ jakimś doraźnym, bolesnym skutkiem na nich samych: jedyne co zrobić może to — odwrócić się od nich, niby piękna kobieta od tych, którzy ją traktują nieodpowiednio.

Koncert „muzyki historycznej polskiej“, podczas którego kilku autorów

w szczególności zaś „instrumentowanych“ przez pana A. Polińskiego poprzewracało się w grobie — powinien by i dyrektorem zrobić jakąś przykrość, szkodę. Niestety nic się im nie stało: p. Poliński w dalszym ciągu pisze — a po koncercie był cały i zdrow — tylko trochę wzruszony.

Na całym świecie dziś uznano, że z punktu widzenia sztuki nie ma starości, zestarzenia się, że co było dobre, to jest niem zawsze, bez względu na lata. Wszędzie, ze wszystkich dzieł sztuki, starają się o ile możliwości zdjąć ów kurz, pył, którymi przysypali je ludzie i wieki, wszędzie starają się przedstawić, wystawić dzieło z przeszłości o ile można *najżywiej*, bez żadnych sztucznych pietyzmów, stylizmów bez atmosfery muzealnej: jest jedna tylko sztuka. „Vilanella“ z renesansu, jeżeli została skomponowana przez artystę prawdziwego, była wtedy rzeczą sztuki na prawdę i dziś nią jest w dalszym ciągu. W sztuce najlepiej zapomnieć o czasie i miejscu. W utworze sztuki, chociażby on pochodził z przed potopu, należy przedewszystkiem szukać *człowieka*; wykonywając ją dziś, trzeba wykonać podług dzisiejszych wymagań dobrze; wiedzy najpewniej trafimy w styl epoki, bo trafimy w człowieka, a ten w każdej epoce jest w zasadzie, w rzeczach ważnych, głównych, zawsze jeden i ten sam. Kto na obrazy prerafaelitów, starych kolończyków etc. patrzy przez archeologię, ten nie widzi nic prócz starzyzny, historycznego dokumentu. Kto na dawną muzykę patrzy przez jakieś zakopcone okulary historyzmu, ten nie może w niej widzieć muzyki. Rzeczy w ten sposób wystawione, jako sztuka są nudne — czy to jest pieśń, obraz czy dramat. U nas pokutuje jeszcze przekonanie, że starą pieśń można powierzyć drugorzędnemu wykonawcy, bo chodzi tylko o „poznanie“ jej a nie o rozkosz artystyczną. W Europie, na zachodzie, niedawno panowały również, takie poglądy, dopóki kilku ludzi, jak Cesi, Alicya Barbi, nie poczęli dowodzić, że ta starzyzna, ta muzyka „historyczna“ to nie dokumenty z przeszłości, którą dobrze jest poznać, lecz że jest to taka sama twórczość, jak i dzisiejsza, tylko trzeba umieć ją wybrać, umieć się na niej poznać i potrafić ją wykonać. I oto odżyły dziś prześliczne pieśni starowłoskie, starofrancuzkie, świeże, czyste, pełne życia, zupełnie zrozumiałe dla ludzi dzisiejszych, jeżeli zapomnieć o archeologii. Toż samo stało się z „dokumentami“ starej literatury, dawnego malarstwa, rzeźby.

Tymczasem u nas jeszcze od czasu do czasu, co dziesięć lat, urządza się koncerty z muzyki „historycznej“ polskiej, zamiast... czego? Zamiast przedstawić ją w postaci *żywej*, w wykonaniu doskonałym, takim samem, w jakim prezentuje się pieśni Pergolesich, Lully'ch etc. — t. j. bez żadnej historyczności. Bo albo dany utwór nie ma wartości artystycznej, w takim razie należy go pozostawić historykom muzyki i archeologom; albo ma wartość artystyczną, w takim razie należy go wykonać tak, jak wykonywamy Bethovena lub Szopena.

Dla tego też te tylko numery programu okazały się tem, czem są, które były dobrze wykonane. Tu należy wymienić istotnie bardzo ładną fantazyę na fortepian Podbielskiego (wiek XVII), wykonaną przez A. Michałowskiego, w której przez styl ówczesny, ogólnoeuropejski, przebijają jakieś odrębne tony, motywy pieśni polskiej: z jednego utworu sądzić wiele nie można. Ale jeżeli wymieniony muzyk zostawił więcej kompozycji stojących na wysokości „Fantazyi“ — to bezwarunkowo mamy do czynienia z artystą,

z indywidualnością, która kto wie w jakim stosunku może ona stanąć w sztuce ogólnej do tychże Lullych, Loellich, Couperin'ów, Martinich, Rameau etc., szczególnie ze względu na swój ton odrębny, przypominający Szopena, jeżeli nie jest on wypadkowym i jeżeli powtarza się w kompozycjach innych.

Mikołaj Gomółka jest więcej znany, chociaż przeważnie z nazwiska, jako poważny choralista, psalmista w wielkim, szerokim stylu. Na koncercie wykonano jeden jego psalm (77), z którego o twórczości jego wywnioskować nic nie można: nawet jako na dokument historyczny jest tego za mało. Za to „Spowiedź powszechna“ Wacława z Szamotuł (również wiek szesnasty), śpiewana już kiedyś, należy do utworów bardzo pięknych: rozległość, piękność brzmienia, pełność, ogromna, umiejętność używania głosów, piękny, silny frazes — wszystko to stawia „Spowiedź“ w rzędzie poważnych utworów sztuki: czuć w tej kompozycji, bardziej niż u Gomółki, pełnię złotego wieku, nasz renesans, epokę Zygmuntofską. Czuje się, że autor musiał mieć wtedy i wielkie, doskonale wyćwiczone chóry, kulturę muzyczną, że wykonanie nie miało nic wspólnego z historycznością, odbywało się w wielkim kościele, żywszym niż dziś, wobec dworu, cudzoziemców, zebranych z całego świata, wobec bogactwa i życia. Bliższe poznanie całej twórczości Szamotulskiego mogło by wykazać, w jakim stosunku jego muzyka stoi do włosów z epoki renesansu. Ale z góry można powiedzieć, że nie może on być naśladowcą: uczniem — naturalnie, ale takim, którzy swoim mistrzom zaszczyt przynoszą.

Świeży i miły był chór aniołów z dyalogu „Drzewo żywota“, wykonany przez chór żeński. Autorem Marcin Łaski (wiek XVI). I tu również zjawia się pytanie: czy takiego dyalogu nie należało by kiedy wystawić w całości? Bo jeżeli cały jest taki dobry, jak odśpiewany fragment, to bardzo wielka szkoda dla sztuki, że kryje się on dotychczas w rękopisie czy jakimś wydawnictwie nieznanem.

Co do innych rzeczy, wykonanych przez chóry, podnieść należy melodyę ludową z XVI wieku „Zakłutem się tarniem“, bardzo ładną.

Numery wykonane przez solistów nie miały nawet zadawalniającego artystycznego skończenia. Oba głosy — tenor i bas — brzmiały bardzo niewdzięcznie: dykcyja zupełnie niewyraźna, brzmienia ostre, emisya ciężka, nieustalona. „Vilanella“ Długoraja (wiek XVI) oraz naiwna, wodewilowa aria z „Nędzy uszczęśliwionej“ Macieja Kamieńskiego — nie wyszły prawie wcale — były odśpiewane za ledwie. Trochę lepiej wywiązywał się z zadania bas — niestety ani pieśń żołnierska Moniuszki, ani ludowa „dobra Kasia“ (wiek XVI) nie przedstawiły się słuchaczom właściwie.

Orkiestra zachowywała się na tym koncercie jak nigdy i... miała może najzupełniejszą rację. Naprzód kazano jej nieustannie wchodzić i wychodzić, przesiadać się dla ustąpienia miejsca chórom. Wreszcie miała ona do czynienia z utworami, co do których nawet tołumbasista miał minę ironiczną. Tyczyło się to rzeczy, ułożonych lub instrumentowanych przez p. A. Polińskiego.

Gdyby p. Poliński był sobie zwyczajnym amatorem, zbieraczem starych nut i dokumentów do historii muzyki, krytyka jego muzykalności, jego zna-

jomości instrumentów, głosów, orkiestry, stylów etc. była by łatwym państwieniem się nad dyletantem, któremu ostatecznie powinno się wybaczyć popełnianie „instrumentacyi“ wobec zasług i znaczenia jego jako zbieracza, szperacza etc. Niestety, p. Poliński dużo u nas robi w muzyce, jest krytykiem muzycznym w najpoczytniejszem piśmie codziennem, pod jego piórem przesunęły się od lat wszystkie wybitniejsze nazwiska w muzyce, wybitniejsze utwory. Co on z nich robi, niech mu tego niebo nie pamięta. Od najdawniejszych czasów czytanie jego krytyk i sprawozdań muzycznych sprawiało mi ból wewnętrznosci — i nie tylko mnie ale bardzo wielu. Dzięki bezbarwności, obojętności, nijakości tych krytyk, bezpośrednio nie szkodzi on sztuce — ale pośrednio bardzo, bo szkodliwym jest nie tylko ten, co na stanowisku odpowiedzialnym robi źle, ale i ten, co nic nie robi, chociaż robić by powinien. Tak powolne umuzykalnianie się Warszawy, pomimo obfitości muzyki, ma właśnie za przyczynę obsadzanie stanowisk krytyków i sprawozdawców — nie tylko w muzyce ale i wszędzie — ludźmi, którzy piszą krytyki dla tego, że... bo ja wiem, dlaczego?

Cała „instrumentacya“ p. Polińskiego może najbardziej zaszkodziła koncertowi, uczyniła zapewne z pięknych utworów rzeczy śmieszne. Taka np. „Melodya“ Mikołaja z Krakowa (wiek XVI): p. Poliński „instrumentując“ ją, trzymał się oryginalnej pozycyi, która mogła być doskonała na organy lub głosy, ale nie znał skrzypiec, którym powierzył partye — skutkiem tego pierwsze skrzypce musiały udawać altówkę, altówka wiolonczellę i t. d., wszystko było napisane co najmniej o oktawę za nisko: gdyby popełnił ten sam błąd w przepisywaniu na głosy, tenory musiały by śpiewać basem, a basy wchodzić w ziemię. Podobne rzeczy spotykamy w Bourrée, Polonezie, etc., dowodzą one, że p. Poliński pod względem uzdolnienia muzycznego, nawet jako zwykły amator, stoi bardzo nisko.

I pomimo tego p. A. Poliński poważa się pisać krytyki.

Zapewne dużo winy było w tem i po stronie dyrekcyi, która zapomniiała, że nie można zbyt nisko kłaniać się najpotężniejszemu nawet „powagom“, nie popełniając niegrzeczności sztuce. Pan Młynarski przy pulpicie miał miłą taką, jak gdyby dyrygował... utworami pana Polińskiego. Że nie mógł się nimi przejąć, tego za złe mu brać nie można. Ale że „Bourrée“ mogło być wykonane więcej stylowo, a Polonez bardziej z zachowaniem rytmu poloneza — to nie ulega wątpliwości.

Rozpisałem się więcej o tym koncercie, bo w szeregu koncertów, reprezentujących zagranicę, on jeden dotychczas był nawskroś swojski. Gdyby z niego sądzić o stanie naszej obecnej muzyki miejscowej — to wynik był by nadzwyczaj oplakany. Tak źle nie jest, choć nie jest dobrze; pod tym względem koncert ma cechy reprezentanta współczesnej naszej doby, która przedstawia się w sposób następujący: mamy doskonałych wykonawców solistów (J. Śliwiński, Reszkowie, Kochańska, Didur etc. etc.) wszyscy są u nas gośćmi — a mogli by być gośćmi... zagranicą. Kompozytorowie lepsi przeważnie siedzą zagranicą. Ta zagranica ich płaci — dobrze, bo my opłacić ich nie bylibyśmy w stanie. Na to zgoda. Ale włoski śpiewak, zebrawszy fortunę u obcych, wraca do swoich, bo mu tam dobrze, *jako artyście*. Toż samo niemiec, francuz. U nas tak się nie dzieje.

Koncerty historyczne, od czasu do czasu, pomimo zazwyczaj bardzo słabego wykonania, wskazują, że muzyka nasza — nie jest mała i tak mało ważna, jak to sądzić można z tego, co się z niej u nas gra i śpiewa. Przyszłość postawi tę sprawę inaczej.

sa sa sa sa sa sa sa sa sa sa sa sa sa sa sa

Mianowicie dziś najwyższą muzyką dla całego świata jest muzyka niemiecka. Po za tem istnieje w Europie jeszcze muzyka włoska. Po za niemi w ostatnich czasach urodziły się odrębności stylowe w Skandynawii, osobny styl francuzki jako dalszy ciąg muzyki Ludwików i inne. Ale obok muzyki niemieckiej z jej Bachami, Haydnami, Händlami, Beethovenami, Wagnerami etc.—to są drobiazgi.

Krytycy niemieccy bardzo wyraźnie, stanowczo wielką klasyczną muzykę niemiecką wyprowadzają z *chorału*, jako dalszy ciąg muzyki polifonicznej kościoła chrześcijańskiego, tradycyi starych przedrenesansowych, sięgając do pierwszych czasów chrześcijaństwa, Bizancyum i może do późniejszych czasów Grecyi. Jest to jeden ciąg, jeden nieustanny rozwój zasady polifonicznej w muzyce, zarówno co do tonów jak i instrumentacyi, na których opiera się dzisiejsza wielka, muzyka symfoniczna.

Ale obok tego, w muzyce istnieje drugi pierwiastek — jest to temat, pieśń, związana z rytmem, taktom, frazowaniem i innymi pierwiastkami muzyki.

Otóż mało komu wiadomo, że o ile polifonia dzisiejsza jest zdobyczą nawskroś niemiecką, przeszła istotnie przez chorał protestancki, o tyle tematyczna strona wielkiej muzyki niemieckiej jest prawie wyłącznie *słowiańską*.

Każdy bezstronny znawca muzyki, znając narodowe muzyki polskie, czeskie, ruskie, słowackie dziwi się nadzwyczajnemu bogactwu — nie polifonii ich, bo są one jednogłosowe, lecz obfitości i różnorodności rytmów, nastrojów, linii, wyrazu etc. Dumka, trepak, oberek, krakowiak, polka, byczek, duma, polonez, kołomyjka, kujawiak, mazur — następnie czeskie tańce, tak rozmaite, pieśni, piosnki, przyśpiewki etc. wesołe, skoczne, smutne, melancholijne, zamaszyste — co to jest w porównaniu z ubóstwem tańców, pieśni obecnych niemieckich, które kręcą się około sztajera—walca?

W wielkiej niemieckiej muzyce wpływy włoskie są bardzo nie znaczne: w tych miejscach, gdzie weszła muzyka włoska (czasem u Beethovena nawet), odrzyna się bardzo od poważnej, nastrojowej chorałowej polifonii upodobaniem do floritur, do wirtuozostwa gardłem i zewnętrznej pozy. Francuzi wpłynęli trochę na muzykę niemiecką — u Glucka swoim pseudoklasycyzmem w tematach — sentymentalizmem rokoko (madrygałów etc.) ale wpłynęły bardzo mało. Wpływy angielskie spotyka się w drobnych kompozycjach u Bacha, Händla i in. współczesnych. Wpływ Anglików, Hiszpanów, Skandynawii na muzykę klasyczną jest prawie żaden. Anglicy dali trochę form muzycznych (przez Händla i innych). Wogóle wpływy te nie wchodzą prawie wcale w rachubę.

Ale nowa era w wielkiej muzyce niemieckiej, która nastąpiła po Bachu, epoka *tematu*, po czasach polifonii, zawdzięca swe istnienie słowianom — przede wszystkim zachodnim. Zjawiła się ona wyraźnie w wielkiej formie poraz pierwszy w symfoniach J. Haydna.

Kwestya ta tego wpływu wymaga dużej osebnej, bardzo ciekawej rozprawy.

Ta nowa epoka w muzyce, to era jakiegoś pięknego, świeżego realizmu. Kto porówna z sobą np. *Matheus-Passion* Bacha, albo lepiej jeszcze jakąś jego fugę lub sonatę z którąś z symfonii Haydna, tego uderzy bezwarunkowo ogromna między nimi różnica — z Haydnem weszło do muzyki zupełnie coś nowego.

Mało pewnie komu wiadomo, że Haydn *tematy* do swoich symfonii czerpał od słowaków, że świat, który u Haydna siedzi ubrany w polifonię i instrumentację niemiecką, wyrobioną przez Bachów, to świat słowiański. Mozart i dalszy ciąg jego — Szubert — to pieśń niemiecka, dosyć uboga, monotonna. Haydn i jego odrębna muzyka — to pieśni słowiańskie.

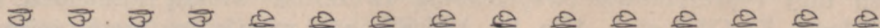
Taneczność, bogactwo rytmów, specjalna linia, nastrój.

Historycy niemieccy mówią o tem ale półgębkiem, nie kładą nacisku na to, że Beethoven do pierwszych sonat, do kwartetów „rozumowskich“ otrzymał tematy wielkorosyjskiej pieśni ludowej od Browna, od Razumowskiego. Jego szóstą symfonią, część ósmej — to dalszy ciąg nuty, tematów, nastrojów Haydna, wyciągnięty z dumy austriackich słowian, z Wiednia. *Prawie cała nowa klasyczna muzyka niemiecka opiera się na tematach i charakterze muzyki, pieśni, słowiańskich* — to jest nowa krew, która weszła i rozeszła się po skomplikowanym wielkim aparacie polifonii niemieckiej — a właściwie może germańskiej, odzywając się tam, gdzie zdawało by się że jest tylko klasycyzm i nic więcej.

Taż sama pieśń słowiańska, a w danym wypadku już specjalnie polska, zreorganizowała po raz drugi tę wielką muzykę niemiecką: reorganizatorem był Szopen, który wprowadził nie tylko nowe tematy, ale już nowe formy polifonii: interwale i odpowiednie im harmonie, które charakteryzują muzykę Szopena, wyszły z pieśni polskiej, popchnęły ją na drogę, na której następnie zakrólował Wagner.

I wszystko to dotychczas nazywa się muzyką niemiecką — co tylko utonęło w niemieckim morzu — a właściwie w wielkiej muzyce, którą obecnie przypisują sobie wyłącznie Niemcy.

Nam, *w naszym wyobrażeniu*, pozostało w muzyce tylko coś, co kwalifikuje się zaledwie do koncertów „muzyki historycznej“, urządzanych przy pomocy „sil“ miejscowych; nam się zdaje, że pozostały nam tylko pieśni ludowe w stanie surowym, nie wyzyskane — tymczasem dwukrotnie one zreformowały muzykę, wyeksploatowane przez sąsiadów. I tu okazuje się, że istnieją też same stosunki, co w sprawie bogactw naturalnych; drzewa, żelaza węgla, sił roboczych, czy to jest zagłębie dąbrowieckie, czy łomy żelazne, kopalnie czeskie etc. są i zjawiły się na ziemiach słowiańskich a korzystają z nich obcy.



Głos ludzki ma swoją bardzo starą tradycję jako najpierwszy, najdoskonalszy i zarazem najgorszy z instrumentów muzycznych, jeżeli się nie uda.

Starzy znawcy głosu i śpiewu utrzymują, że dawna tradycja szkoły upada, że głosy się psują. O ile to jest słuszne, trudno sprawdzić. Zdaje się jednak, że narzekający mają rację, szczególnie co się tyczy głosów męzkich, które na ogół wzięwszy, są cięższe. Nowoczesna muzyka stawia wogóle trudniejsze zadania śpiewakowi niż dawniejsza — wymaga nie tylko pięknego głosu, muzykalności, ale i dykcji, ekspresji, podatności na najrozmaitsze efekty charakterystyczne. Dziś basy, barytony, alty — głosy ostre, grube, które dawniej, w dawniejszej muzyce używane były do śpiewów zbiorowych, mają swoje partye, które głosami łagodnymi, wyrobionymi zastąpione być nie mogą. Taki np. Klingsor, Loge, Mime u Wagnera muszą mieć głosy charakterystyczne, ostre, nieprzyjemne. W niektórych pieśniach np. Schumana zbyt wielka ilość głosu wprost szkodzi. Dawniej śpiewak, który nie miał tenoru, pięknego „bel canto“, nie potrafił zrobić bez zarzutu mezza di voce, nie miał równego portamenta i t. p. prób szkoły, nie mógł być śpiewakiem solowym. Dziś każdy głos, mający dostateczną skalę i siłę, tem bardziej, jeżeli połączony jest z wyższą muzykalnością, może być doskonale zużytkowany a nawet przynieść sławę. Znani są śpiewacy, pieśniarze, którzy śpiewają bez głosu (np. Yvette Guilbert). Metod, sposobów śpiewania jest tyleż co śpiewaków; w dzisiejszych głosach, tym, którzy nie są dobrze wtajemniczeni w arкана emisji, zorientować się bardzo trudno: klasyczny śpiew spotyka się rzadko w stosunku do liczby śpiewających. Jeżeli dodać do tego ogromne dziś zapotrzebowanie głosów — to wszystko razem może się złożyć na wrażenie, że śpiew upada, że głosy się psują. Może jest w tem trochę racji — ale przekonać o tem mogła by tylko... statystyka.

Właściwie zaś stara, włoska emisja zdarza się teraz tak samo jak i dawniej, chociaż nie ma tak szerokiego zastosowania i zapotrzebowania. Natomiast obok niej przybyło wiele nowych sposobów emisji, nowych rodzajów głosu, tak że i pod tym względem istnieje rozwój.

Z estrady Filharmonii słyszeliśmy w ostatnich czasach kilka głosów, które warte są chociażby krótkiego omówienia: Aino Acte, d'Andrade, Battistini, Janina Niekrasz, Bandrowski, Zawilowski, Alma, Jeromin. Cudziwicz. Do tego dodać należy chóry.

Przedewszystkiem, co się tyczy repertuaru. Ten, wyłączając oratoria i opery, był u nas nadzwyczajnie ubogi. Zdawało by się, że przez sezon, przy tylu śpiewających, przed słuchaczami powinny by się przesunąć najważniejsze utwory z literatury pieśniarskiej obcej: główniejsze pieśni Beethovena, Mozarta, Schumana, Schuberta, Brahmsa, R. Wagnera, R. Straussa, Czajkowskiego, Griega, H. Wolfa?

Nic z tego — rzeczy te z estrady są u nas nadzwyczajnie mało znane. Pieśń Schumana należy do rzadkości. Battistini przyjeżdża i częstuje nas całym szeregiem nudnych aryj z oper, nieznanych nawet z tytułów, mających niby reprezentować współczesną twórczość włoską (Franchetti, H. Giordano, Fr. Cilea etc.). Pan Fr. Andrade robi prawie toż samo, śpiewa



liche ary z nieszczególnych kompozytorów oraz jakieś pieśni jemu tylko znanych twórców (F. Quaranto), nie mających w sobie nic życia, banalnych nudnych. Toż samo prawie robi pani Acté i inni.

Nie wiem,—są oni widocznie źle co do nas poinformowani. Może myślała, że jesteśmy przesyleni, jak Berlin, rozmaitemi „Liederabendami“, że nam trzeba czegoś zupełnie nieznanego, że pieśni Schumana, Brahmsa umiemy na pamięć. Może im powiedziano, że Niemcy są u nas niepopularni. Nie wiem, jak publiczność przyjęła by dziś np. „Widmung“ albo „Dichterliebe“, „Erlkönig“a“, „Abendempfindung“, „Grätchen am Spinnrade“, „Vergleichliches Ständchen“ etc.? Ale są przecież tłumaczenia francuzkie dobre. W ostateczności pani Acté mogła by je zaśpiewać po fińsku. Wina to zapewne dyrekcyi, która nie stawia śpiewakom żadnych pod tym względem wymagań i pozwala narzucać sobie repertuary przygodne. Gdyby to można było zmienić, występy wokalne były by nie tylko prezentacją głosu, nie zawsze, niestety ciekawego, ale zarazem i produkcją prawdziwej muzyki, która dotychczas, co się tyczy pieśni, u nas pozostawia bardzo wiele do życzenia.

Co się tyczy poszczególnych głosów — to te w większości wypadków same nie były dość wystarczające, aby zainteresować słuchaczy.

Pan d'Andrade i pani Acté mają głosy podobne — oba sztucznie zrobione, rozległe, silne, ale twarde; u obojga, przy rzutach silnych, wysokich, rozlega się w głosie niewyrobione, tubalne, ciemne u piersiowe. Są to głosy mało nadające się do wyrażenia uczuć, wzruszeń w sposób naturalny, głosy t. zw. zimne, z niezbyt wyrazistą, nierówną dykcją (np. u pani Acté spółgłoska *s* syczała na zębach bardzo przykro) skutkiem tego możliwy tylko w wielkich aryach t. zw. bohaterskich, śpiewanych mocno, posiadających wysokie nuty, duże interwale, urozmaiconą ciągłą linię melodyi i t. p. efekty. Piano w takim głosie jest sztuczne. Głosy takie nadają się do tytułowych ról dużych oper, są wytrzymałe. W pieśniach, o ile te nie są oparte na sztuce czysto śpiewaczej, są mniej wdzięczne. Pan d'Andrade nie estradzie zawdzięcza swój rozgłos, to pewna. W kostymie, przy grze głos ten w charakterystycznych rolach barytonowych może być bardzo dobry. Na estradzie, muzykalność śpiewaka nie przedstawiła się zbyt dodatnio ani w wyborze utworów ani w interpretacji. O wyborze już mówiliśmy. A interpretacja? Mógłbym ją darować: pomimo najszczerzej chęci, w śpiewie czegoś cenniejszego dosłuchać się nie można.

Pani Acté, przeciwnie, ma wiele smaku, muzykalności. Emisja jej jest sztuczna ale bardzo dobrze zrobiona i, pomijając owo *u*, daje głos dźwięczny, silny i przyjemny. Arya z klejnotami z Fausta Gounoda była odśpiewana klasycznie, toż samo arya z Alcesty Glucka. Ja osobiście nie bardzo lubię ową „stylowość“ przy wykonywaniu utworów Beethovena, Bacha, Glucka etc., która odbiera im życie i czyni podobnymi do pisma zbyt kaligraficznego, nie mającego wyrazu. Ale nie mogę tego ganić, bo jest to w swoim rodzaju dobre, byleby nie było obowiązującym dla wszystkich. Drobniejsze utwory (Masseneta, Vidala) miały również dużo finezyi, inteligencji śpiewaczej. W finlandzkiej kołysance dźwięczało i uczucie, chociaż wypowiedziane przez szkołę.

Pani Janina Niekrasz, w przeciwstawieniu do pani Acté, jest to głos z emisją łatwą, naturalną (jeszcze nie zupełnie skończoną) dźwięczny, świeży, sympatyczny. Brała udział w „Manfredzie“ Schumana (głos jednego z duchów) oraz odśpiewała kilka numerów solowych, z których najlepiej wypadła pieśń „Do oddalonej“ Beethovena, najgorzej zaś arya końcowa „Hrabiny“ Moniuszki, zbyt rozległa jak na głos śpiewaczki i zbyt trudna. W każdym razie materyał jest piękny, łatwy i podatny, szczególnie do pieśni.

Battistini jest u nas w Warszawie nie tylko znany ale i popularny. Od lat całych przyjeżdża do nas corocznie na występy w operze. W tym sezonie w przejeździe wyjątkowo obdarzył nas koncertem, za który otrzymał cały... legion kwiatów. Trzeba być tak szczęśliwym jak Battistini. Jest to śpiewak, szansonista, lekko liryczny, dowcipny, teatralny. Poważne pieśni nie udają mu się wcale, brak mu do tego i głosu poważnego, głębokiego, wyższej muzykalności i natury poważniejszej. Głos ma wyjątkowo wdzięczny, aksamitny; lekkie piosenki przypominają makaroniki, które przypadają do smaku pewnej wpływowej kategorii muzykalnej publiczności u nas, ale po za tem nigdzie więcej. Mylą się ci, którzy głos jego i emisję uważają za typowo włoską. Interpretacja, maniera jest włoska, najlepsza w rodzajach półkomicznych (nie w Hamlecie ani tem mniej w Wagnerze). Ale głos nie jest włoski, ani emisya. Jest to sposób wydobywania głosu jego własny, który ma sporo naśladowców. Głos ten doskonale nadaje się przedewszystkiem do lekkich recitatiwów i parlanda, które istotnie Battistini posiada w wysokim stopniu. Tam gdzie chodzi o długi, ciągniony, szeroki śpiew — tam jest skrępowany. Tam gdzie chodzi o wzruszenie, tam śpiewak musi je robić sztucznie, bo brak mu głębszych tonów piersiowych. Cały głos skoncentrowany jest w jego ogromnej krtani. Ma ładne cienkie nuty z głowy. Ale o ile chce wydobyć coś z piersi, głos brzmi ostro i wysilenie. Ale jest miły, naturalny, swobodny na scenie, na estradzie, ma włoski humor i dobroduszość. Jest bardzo przystojny, powierzchowność ma okazałą. Wszystko to w jednej, dwóch, trzech pieśniach robi przyjemne wrażenie. Ale długo słuchać go nie można: staje się wtedy za słodki, za ckliwy, banalny, wychodzi na jaw wąskość jego środków wokalnych i niedostatecznie głęboka muzykalność i t. d.

Ale w Warszawie jest lubiany, ma przyjaciół, szczególnie wśród płci nadobnej, czego naturalnie można mu tylko zazdrościć. O jego programie już mówiliśmy: z wyjątkiem kilku utworów, śpiewanych nad program, wszystkie inne można mu... darować.

d. n.

F. JABLZYŃSKI.



# BIBLIOGRAFIA.

## KSIĄŻKI I WYDAWNICTWA NADEŚLANE.

- Aleksander Mogilnicki.** „Z jasnych dni“. Poezye. Łódź. Rychliński i Wegner. 1903.
- Aleksander Puszkina.** „Eugeniusz Oniegin“, romans wierszem. Przetłóczył Leo Belmont. Kraków. Gebethner i Spółka. 1902.
- Rudyard Kipling.** „Takie sobie historyjki“. Przetłóczył z angielskiego Maryja Kreczowskiej. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1904.
- Wincenty Ogórek.** „W naszej letniej stolicy czyli przygody rejenta Nowakowskiego w Zakopanem“. Kraków. 1903.
- Andrzej Niemojewski.** „Listopad“. Łódź. MCMIV. Rychliński i Wegner.
- Alina Świdarska.** „Obok szczęścia“. Powieść współczesna. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1904.
- Leon Rygiar.** „Poezye“. Serya I. Warszawa. T. Paprocki i S-ka. 1904.
- Aleksander Brückner.** „Z dziejów języka polskiego“. Studya i szkice. Lwów. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego. Warszawa. Księgarnia S. Sadowskiego.
- Artur Passendorfer.** „Błędy językowe“. Wydanie drugie. Lwów. 1904. Warszawa. E. Wende i S-ka.
- Walery Gostomski.** „Z przeszłości i teraźniejszości“. Studya i szkice krytyczno-literackie. Wydawnictwo «Arkonii». Warszawa. Gebethner i Wolff. 1904.
- Andrzej Niemojewski.** „Stanisław Wyspiański“. Studium literackie. Warszawa. «Biblioteka Samokształcenia». 1903.
- Ferdynand Hoesick.** „Chopin. Życie i twórczość“. Tom I, zeszyt III i IV. Warszawa. Nakładem księgarni Ferd. Hoesicka. 1903.
- Mieczysław Karłowicz.** „Niewydane dotychczas pamiątki po Chopinie“. Warszawa. 1904. Skład główny w księgarni Jana Fiszera.
- W. M. Kozłowski.** „Zasady przyrodoznawstwa w świetle teoryi poznania“. Wydawnictwo «Przeglądu Filozoficznego». Wydane z zapomogi kasy pomocy dla osób, pracujących na polu

naukowym imienia dr. Józefa Mianowskiego. Warszawa. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka. 1903.

**Aleksander Brückner.** „Starożytna Litwa. Ludy i bogi“. Szkice historyczne i mitologiczne. Warszawa. 1904. Nakładem Księgarni Naukowej.

**Stanisław Cieszkowski.** „Kwestye drażliwe i niedrażliwe w oświeceniu idealisty“ Warszawa. Skład główny w księgarni G. Centnerszvera i Ski. 1904.

**Dr. Szymon Rindstein.** „Ludność wieśniacza ziemi halickiej w wieku XV“. Lwów. Z drukarni Wł. Łozińskiego. Warszawa, księgarnia E. Wende i S-ka.

**Stanisław Kramsztyk.** „Wiadomości początkowe z fizyki“. Książeczka pierwsza. Wydanie trzecie. Warszawa. Nakładem księgarni E. Wende i Ska. 1903.

**Pamiętnik Generała Jana Weysenhoffa.** Z portretem autora. Wydał Józef Weysenhoff. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1904.

**Dziennik Ludwika Szczanieckiego,** pułkownika Wojsk Polskich. Warszawa. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka. 1904.

**Adam Szelański.** „Śląsk i Polska wobec powstania czeskiego“. Lwów. Nakładem Księgarni polskiej B. Połonieckiego. Warszawa. E. Wende i S-ka.

**Generał Dezyd. Chłapowski** Z pamiętników. „Szlakiem Legionów. II, Wojna 1830—1831“. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1903.

**Ernest Lebon.** „Krótki zarys dziejów astronomii“. Przekład St. Bouffała z przedmową S. Dicksteina. Z 5 portretami. Warszawa. Nakładem księgarni E. Wende i S-ka. 1903.

**Albert Sorel.** „Sprawa Wschodnia w XVIII wieku. Pierwszy podział Polski i traktat Kainardżyjski“. Przełożyli z upoważnienia autora słuchacze Uniwersytetu Lwowskiego, z przedmową S. Askenazego. Wydanie nowe. Lwów. Nakładem księgarni H. Altenberga. Warszawa. E. Wende i Ska. 1903.

**Władysław Krakowski.** „Nowa Zelandya“. Podług źródeł angielskich. Warszawa. Księgarnia Naukowa. 1904. «Biblioteka Spółczesna».

**Emil Durkheim.** „Próba określenia zjawisk religijnych“. Tłumaczył S. Brzozowski. Warszawa. «Biblioteka Samokształcenia». 1903.

**F. Tönnies.** „Tomasz Hobbes. Życie jego i nauka“. Przełożyła z niemieckiego Ludwika Karpińska. Wydawnictwo «Przeglądu Filozoficznego». Klasycy filozofii, III. Warszawa. Skład główny u E. Wende i S-ka.

**Jau Karłowicz.** „O człowieku pierwotnym siedem odczytów“. Lwów. Nakładem Tow. Wydawniczego. Warszawa. S. Sadowski. 1903.

**Z filozofii nauk przyrodniczych.** Sześć wykładów wygłoszonych w auli uniwersytetu w jesieni 1902 roku przez profesorów Jagiell. Wszechnicy. Wydał i przedmową opatrzył Dr. Maurycy Straszewski, zw. prof. filozofii w Uniw. Jagiell. Warszawa. 1904. E. Wende i Ska.

**Dr. Ed. Toulouse i dr. L. Marchand.** «Mózg i jego czynności». Z 52 rysunkami w tekście. Z oryginału francuzkiego przełożyła R. Nusbaumowa. Lwów. Nakł. księgarni H. Altenberga. Warszawa. E. Wende i S-ka. 1904.

**Józef Nusbaum.** »Podręcznik zoologii« dla młodzieży od lat 10 do 14. Wydanie drugie. Kraków. Nakład G. Gebethnera i S-ki. Warszawa. Gebethner i Wolff.

**J. N. S.** «Montalembert et sa correspondance inédite avec le Généralissime Skrzynecki» Détails biographiques inconnus. La Chapelle-Montligeon. Imprimerie-librairie de Notre-Dame de Montligeon. 1903.

## C Z A S O P I S M A.

**Chimera.** Tom VI. Zeszyt 17.—Listopad 1902.—Leopold Staff «Pod słońcem».—Juliusz Zeyer «Dom pod tonącą gwiazdą».—Fryderyk Mistral «Z Wysp Złoty». — Adolf Dygasiński «Dęby».—Edward Porębowicz «Dziecko z wosku» (ludowa balada bretońska).—Fryderyk Nietsche «Z psychologii sztuki».—Edward Leszczyński «Ahaswer». — Jan Wroczyński «Z Jawy Obląkanej».—Artur Graf «Sonet».—Juljusz Laforgue «Perseusz i Andromeda». — Jan Lemański «Lycoperdon Giganteum».—Rysunki, inicjały, ozdoby: Norwida, Botticelli'ego, Hokusai'a, Korin'a, Turbii-Krzyształowicza, Okonia, M. S., Wawrzeńckiego, Wojtali.

**Ekonomista.** Tom II. Zeszyt III. 1903.—Adolf Suligowski «Warszawa i jej przedsiębiorstwa miejskie». — Władysław Żukowski «Przesilenie w przemyśle żelaznym».—St. A. K. «Encyclica de conditione Opificum».—S. Rundsztein «Zabiegi prawodawcze w dziedzinie przemysłu domowego».—M. P. «Muzeum społeczne w Paryżu».—K. K. «Kronika ekonomiczna».—St. A. K. «Położenie finansowe».

**Biblioteka Samokształcenia.** Nr. 18.—St. Kucharski «Cogito ergo sum».—I. Radliński «Jednostka i świat».—Wacł. Nałkowski «Co to jest geografia i krajoznawstwo».—St. Brzozowski «Filozofia czynu».—W. N. Najpółnocniejsza kolej na świecie».

— Nr. 20 i 21. Ign. Radliński «Dzieje książki».—St. Brzozowski «Filozofia czynu».—W. Nałkowski «Równiny».—W. Feldman «Młoda Polska w świetle krytyki».—E. Libański «Cuda techniki współczesnej.»

— Nr. 22. D. A. Koropczewski «Prawo rozwoju kultury».—M. Heilpern «Nowsze poglądy na zjawiska przyrody».—St. Brzozowski «Filozofia czynu».—Ign. Radliński «Prorocy hebrajscy wobec krytyki i dziejów».—W. N. «Na ziemskim globie».

**Nowe Słowo.** Październik, Listopad 1903 r.—Marya Turzyna «Mężna niewiasta».—St. Lack «O doktrynerach (Paluba)».—Ludwik Eminowicz «Poezycy».—Tymon Niesiołowski «Pierrot».—Edward Leszczyński «Kołyśka».

**Tygodnik Ilustrowany.** Październik i Listopad 1903.—W. Reymont „Chłopi“. — S. Żeromski „Popioły“. — W. Gomulicki «Śpiewasz», wiersz. — Felicyan «Ze zbioru Meandrów»; wiersz.—Z. Krygier «Zmora», wiersz.—K. Sporzyński «Co to jest materya?».—W. Sobieski «Żalobny hetman». «Na forum». — J. S. Wierzbicki «To wiosna chyba», wiersz.—Wł. Zalewski «Kosa o świecie», wiersz.—Rysunki: J. Rapacki «Jodła».—T. Kaulbach «Wisienki».—Fr. Stuck «Jesień».—F. Uhde «Rankiem».—José Benliure y Gil «Widzenie św. Franciszka».—E. Okuń «Portret».

## Konkursy.

### KONKURS PRZEGLĄDU FILOZOFICZNEGO.

Redakcja «Przeglądu Filozoficznego» rozpisuje konkurs na dwie rozprawy filozoficzne, poświęcone zagadnieniu przyczynowości i kwestyi metody w etyce.

1) Rozprawa «O przyczynowości» może problemat ten traktować w jednym lub też w kilku z tych licznych kierunków, w których bywa opracowywany. Wykluczone jest jedynie historyczne przedstawienie rozwoju samego problemu i związanych z nim poglądów. Autor może się zatem zająć rozbiorem krytycznym samego pojęcia przyczynowości, celem stwierdzenia, które cechy wchodzą w skład jego treści w obecnym stanie wiedzy; przedmiotem rozprawy może też być psychologia bądź opisowa, bądź genetyczna pojęcia przyczynowości i przekonania o istnieniu stosunku przyczynowego pomiędzy zjawiskami; nie mniej pożądanem będzie roztrząsanie metod, którymi posługuje się naukowe badanie, celem wykazania w konkretnych wypadkach związku przyczynowego; rozszerzając to pytanie, może autor rozpatrywać przedmiotową wartość naszych sądów o przyczynowości w ogóle, co jednak i samo dla siebie może być tematem rozprawy; autor może się też zająć pytaniem, czy nie należałoby pojęcia związku przyczynowego zupełnie usunąć z badań naukowych, zastępując je pojęciem innym, np. pojęciem stałego związku lub zależności, przyczem na szczególną uwagę zasługiwałby stosunek tych ostatnich pojęć do pojęcia związku przyczynowego.

Którą z wymienionych tutaj dla przykładu stron zagadnienia autor opracować zechce pozostawia się jego własnemu wyborowi; wolno też obrać autorowi inną jeszcze, tutaj niewymienioną stronę zagadnienia. Na wszelki zaś wypadek należy rozprawę w tytule bliżej scharakteryzować, dodając pod ogólnym tytułem «O przyczynowości», odpowiednie określenie.

2) W rozprawie «O metodzie etyki» również jest wykluczone historyczne przedstawienie rozwoju poglądów etycznych i naukowego ich traktowania. Wymaga się natomiast, aby rozprawa, wychodząc z założenia, że możliwe jest naukowe rozstrzygnięcie kwestyi trafności i mylności kryterium etycznego, zajęła się pytaniem, na czym polega, albo powinno polegać logicznie uzasadnione przekonanie o trafności danego kryterium. Skoro bowiem kryterium etyczne wyraża się w sądzie, orzekającym, że postępowanie, posiadające pewne cechy, jest dodatnie w znaczeniu etycznym, przeto powstaje pytanie, czy sąd, wyrażający kryterium etyczne, jest sam w sobie oczywisty, czy też wymaga uzasadnienia. W pierwszym wypadku należy bliżej określić charakter

Biblioteka Główna UMK



300047457822

tej oczywistości, porównyując ją z oczywistością pewników i t. p.; w drugim wypadku należy wykazać przesłanki, z których kryterium etyczne wypływa, jako też oznaczyć logiczny charakter rozumowania, mocą którego z owych przesłanek kryterium jako konkluzja wynika.

Rozprawy muszą być napisane oryginalnie i samodzielnie, z uwzględnieniem dotyczącej literatury i wymagań metody naukowej. Szczególny nacisk należy kłaść na ścisłość w rozumowaniu i na jasność w przedstawieniu rzeczy. Objętość rozpraw nie powinna przenosić czterech arkuszy druku formatu «Przeglądu Filozoficznego». Rękopisy, pisane maszyną, zaopatrzone godłem, wraz z nazwiskiem autora w zamkniętej kopercie, należy nadesłać najdalej do dnia 15 lutego 1905 r. pod adresem: Warszawa, ul. Mokotowska Nr 47. Redakcja «Przeglądu Filozoficznego».

W konkursie brać udział mogą tylko autorowie polscy.

Dwa najlepsze opracowania tematów konkursowych otrzymają nagrodę po 500 rubli i będą wydrukowane w «Przeglądzie Filozoficznym». Inne zaś prace, nie nagrodzone, ale przeznaczone do druku w «Przeglądzie Filozoficznym», otrzymają honorarium autorskie w ilości rb. 20 od arkusza.

Skład sądu konkursowego będzie ogłoszony w następnym zeszycie «Przeglądu Filozoficznego».



The first part of the document is a list of names and titles, including the names of the authors and the titles of their works. The list is arranged in a columnar format, with the names on the left and the titles on the right. The names are written in a cursive hand, and the titles are in a more formal, printed style. The list includes several prominent figures of the time, such as the names of the authors and the titles of their works.



The text below the seal is very faint and difficult to read. It appears to be a short paragraph or a list of items, but the characters are too light to transcribe accurately.